

Uciec przed koszmarem

Masterton Graham



calibre 0.9.43

Graham Masterton

Uciec przed koszmarem

WSTĘP

Strach ma wiele twarzy. Może przybrać postać nieznajomego, który obserwuje cię z nienaturalnym zainteresowaniem. Albo dawno straconego przyjaciela. Albo bestii o groźnym spojrzeniu, która wynurza się z tapety czy słoju szafy, kiedy usiłujesz zasnąć. Kiedy indziej zobaczysz przyciśniętą do szyby, przerażającą jak sam lęk, bladą twarz.

Zgromadziłem w tym zbiorze opowiadań różne opowieści o strachu pochodzące z rozmaitych zakątków świata. Niektóre są dość subtelne. Inne erotyczne. Jeszcze inne tylko przerażające.

Chciałem pokazać, że życie także ma wiele twarzy — że są odmienne byty i rzeczywistości; jedne budzące lęk, drugie magiczne i nieodparcie kuszące. Chciałem pokazać odwieczny strach, który gnębi ludzi wywodzących się z różnych kultur — obawę przed paralelnym światem, gdzie żyją zmarli, a wszelki wyobrażalny horror jest możliwy.

Chciałem pokazać, że nie wszystko w życiu jest tym, czym wydaje się pozornie być, że powinniśmy zachować ostrożność w przyjmowaniu rzeczy po prostu takimi, jakimi są. Ogromną ostrożność.

W „Uciec przed koszmarem” znajdziecie opowieść celtycką – o złowieszczym cudzoziemcu, zdolnym was omotać sztuczkami i urokiem osobistym, obietnicą spełnienia tego, czego pragnie wasze serce. Przeczytacie o walijskich ojcach i braciach — dawno umarłych, a przecież przechadzających się po zamglonych dolinach. Poznacie angielską wieś — gdzie ściga was po lesie istota tak straszliwa, że wolicie się nie oglądać. We Francji przekonacie się, że można wybrać śmierć ze strachu przed zobaczeniem uwielbianej twarzy. Ameryka powita was lękiem przed nienasyconą zemstą i samozniszczeniem; poznacie też to, co porażająco złe w magii Indian. W Szkocji zetkniecie się z niedowiarstwem wobec cudu — świadectwem największej z obaw: obawą przed Bogiem.

Zanim zaczniecie czytać, spójrzcie w lustro. Przyjrzyjcie się własnemu obliczu. Ono także może odbijać strach. A gdy skończycie — popatrzcie ponownie. Nie po to, by stwierdzić, czy się zmieniliście, ale upewnić, czy spoza waszej nie wзира inna twarz... że naprawdę jesteście sami.

Niebezpieczeństwo nie polega na tym, że nie zapomnicie o strachu. Prawdziwe niebezpieczeństwo zawiera się w tym, że to strachy o was nie zapomną.

Graham Masterton

Obecność aniołów

Edynburg, Szkocja

Edynburg to moje miasto rodzinne, darzę więc je dużym sentymentem, niezależnie od tego, że jest jedną z najpiękniejszych i najstarszych metropolii w Europie. Imponujący zamek, wzniesiony na skale, pełnił funkcję fortecy już w czasach imperium rzymskiego, i wciąż stanowi ogromną atrakcję

dla turystów, szczególnie że rozciągają się stąd wspaniałe widoki na zatokę Firth of Forth i wzgórze Fife.

Osią starego Edynburga jest biegnąca skalnym grzbietem od zamku do pałacu Holyrood ulica, zmieniająca nazwę z Canongate na Netherbow, High Street, Lawnmarket, Castle Hill, generalnie określana mianem „Royal Mile”. Stoją przy niej majestatyczne stare domostwa, poprzedzielane zaułkami. Jeśli zaułek jest szeroki na tyle, by zmieścić się w nim pojazd — czyli na około dwa metry — określa się go mianem uliczki.

Edynburg jako stolica Szkocji ma bogatą historię społeczną i polityczną, jest także kolebką religii prezbiteriańskiej. A jego religia — niezależnie od jej świetności i wspaniałego dekorum — odkrywa przed nami pierwsze oblicze strachu.

OBECNOŚĆ ANIOŁÓW

Kochała go, jeszcze zanim się narodził, ogromną siostrzaną miłością, i nazwała Alice. Matka pozwalała jej czasem położyć głowę na brzuchu i wsłuchać się w bijące w środku serce, niekiedy czuła nawet silne falowanie jej ciała pod kopnięciami maleństwa. Za pieniądze, które dostała od rodziców w dniu trzynastych urodzin, kupiła u Jennersa ozdobioną koronkowym kołnierzykiem sukieneczkę w szkocką kratę i schowała, by sprawić siostrzyczce niespodziankę w dniu, w którym przyjdzie na świat.

Tak była pewna narodzin dziewczynki, że odgrywała w wyobraźni wymyślone sceny, w których uczyła Alice pierwszych baletowych kroków, a potem, by rozerwać rodziców, tańczyły przed nimi pierwszą scenę z Córki źle strzeżonej. Wyobrażała sobie, że zabiera dziecko na spacer do pałacu Mound w zimowe poranki, nieznamymi przystając, gaworzą z Alice i biorą ją, Gillie, za matkę, a nie za starszą siostrę.

Któregoś styczniowego poranka usłyszała kobiecy krzyk, potem ojciec biegał w tę i z powrotem po schodach i wreszcie pojechał z matką do kliniki Morningside; płatki śniegu wirowały wokół nich jak białe pszczoły, gdy wychodzili, by ich wreszcie pochłonąć.

Spędziła ten dzień przy Rankeilor Street, w schludnym, zimnym domu pani McPhail, w którym tykały zegary i mocno pachniało lawendową pastą do podłóg. Pani McPhail sprzątała u nich; była drobna, niezbyt miła, a głowa chwiała jej się jak u kurczaka. Dała jej miseczkę szarawego gulaszu z baraniny z cebulą i obserwowała chwiejąc głową, jak Gillie bezradnie usuje go w siebie wepchnąć, patrząc na śnieg nawarstwiający się coraz wyżej za szybą kuchennego okna.

Na środku podwórza stała pod dziwacznym kątem obrotowa suszarka do bielizny, całkowicie oblepiona śniegiem. Łudząco przypominała Gillie serafina z rozpostartymi skrzydłami; słońce przedarło się przez chmury i serafin zaślnił: oślepiający, nieruchomy, wręcz tragiczny, zrosnięty z ziemią, nie żywiący nadziei na powrót do nieba.

— Nie masz ochoty jeść? — spytała pani McPhail. Miała na sobie beżowy zmechacony wełniany sweter i brązowy beret, choć przecież była w domu. Jej twarz kojarzyła się Gillie z talerzem letniej owsianki, pokrytej kozuchem, w której ktoś zatopił dwie rodzynki w miejscu oczu i nakreślił

brzegiem łyżki zakrzywioną ku dołowi linię w miejscu ust.

— Przepraszam, pani McPhail. Chyba nie jestem głodna.

— Dobrze jedzenie się zmarnuje. Świetna jagnięcina i kasza perłowa.

— Przepraszam — powtórzyła.

Pani McPhail, tak zwykle niesympatyczna, nieoczekiwanie się uśmiechnęła.

— Nie kłopotz się, kochanie — powiedziała. — Niecodziennie rodzi się ludziom dziecko, prawda? No, co to będzie, jak myślisz? Chłopiec czy dziewczynka?

Myśl o chłopcu nigdy nie powstała w głowie Gillie.

— Chcemy ją nazwać Alice — oświadczyła.

— A jeśli to będzie on?

Gillie odłożyła widelec. Po powierzchni gulaszu pływały liczne oka tłuszczu. Ale nie dlatego poczuła przyływ mdłości. Wywołała je zupełnie nieoczekiwana możliwość, że jej matka mogła nosić brata, nie siostrę. Brat! Syn, następca! Czy to nie z tego powodu utyskiwała babcia, ilekroć ją odwiedzali? „Cóż za szkoda, że nie masz następcy, Donaldzie, syna, który by nosił nazwisko twego ojca”.

Syn i następca. Na pewno nie będzie się uczył baletowych kroków. Ani bawił z nią domkiem dla lalek, który tak ostrożnie zniosła ze strychu, wyposażyła w nowe dywany i stół w jadalni, postawiła na nim trzy talerze, a na nich ułożyła kiełbaski i smażone jajka z modeliny.

Oszczędzała tak długo na sukieneczkę w szkocką kratę, a przypuśćmy, że to będzie chłopiec...

Zaczerwieniła się na myśl o własnej głupocie.

— Wyglądasz na rozgorączkowaną, dziecko — odezwała się pani McPhail. — Nie jedz, jeśli nie możesz. Odgrzeję ci to później. Chcesz trochę bardzo dobrej szarlotki?

— Nie, dziękuję — wyszeptała Gillie, potrząsając głową i usiłując się uśmiechnąć.

Słońce zaszło i niebo przybrało ponury wygląd, a suszarka na podwórzu coraz bardziej przypominała wynędzniałego anioła. Myśl, że serafin musi pozostać tutaj przez całą noc, nie chciany, samotny i niezdolny do lotu, była dla Gillie nie do zniesienia.

— Pooglądajmy telewizję — zaproponowała pani McPhail. — Nie mogę przepuścić Wybierzmy High Road. Nie miałabym ani słówka do powiedzenia jutro przy bingo.

Usiadły na zwalistej brązowej kanapie i patrzyły na niewyraźny obraz w kupionym z wypożyczalni telewizorze pani McPhail. Co jakiś czas Gillie zerknęła przez ramię na anioła na podwórzu, obserwując jak w miarę opadania płatków śniegu jego skrzydła stają się coraz większe i mocniejsze.

Może jednak będzie w stanie odlecieć.

— Na co tak spoglądasz, dziecinko? — spytała pani McPhail, z głośnym cmokaniem ssąc karmelka.

Gillie zmieszała się. Czowała jednak, że pani McPhail można powiedzieć wszystko, bez różnicy.

Na pewno nie zostanie to powtórzone w sposób, w jaki kiedyś babcia zrelacjonowała mamie i tacie uwagi Gillie na temat szkoły.

— Na pani suszarkę do bielizny. Wygląda jak anioł. Pani McPhail wykręciła cały tułów, by na nią spojrzeć.

— Ma skrzydła, o to ci chodzi?

— To tylko śnieg.

— Nie, masz rację, dziecinko. Właśnie tak wygląda. Jak anioł, serafin albo cherubin. Zawsze przybywają, gdy się rodzi dziecko, wiesz? Mają obowiązek się nimi opiekować, tymi najmniejszymi, dopóki nie staną na swoich własnych dwóch nogach.

Gillie uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Nie rozumiała, o czym pani McPhail mówi, ale przecież tego nie powie.

— Każde dziecko ma anioła stróża. Ty swojego, to nowe maleństwo swojego. Kimkolwiek się okaże: nim czy nią.

Musi być Alice, pomyślała Gillie z rozpaczą, nie może być syn i następca.

— Chcesz cukiereczka? — zapytała pani McPhail podsuwając jej klejącą się, zmiętą torebkę.

Gillie potrząsnęła głową. Próbowwała obywać się bez słodyczy. Jeśli nie zdoła zostać baletnicą, będzie supermodelką.

O czwartej zapadł zmrok. Ojciec przyszedł o piątej. Stał na ganku pani McPhail obsypany śniegiem, czuła od niego whisky. Był wysoki i szczupły, miał cienkie rudawoblond wąsiki i oczy koloru jasnoszarego, jak muszle, które znajdowała na plaży Portobello, zanim wyschły. Przerzedzone na czubku głowy włosy sterczały zawadiacko.

— Przeszedłem zabrać cię do domu — powiedział. — Mama czuje się dobrze, dziecko też i w ogóle wszystko w porządku.

— Oj, chyba pan świętował, panie Drummond — oświadczyła pani McPhail z udawaną dezaprobatą. — No, ale miał pan wszelkie prawo — uśmiechnęła się. — Niech nam pan powie, co się urodziło i ile waży.

— Masz braciszka, Gillie. — Położył obie ręce na ramionach córki i popatrzył jej w oczy. —

Ważył siedem funtów, sześć uncji. Chcemy go nazwać Toby.

Otworzyła usta, ale nie była w stanie się odezwać. Toby? Kto to jest Toby? I co się stało z Alice? Jakby ją ktoś sekretnymi czarami usunął z ciepłego brzucha matki, by jej miejsce zajął ten dziwny, okropny niemowlak, zupełnie Gillie obcy — ludzkie piskłę kukułki.

— Wspaniale! — wykrzyknęła pani McPhail. — Bez wątpienia zasłużył pan na whisky, panie Drummond. Pewnie też były potrzebne cygara, nie ma się co dziwić.

— No, Gillie, czy to nie fascynujące? — zapytał ojciec. — Pomyśl tylko, ile będzie zabawy z małym braciszkiem!

Gillie zadrżała, przepelniona uczuciem szczerego smutku. Łzy napłynęły jej do oczu i pociekły po policzkach na szalik w szkocką kratę. Alice! Odebrali mi cię! Nie pozwolili ci żyć! — krzyczała w myślach. Tak często o niej myślała, że wiedziała dokładnie, jak będzie wyglądać, w co się będą razem bawić, o czym rozmawiać. A teraz nie ma Alice i nigdy nie będzie.

— Gillie, co się dzieje? — dopytywał się ojciec. — Dobrze się czujesz?

Czuła się tak, jakby połknęła w całości karmelek od pani McPhail.

— Kupiłam — zaczęła i musiała przerwać, ponieważ bolały ją płuca, a każdy oddech zamieniał się w bolesny szloch. — Kupiłam... kupiłam jej sukienkę. Wydałam wszystko, co dostałam na urodziny!

— No już dobrze, nie masz co sobie o to kłopotać tej maleńkiej główki! — roześmiał się ojciec i uścisnął ją. — Pójdziemy do sklepu i wymienimy ją na dziecienny kombinezon, a może nawet na parę spodni. Co ty na to? Daj już spokój, to taki szczęśliwy dzień. Żadnego więcej płaczu, przyrzekasz?

Gillie pociągnęła parę razy nosem i otarła oczy wełnianą rękawiczką.

— Dziewczęta w tym wieku — powiedziała pani McPhail poważnie. — Była dzisiaj bardzo miła. Nie zjadła zbyt wiele na lunch, ale prawdziwy z niej anioł.

Prześli Clerk Street w kłębach śniegu. Ojciec zaparkował przy kinie „Odeon” i samochód wyglądał jak igloo na kółkach. Grali Alicję w krainie czarów i Gillie prawie uwierzyła, że nie jest to przypadkowy zbieg okoliczności; kierownictwo kina i rodzice zaaranżowali to, żeby ją wykpić.

Pojechali w kierunku centrum. Zamkowa skała była ledwie widoczna z Prince Street wśród zamieci, a spóźnieni klienci mozolnie brnęli pokrytymi warstwą śniegu i soli chodnikami, jak zgubione dusze, toczące walkę we śnie, z którego nigdy nie miały się obudzić.

Minął rok i znowu zapanowała zima. Siedziała przed lustrem toaletki z serwetką na głowie i rozmyślała, jak to jest być zakonnicą. Podobała się sama sobie jako mniszka. Była drobno zbudowana i szczuplutka jak na swoje czternaście lat, miała bladą cerę i wielkie ciemne oczy — melancholijne i pełne wyrazu, jakie często spotka się u Szkotów. Będzie pracowała z chorymi, z

bezdolnymi, opatrywała ich rany i poila wodą.

Była jedna trudność. Zakonnice muszą wyrzec się mężczyzn, a jej okropnie podobał się John McLeod z szóstej, chociaż w ogóle nie zwracał na nią uwagi... w każdym razie do tej pory tego nie zauważyła. Był niezwykle wysoki, miał wściekle rude włosy i przewodził drużynie curlingowców.

Obserwowała go kiedyś, gdy grali, rzucając spłaszczonymi kamieniami po lodzie, i dała mu rozgrzewający napój. Wlał go sobie w usta i powiedział „Dzięki”.

No i jeszcze jedno. Zakonnicami zostawały raczej wyznawczynie religii rzymskokatolickiej, a rodzina Drummondów od wieków należała do kościoła szkockiego.

Wstała i podeszła do okna. Niebo przypominało kolorem blade dziaśła, a ogrody przy Charlotte Square pokrywał śnieg.

— Co ty o tym myślisz, Alice? — zapytała. Bo Alice jednak żyła, gdzieś głęboko w zakamarkach mózgu Gillie, bezpieczna w ciemności. Gillie wiedziała, że gdyby o niej zapomniała, Alice przestałaby istnieć, jak gdyby nigdy nie poświęcono jej żadnej myśli.

Chcesz zostać zakonnica? Zrób to w sekrecie — padła odpowiedź. — Złóż śluby nikomu o tym nie mówiąc.

— Ale jaki w tym sens? Zostać zakonnica, skoro nikt o tym nie wie?

Bóg będzie wiedział. Poświęć życie, by mu służyć i dla chwały Świętej Dziewicy. Okaż pomoc każdej ludzkiej istocie, choćby miała stanąć pijana u twych drzwi, a nie minie cię nagroda w niebie.

— A co, jeśli John McLeod zaprosi mnie do kina? Odwołasz śluby, w każdym razie na ten wieczór.

Wciąż stała z serwetką na głowie, gdy do pokoju niespodziewanie wszedł ojciec.

— Co ty wyrabiasz? — spytał. — Udajesz ducha? Poczzerwieniła i ściągnęła serwetkę z włosów.

— Mama chciałaby, żebyś nakarmiła Toby'ego, bo ona musi dokończyć prania.

— A ja powinnam skończyć odrabiać lekcje!

— Jakie? Gdzie te lekcje? Nie widzę, żebyś się uczyła. Daj spokój, Gillie, mama ma tyle zajęć z prowadzeniem domu i jeszcze musi się opiekować Tobym. Naprawdę mam nadzieję, że nie odmówisz pomocy.

Niechętnie schodziła za ojcem po schodach. Mieszkali w wielkim trzypiętrowym domu przy Charlotte Square, odziedziczonym po rodzicach mamy, i ledwie stać ich było na jego utrzymanie.

Wystrój wnętrza właściwie nie zmienił się od czasu, gdy żyli tu babcia z dziadkiem: brązowe tapety w kwiaty, brązowe zasłony z aksamitu, wielkie ponure malowidło, przedstawiające osaczonego jelenia.

Najweselszym obrazem w całym domu był ten z widokiem Ben Buie w czasie burzy z piorunami.

W wielkiej, wyłożonej żółtymi kafelkami kuchni matka przypinała Toby'ego do wysokiego dziecięcego krzesła. Była szczupła i drobna jak Gillie, ale miała blond włosy i niebieskie oczy. Toby odziedziczył po niej kolor oczu i jasne włosy; kręcone blond kudły, których matka nie pozwalała obciąć. Tata ich nie lubił, bo według niego nadawały synkowi wygląd dziewczynki, ale Gillie dobrze wiedziała, że Alice byłaby delikatnej budowy i ciemnowłosa, jak ona sama. Na pewno by szeptały i chichotały między sobą.

— Gotowe — powiedziała mama i wręczyła Gillie otwarty słoik, owinięty w ściereczkę, ponieważ był gorący.

Gillie przystawiła krzesło do wielkiego kuchennego stołu z sosnowego drewna i zamieszała zawartość słoika łyżeczką. Toby plasnął małymi tłustymi rączkami i zaczął podskakiwać na pupie.

Zawsze próbował ściągnąć na siebie uwagę Gillie, ale przecież wiedziała, kim jest, więc go ignorowała. Kukułcze piskłę, podrzutek. Biedna ciemnowłosa Alice. Nie pozwolili jej ujrzyć jasnego światła dnia; jej miejsce zajęło to tłuste stworzenie o kędzierzawych włosach. Zajęło nawet jej kołyskę.

Nabrała mięsno-warzywnego puree na łyżeczkę i przysunęła do warg Toby'ego. Ledwie skosztował, odwrócił głowę. Spróbowała jeszcze raz i udało jej się wepchnąć mu do ust odrobinę jedzenia. Natychmiast wypluł wszystko na czysty śliniaczek.

— Mamo, on tego nie chce.

— Cóż, będzie musiał zjeść. Nic innego nie mam.

— No, dalej jazda — powiedziała szyderczo, nabierając następną porcję. Przytrzymała mu głowę, by nie mógł nią poruszyć, i ścisnęła małe tłuste policzki tak, że musiał otworzyć usta.

Wpakowała mu w nie całą zawartość łyżki.

Zabełkotał oburzony, twarz mu poczerwieniała, a potem wydał okrzyk protestu i puree wyprysło na rękaw swetra Gillie.

— Ty podrzutku! — wrzasnęła, ciskając z furią łyżeczkę. — Ohydny gruby podrzutku!

Nienawidzę cię, ty obrzydliwcze!

— Gillie! — zaprotestowała matka.

— No i co? Nienawidzę go i nie będę go karmić! Jeśli o mnie chodzi, może umrzeć z głodu!

Nie rozumiem, jak w ogóle mogliście go mieć!

— Gillie, żebyś nie śmiała mówić takich rzeczy!

— Właśnie że będę śmiała! Nic mnie nie obchodzi! Mama odpięła szelki przytrzymujące Toby'ego na krzeselku i uspokoiła go

— Skoro tak, lepiej idź do swego pokoju. Zostaniesz tam bez jedzenia do wieczora.

Zobaczymy, jak ci się spodoba umieranie z głodu.

Znowu zaczęło padać. Ogromne ciężkie płatki śniegu, niesione wiatrem od zatoki Firth of Forth.

— Myślą, że nie wiem, co ci zrobili, Alice.

Musisz im wybaczyć, albowiem nie wiedzieli, co czynią.

— Nie chcę przebaczać. Nienawidzę ich. Przede wszystkim za to, co z tobą zrobili.

Zostałaś zakonnicą. Złożyłaś pełne śluby zakonne. Musisz im wybaczyć w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, amen.

Spędziła całe popołudnie leżąc na łóżku i czytając Kobiecą walkę, powieść o zakonnicy, która zaczęła pracować w misji na Południowym Pacyfiku i zakochała się w przemytniku broni. Przeczytała ją już dwukrotnie, mimo to wciąż ekscytowała ją scena, w której bohaterka, odprawiając pokutę za namiętne uczucia, jakich doznaje, po pięciu dniach i pięciu nocach postu doświadcza wizji: ukazuje jej się święta Teresa — „jaśniejąca jak słońce” — i wybacza, że poczuła się kobietą.

O piątej usłyszała, jak matka wchodzi po schodach, by wykąpać Toby'ego, a o wpół do szóstej doszedł ją śpiew z jego sypialni, mieszczącej się po przeciwnej stronie korytarza. Ta sama kołysanka, którą mama nuciła i jej, kiedy Gillie była mała. Przygnębiło ją to i poczuła jeszcze głębsze osamotnienie. Odwróciła twarz do ściany i utkwiała wzrok w tapecie. Patrzyło się na róże, ale wyglądała spod nich zakapturzona twarz, jakby żywcem wyjęta ze średniowiecza, chytra i zniekształcona trądem.

Kołysz się, kołysz, moje maleństwo

Kołysz się, kołysz, moje jagniątko

Dostaniesz rybkę w małej miseczce

Dostaniesz rybkę, gdy przyplynie łódź!...

Po niedługim czasie drzwi się otworzyły i wszedł ojciec.

— Jesteś gotowa nas przeprosić? — zapytał. Czekał w drzwiach przez chwilę, ale gdy nie odpowiadała, wszedł do środka i przysiadł na brzegu łóżka. Położył delikatnie dłoń na ramieniu córki.

— To do ciebie niepodobne, Gillie. Nie jesteś chyba zazdrosna o Toby'ego? Nie powinnaś. Kochamy cię tak mocno jak przedtem. Wiem, że mama zajmuje się przez większość czasu Tobym, ale

zależy jej również na tobie. Tak jak i mnie.

A na mnie? — spytała Alice.

— Co ci szkodzi nas przeprosić i zejść na dół? Będą dzisiaj paluszki rybne.

Na mnie nigdy wam nie zależało.

— No, Gillie, powiedz coś.

— Na mnie nigdy wam nie zależało! Chcieliście, żebym umarła!

— Żebyś umarła? — Ojciec patrzył na nią z niedowierzaniem. — Skąd ci to przyszło do głowy? Kochamy cię, inaczej byśmy cię nie mieli, a jeśli już chcesz znać prawdę, pozostałabyś naszym jedynym dzieckiem i bylibyśmy z tego zadowoleni, gdybyśmy przypadkiem nie dali życia To-by'emu. Nie zamierzaliśmy go mieć, ale mamy, jest z nami i kochamy go. Dokładnie tak, jak ciebie.

— Przypadkiem? — powtórzyła Gillie, siadając na łóżku. Oczy miała zaczerwienione. —

Przypadkiem? Może spróbujesz to powiedzieć Alice!

— Alice? A kto to taki?

— Zamordowaliście ją! — wrzasnęła Gillie. — Zamordowaliście! Zamordowaliście i nigdy nie żyła!

— No nie, Gillie. — Zaniepokojony i zły, ojciec podniósł się na nogi. — Uspokój się. Pójdę po mamę i porozmawiamy trochę.

— Nie chcę rozmawiać z żadnym z was! Jesteście straszni! Nienawidzę was! Idź sobie!

Wahał się przez moment. Wreszcie powiedział:

— Najlepiej będzie, moje dziecko, jeśli weźmiesz kąpiel i pójdziesz prosto do łóżka. Rano porozmawiamy.

— Mam w nosie twoją kąpiel!

— Wobec tego kładź się spać brudna. Nic mnie to nie obchodzi.

Leżała na łóżku nasłuchując odgłosów domu. Ojciec i matka rozmawiali, potem woda leciała w łazience. Warczał i pojękiwał zbiornik tuż nad jej pokojem. Słyszała odgłosy otwierania i zamykania drzwi, niewyraźnie telewizor w sypialni rodziców. W końcu zgasło światło.

Za oknem widziała grubo otulone śniegiem miasto, ciche i spokojne od Davidson's Mains po Morningside. Bez trudu przyszłoby jej uwierzyć, że wszyscy pomarli, i została sama.

Obudziło ją jaskrawe światło tańczące na tapecie. Otworzyła oczy i przyglądała się mu chwilę z zastanowieniem, nie całkiem pewna, gdzie jest i czy jeszcze śpi, czy już się przebudziła. Migoczące światło przesuwano się z jednego końca ściany na drugi. Przyjmowało kształt wijącej się, krętej, szerokiej linii, to znowu supłało się w kształt przypominający motyla.

Gillie usiadła. Wciąż miała ubranie na sobie, a prawej nogi w ogóle nie czuła; musiała spać w dziwacznej pozycji. Światło przesączało się spoza drzwi. Z początku oślepiająco jaskrawe, teraz lekko przyćmione. Tańczyło po ścianie, skakało, padając w różne miejsca. Przez moment gdzieś zniknęło, tak że widziała tylko słaby, jakby odbity od czegoś poblask.

Och nie, pomyślała. Dom się pali!

Zeszła z łóżka i pokuśtykała ze ścierpniętą nogą do drzwi. Dotknęła klamki, by sprawdzić, czy nie jest gorąca. W ich szkole była kiedyś drużyna strażacka; wygłosili pogadankę na temat, czego nie wolno, a co trzeba robić w czasie pożaru, wiedziała więc, że nie może otworzyć drzwi, gdyby klamka okazała się gorąca. Ogień potrzebuje tlenu, jak niemowlaki mleka.

Ale klamka była zimna, drzwi były zimne. Ostrożnie nacisnęła klamkę i wysliznęła się na korytarz. Spoza drzwi położonej naprzeciwko sypialni Toby'ego wydobywało się światło. Tak intensywne, że ledwie mogła na nie patrzeć. Jaśniało z każdej szparki, nawet przez dziurkę od klucza.

Pociągnęła nosem. Dziwne, ale nie czuła zapachu spalenizny. Nie słyszała też żadnych trzasków, normalnych przecież przy palącym się ogniu.

Zbliżyła się do drzwi sypialni Toby'ego i przyłożyła palec do klamki. Zupełnie zimna. W środku nie płonął ogień. Na moment ogarnął ją przeraźliwy strach. Poczowała zimno w dołku, jakby właśnie połknęła coś obrzydliwego i miała zaraz zwymiotować. Skoro nie ogień, to co rozświetliło pokój Toby'ego?

W chwili gdy odwracała się, by pobiec po rodziców, usłyszała przedziwny dźwięk. Głuchy, miękki, szeleszczący odgłos, a potem gaworzenie i dziecięcy śmiech.

Toby się śmieje — powiedziała Alice. — Więc wszystko musi być w porządku.

— Żałuję, że to nie ogień. Żałuję, że nie zginął.

Nie, nieprawda. Ja też bym tego nie chciała. Jesteś zakonnicą, przyjęłaś święte śluby. Zakonnice wszystko wybaczą. Wszystko rozumieją. Są oblubienicami Chrystusa.

Gillie otworzyła drzwi.

Mario przenajświętsza! — wykrzyknęła Alice.

Oczom Gillie ukazał się tak dramatyczny i porażający widok, że padła na dywan na kolana, otwierając z niedowierzania szeroko usta.

Pośrodku pokoju stała wysoka biała postać. Biła od niej oślepiająca jasność i Gillie musiała osłonić

dłonią oczy. Zjawa dotykała prawie sufitu i nosiła nieskazitelnie białą szatę z delikatnego płótna, na plecach miała ogromne, teraz złożone skrzydła. Gillie nie byłaby w stanie powiedzieć, czy to kobieta czy mężczyzna. W jaskrawym blasku nie sposób było dobrze widzieć jej twarzy, ale Gillie mogła rozróżnić dwoje oczu, zatopionych w jasności jak kurze zarodki w białku jajek, i krzywiznę uśmiechu.

Najmocniej wstrząsnęło jednak nią to, że Toby'ego nie było w kołysce. Stał na dywaniku tuż przy tej wysokiej, oślepiającej istocie, a ona trzymała go za rączki.

— Toby — wyszeptała Gillie. — Boże święty, Toby. Odwrócił się do niej i obdarzył

bezczelnym uśmiechem, a potem dał dwa niepewne kroki po dywaniku, zachowując równowagę dzięki pomocy rozsiewającej światło zjawy.

Dziewczynka powoli podniosła się na nogi. Zjawa patrzyła na nią. Nie było to agresywne spojrzenie, dostrzegła to mimo bijącego blasku. Właściwie malowała się w tych oczach jakby prośba o zrozumienie, a w każdym razie o spokój. Ale kiedy istota podniosła Toby'ego w ramionach, zwyczajnie uniosła go w powietrze w migotliwie błyszczących ramionach, opanowanie Gillie prysło w okamgnieniu jak rozsypana dziecięca układanka.

— Mamo! — wrzasnęła, pobiegła korytarzem i zaczęła walić w drzwi sypialni rodziców. —

Mamo, u Toby'ego jest anioł! Mamo, mamo, szybciej! U Toby'ego jest anioł!

Rodzice wypadli z pokoju; rozczochrani, nieprzytomni, ledwie wiedzieli, dokąd mają pobiec.

Rzucili się w końcu pędem do pokoju brata, a ona za nimi.

I był tam. Opatulony żółto-niebieskim kocykiem ssał kciuk. Zadowolony, kędzierzawowłosy, właśnie zapadał w sen. Ojciec odwrócił się i popatrzył na Gillie. Twarz miał poważną.

— Widziałam anioła — powiedziała. — Nie zmyślam, przysięgam. Uczył Toby'ego chodzić.

Doktor Vaudrey splótł palce i poruszył pokrytym czarną skórą obrotowym fotelem. Okna gabinetu wychodziły na poszarzały ceglany mur, poznaczony ścieżkami śniegu. Na biurku stał wazon z suszkami i fotografia trojga niezbyt urodziwych dzieci, ubranych w przyciasne swetry. Lekarz był

półkrwi Hindusem, nosił grube szkła w czarnej oprawce, czarne włosy miał gładko zaczesane do tyłu.

Gillie pomyślała, że ma nos jak bakłażan. Ten sam kolor. Ten sam kształt.

— Wiesz, Gillie, w twoim wieku wizje na tle religijnym są dość powszechne. Dojrzewające młode kobiety odczuwają silną potrzebę wiary i łatwo doznają objawień.

— Widziałam anioła. Uczył Toby'ego chodzić.

— Skąd wiesz, że widziałaś właśnie anioła? Powiedział: „Cześć, to ja, anioł, wpadłem sobie, żeby się upewnić, czy twój braciszek nie będzie się poruszał na czworakach przez resztę życia”?

— Nic nie powiedział. I tak wiedziałam, że to on.

— Mówisz: wiedziałam, ale skąd? To właśnie chciałbym z tobą ustalić.

— Prawdę mówiąc, jestem zakonnica. — Spuściła oczy na swoje dłonie, leżące na kolanach.

Dziwne, ale zupełnie nie wyglądały na jej ręce.

Doktor Vaudrey obrócił się z fotelem i spojrzał jej prosto w twarz.

— Dobrze usłyszałem? Jesteś zakonnica?

— Tak, w sekrecie.

— Potajemną zakonnica, czy o to ci chodzi? Potwierdziła skinieniem głowy.

— Mogę zapytać według jakiej reguły złożyłaś śluby?

— Nie ma nazwy. Jest moja własna. Poświęciłam życie Bogu, Błogosławionej Dziewicy i wszystkim cierpiącym ludzkim istotom, nawet tym, którzy staną pijani u moich drzwi.

— Droga młoda damo — doktor Vaudrey zdjął okulary i popatrzył na nią z ogromną sympatią, mimo że głowę miała spuszczone i nie mogła tego widzieć — wyznaczyłaś sobie niezwykle chwalebny cel w życiu i nie mnie wyrokować, co widziałaś lub czego nie widziałaś.

— Zobaczyłam anioła.

Doktor Vaudrey obrócił fotel w kierunku okna.

— Tak, moje dziecko. Wierzę, że mogłaś widzieć.

Młody pastor czekał na nią w bibliotece. Był krępy, włosy zaczynały mu się przerzedzać, uszy miał mięsiste, mimo to pomyślała, że jest stanowczo zbyt przystojny jak na duchownego. Nosił

okropny sweter we wzór ze skaczących reniferów i brązowe sztruksowe spodnie.

— Usiądź — powiedział, wskazując zniszczoną sofę pokrytą popekaną czerwoną skórą. —

Miałabyś ochotę na kawę? A może wolisz im brul Choć prawdę mówiąc, jestem pewien, że do tej pory zwietrzało. Kupili je dwa lata temu na Boże Narodzenie i dotąd tkwi w kredensie.

Siedziała blada i poważna na samym brzeżku sofy i za całą odpowiedź krótko potrząsnęła przecząco głową. Usiadł okrakiem na krześle i położył ramiona na oparciu.

— Nie dziwię ci się. Kawa też nie jest najlepsza.

Na dłuższy moment zapadła cisza. Zegar wiszący w bibliotece tykał mozolnie i Gillie czekała, kiedy zatrzyma się na dobre.

— Chyba powinienem się przedstawić — powiedział młody pastor. — Nazywam się Duncan Callander, ale możesz mi mówić po imieniu, jeśli chcesz.

Znowu zapadła długa cisza.

— Więc widziałaś anioła — odezwał się wreszcie Duncan. — W cielesnej postaci, jak się to zwykło określać.

Skinęła głową.

— Doktor Vaudrey... ten psychiatra... uważa, że jesteś zestresowana. Częściowo przypisuje to twojemu wiekowi. W twoim ciele i umyśle zachodzą gwałtowne zmiany. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że szukasz czegoś, w co mogłabyś wierzyć, że nie chcesz kierować się tylko zdaniem rodziców i nauczycieli. Dla niektórych dziewcząt czymś takim staje się grupa pop, dla innych Bóg.

Mimo to doktor Yaudrey sądzi, że twój przypadek jest bardzo interesujący. Miał już oczywiście do czynienia z dziewczętami doświadczającymi objawień. Ale różnisz się od nich. Jak mi mówił, właściwie byłby w stanie uwierzyć, że rzeczywiście widziałaś to, o czym opowiadasz. — Wyciągnął

chusteczkę i zaczął czyścić nos w taki sposób, jakby przeprowadzał jakiś skomplikowany rytuał. —

Dlatego właśnie skierował cię do twojego pastora, a ten z kolei do mnie. Powiedzmy, że jestem specjalistą, jeżeli chodzi o wizje.

— Widziałam anioła — powtórzyła Gillie. Uznała, że będzie powtarzać to tak długo, aż jej uwierzą. Nawet do końca życia, skoro okaże się to konieczne. — Pomagał Toby'emu chodzić.

— Miał sześć i pół do siedmiu stóp, był oślepiająco biały, ledwie mogłaś rozróżnić w twarzy oczy i usta. Prawdopodobnie miał skrzydła, ale nie jesteś pewna.

— Skąd wiesz? — Gillie podniosła głowę i popatrzyła na niego. — Tego nikomu nie mówiłam.

— Nie musiałaś. Twoje widzenie byłoby dwudziestym ósmym od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku i wszystkie opisy dokładnie tak brzmią.

— To znaczy... inni też je widzieli? — Trudno jej było uwierzyć w to, co słyszy. — Tak jak ja?

— Wielu innych ludzi oprócz ciebie. — Duncan wyciągnął rękę i ścisnął jej dłoń. — Nie jest to aż tak niezwykle. Jedyne, co jest niezwykle w twoim przypadku, to że... wybac mi, wizji doświadczyła zwykła dziewczyna. Większość objawień stała się udziałem głęboko religijnych osób: pastorów, misjonarzy i tym podobnych, ludzi, którzy poświęcili życie kościołowi.

— Jak i ja — wyszeptała.

— Jak ty? — zachęcił ją do mówienia uśmiechem.

— Przyjęłam pełne święcenia.

— Kiedy? W St Agnes? Potrząsnęła przecząco głową.

— We własnej sypialni.

— Dość wyjątkowa z ciebie nowicjuszka. — Położył rękę na jej ramieniu. — Musisz być czystego serca i z pewnością przepelnia cię miłość, inaczej nie zobaczyłabyś tego, co widziałaś.

— Czy anioły są niebezpieczne? — spytała. — Nie skrzywdzą Toby'ego, prawda?

— Z tego, co wiem, wprost przeciwnie. We wszystkich opisach objawień mowa o tym, że chronią ludzi, zwłaszcza dzieci. Nie wiemy jednak, czy przybywają z niebios, czy też są rodzajem energii materializującej się z ludzkiego umysłu. Rozmaici ludzie próbowali przez wieki udowodnić ich istnienie. Fizycy, biskupi, spirytyści... można by dalej wyliczać. Pomyśl, jakże spektakularny byłby to sukces, gdyby kościół wykazał, że istnieją i zostały zesłane przez Boga!

Sięgnął do biurka po książkę, w której zaznaczono liczne strony.

— Widzisz te obrazki? Nikt nie uzyskał bardziej prawdopodobnych dowodów na istnienie aniołów. Przez czterdzieści lat prowadzono badania nad dziećmi, które stawiają pierwsze w życiu kroki. Ponad wszelką wątpliwość zostało udowodnione, że ich dreptanie zaprzecza prawom fizyki. Nie są jeszcze wystarczająco silne fizycznie, nie umieją zachować równowagi. A jednak... w jakiś cudowny sposób im się udaje. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku grupa lekarzy ze szpitala przeprowadziła eksperyment z udziałem dzieci, które właśnie zaczynały chodzić. Robiono fotografie na podczerwień i z wykorzystaniem ultrafioletu i... zobacz tutaj, możesz sama obejrzeć rezultaty. Na co najmniej pięciu zdjęciach widać długi ciemnawy kształt, który wygląda, jakby ktoś trzymał maluchy za rękę.

Przyglądała im się uważnie, czując ciarki na plecach, jakby krocionogi pełzały jej pod swetrem.

Ciemnawe kształty na fotografiach rysowały się niewyraźnie, a ich oczy były ledwie widoczne. A jednak były dokładnie takie same, jak ta oślepiająca istota, która znalazła się w pokoju Toby'ego.

— Dlaczego nikt do tej pory nawet o tym nie wspomniał? — zapytała. — Skoro objawiły się już dwadzieścia siedem razy, nie licząc mnie, dlaczego nikt nic nie mówi?

— Kościelna polityka. — Duncan zamknął książkę. — Rzymscy katolicy nie chcą wspominać o objawieniach na wypadek, gdyby jednak udowodniono, że nie są to aniołowie, ale rodzaj aury, która otacza człowieka. Kościół szkocki z kolei odrzuca wszystko, co trąci cudem, zabobonem, sztuczką. Ci, którzy mieli wizje, są zakonnikami lub zakonnkami czy kapłanami, toteż musieli się podporządkować zaleceniom zwierzchników, by zachowali to, co się wydarzyło, dla siebie.

— Ja nie jestem prawdziwą zakonnką! Mogę o tym mówić i nikt mnie nie powstrzyma!

— Przede wszystkim powinienem porozmawiać z hierarchami kościelnymi, żeby się przekonać, co na ten temat myślą — powiedział Duncan. — W końcu jeśli zostanie ogłoszone, że jedna z parafianek była świadkiem pojawienia się anioła, kościół zostanie zaangażowany w nieuchronnie z tym związaną publiczną dyskusję.

— Ale ty naprawdę mi wierzysz, tak? — spytała Gillie. — Nie jestem szalona ani nic takiego, rzeczywiście go widziałam, rzeczywiście tam był.

— Wierzę — uśmiechnął się Duncan. — Porozmawiam z dostojnikami, a potem wpadnę do was do domu i powiem ci, co zdecydowali.

Wieczorem, gdy jedli przy kuchennym stole jagnięce kotlety i puree z rzodkwi, mały Toby przydreptał chwiejnie po podłodze i przywarł do krzesła Gillie. Uniósł głowę i zaczął do niej gaworzyć.

— Idź sobie, ty podrzutku — powiedziała. — Masz pobrudzone palce, zostawisz mi plamy na spodnicy. — Wydawało jej się, że jego oczy rozbłyły na ułamek sekundy, jak flesz przy robieniu zdjęcia.

Lepiej uważaj, co mówisz — ostrzegła ją Alice. — Toby ma anioła stróża i nie chcesz chyba zdenerwować właśnie jego.

Słońce słabo przeświecało przez brudnoszare chmury, gdy Duncan Callander przyszedł ich odwiedzić następnego popołudnia. Został zaproszony do najlepszego pokoju, a mama poczęstowała go ciasteczkami i herbatą.

— Rozmawiałem z hierarchią kościelną dzisiejszego ranka. Prawdę mówiąc, zwołano specjalne zebranie. Muszę państwu powiedzieć, że wszyscy najserdeczniej życzyli młodej Gillie wszystkiego najlepszego i bardzo sobie cenią to, że przedstawiła ku ich rozwadze tak zadziwiającą historię.

— To nie jest żadna historia! — przerwała mu Gillie. Duncan podniósł rękę, by ją uciszyć. Nie patrzył jej w oczy. Oglądał wzór na dywanie, a mówił tak, jakby wyuczył się na pamięć napisanego mu przez kogoś tekstu.

— Jak już mówiłem, bardzo to doceniają, relacja wzbudziła ich ogromną ciekawość. Ale uważają, że nie ma dowodów na to, by Gillie doświadczyła czegoś więcej niż złudzenia optycznego.

Albo halucynacji wywołanej stresem związanym z pojawieniem się nowego dziecka w domu. Innymi słowy, sprawę wyjaśnia najprawdopodobniej rozpaczliwa chęć zwrócenia na siebie uwagi starszej siostry, która jest zazdrosna i czuje się odrzucona.

— Mówiłeś, że mi wierzysz — wyszeptała Gillie, przyglądając mu się. — Powiedziałeś, że mi wierzysz.

— Tak, ale obawiam się, że postąpiłam niesłusznie. Byłam w nastroju do mistycznych rozważań, a wtedy zawsze pakuję się w kabałę. Dostojnicy kościoła... cóż, dostojnicy kościoła podkreślali, że nikt dotąd nie przedstawił rozstrzygającego dowodu na objawienie się anioła, a dopóki do tego nie

dojdzie, oficjalne stanowisko kościoła jest takie, że nic podobnego się nie wydarzyło. —

Odetchnął głęboko. — Przepraszam, że wprowadziłem cię w błąd.

— To wszystko? — spytała Gillie. — Nic się nie stanie? Widziałam anioła, a wy stwierdzacie, że wymyśliłam go sobie, ponieważ jestem zazdrosna o Toby'ego?

— Skoro w ten sposób to sformułowałaś, tak — powiedział Duncan, ale mówił łagodnym głosem i tak cicho, że ledwie słyszała.

— Nie przejmuj się, kochanie. — Mama ujęła jej dłoń i uścisnęła ją. — Zapomnij o tym wszystkim, odsuń to od siebie. Co ty na to, żebym upiekła na dzisiejszy wieczór twoje ulubione ciasto?

Gdzie zamierzasz spać? — spytała Alice.

— Nie wiem. Coś sobie znajdę. Tak jak włóczędzy.

Nie zamierzasz chyba spać na dworze w mroźną noc?

— Gdzieś przycupnę. Wszystko lepsze niż dom. Kolacja na ciebie czeka. Mama upiekła to bogate, ciężkie czekoladowe ciasto. Ciepłe łóżko też przygotowane.

— Nie dbam o to. Co za pożytek z ciasta i ciepłego łóżka, skoro nazywają cię kłamczuchą.

Nawet pastor oświadczył, że kłamię, a tymczasem kto z nas kłamał?

Brnęła przez Rose Street, mijając jasno oświetlone puby, indyjskie restauracje, potrącana przez rozwydrzonych nastolatków i bełkoczących pijaków. Może pani McPhail ją przenocuje. Pani McPhail wierzy w anioły.

Śnieg zaczął sypać znowu, kiedy przeciąwszy Prince's Street, zaczęła wędrować Waverley Bridge. Sir Walter Scott spoglądał na nią z gotyckiego pomnika, jakby rozumiał jej położenie. Jego głowę też przepełniały rozmaite wyobrażenia. Chociaż miała na sobie czerwoną budrysówkę i białą wełnianą czapkę, czuła, że marznie, a w dużych palcach u nóg straciła czucie.

Ulice biegnące przez wzgórze były opustoszałe. Przecięła North Bridge Street i zdecydowała, że pójdzie do pani McPhail bocznymi uliczkami, na wypadek gdyby tato szukał jej samochodem.

Nigdy dotąd w życiu nie czuła się tak niepoczyszona. Zdawała sobie sprawę, że ludziom trudno przyjdzie jej uwierzyć. Ale to się nie liczyło. Za to bardzo bolała zdrada Duncana. Nie do pojęcia, jak cyniczni mogą być dorośli... a już zwłaszcza, gdy chodzi o dorosłego, którego powołaniem jest stać na straży prawdy i sprawiedliwości i ochraniać słabych.

W połowie Blackfriars Street zobaczyła młodego mężczyznę. Szedł szybko w jej stronę. Miał

na sobie anorak, szkocki beret z pomponem i długi szalik komandosa. Zbliżał się tak szybko, jakby go ktoś ścigał. Wokół jego głowy kłębiły się obłoczki wydychanego powietrza.

Zeszła na bok, ale zamiast ją wyminąć, uderzył ramieniem tak, że musiała się oprzeć o mur mijanego ogrodu.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapiszczała.

Natychmiast zacisnął dłoń na sznurowanym zapięciu budrysówki i przyciągnął ją do siebie. W

świecie lampy ulicznej zobaczyła lisią, nie ogoloną twarz o woskowej skórze i złote kółka kolczyków w obu uszach.

— Oddaj portmonetkę! — zażądał.

— Nie mogę!

— Co znaczy: nie mogę? Musisz.

— Jestem na gigancie. I mam tylko sześć funtów.

— To mnie urzęda. Możesz sobie jutro znowu uciekać. Ja nawet nie mam skąd uciekać.

— Nie! — wykrzyknęła Gillie, próbując się wykręcić z jego chwytu.

Złapał ją za budrysówkę i potrząsnął nią.

— Wyciągaj portmonetkę, chyba że chcesz się czegoś doigrać, ślicznotko!

— Proszę... — przełknęła ślinę — proszę, puść mnie.

— To dawaj portmonetkę, i to szybko.

Zbliżył do niej twarz tak, że wyczuwała nieświeży zapach tytoniu w jego oddechu. Oczy miał

szkliste, wytrzeszczone. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła futrzaną portmonetkę. Obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

— Co to takiego? Zdechły szczur?

— To moja po... po... po...

— Robisz ze mnie głupka? — spytał, wkładając portmonetkę do kieszeni. — Co byś powiedziała na małą pamiątkę, tak żebyś to ty wyglądała głupio?

Ściągnął z niej wełnianą czapkę, złapał za włosy i boleśnie szarpnął głową. Nie była w stanie krzyczeć. Ani walczyć. Strach zakneblował jej usta.

W tym samym momencie poczuła, że chodnik pod jej stopami zawibrował. Jakby tuż obok przejeżdżał ciężki walec drogowy. Usłyszała głuchy grzmiący odgłos, który stawał się coraz głośniejszy, niemal przeraźliwy. Mężczyzna puścił jej włosy i rozejrzał się z niepokojem.

— Cóż to jest, na litość — zaczął, a jego dalsze słowa pochłonał grzmiący dźwięk, po którym błysnęło oślepiające białe światło. Tuż przed nimi pojawiła się wysoka, żarząca się postać, wydająca silne trzaski; wyładowania elektryczne tworzyły wieniec na jej głowie, ogromne skrzydła były roz-warte.

Jaśniała, rozświetlając ulicę, jakby nagle zapanował dzień. Płatki śniegu z cichym sykiem parowały w zetknięciu z jej skrzydłami. Gillie stała oparta o ceglany ogrodowy mur, patrząc z niedowierzaniem. Napastnik stał również zapatrzony, sparaliżowany strachem.

Skrzydła zamigotały silnie, zjawa wyciągnęła długie ramię i położyła dłoń na czubku głowy mężczyzny, jakby go błogosławiąc.

Rozległ się gwałtowny trzask i rozbrzmiał echem po obu stronach ulicy. Młody człowiek zdążył raz krzyknąć, nim z ust i nosa zaczął mu się wydobywać dym, a potem eksplodował. Strzępy porwanego anoraka i kawałki skóry z butów leżały porozrzucane na chodniku przy dymiących popiołach.

Niemal natychmiast postać zaczęła blaknąć. Zwinęła skrzydła, odwróciła się i znikła, szybko i na dobre, zupełnie jakby zamknęła za sobą drzwi. Gillie została sama, wśród rozrzuconych po ulicy szczątków napastnika. Widziała, jak rozsuwają się zasłony w oknach i ludzie wyglądają, by zobaczyć, co się dzieje.

Podniosła portmonetkę. Obok niej leżało sześć czy siedem białych piór — wielkich, miękkich, puszystych jak śnieg. Część z nich była lekko osmalona. Podniosła je również i poszła pospiesznie z powrotem North Bridge Street, a potem zaczęła biec. Pokonała sporą część drogi do domu, nim doszedł ją dźwięk strażackich syren.

Przepchnęła wózek z Tobym przez kościelną furtkę, a potem pojechała wzdłuż zwieńczonych czapami śniegu nagrobków. Duncan stał w kościelnej kruchcie i przypinał ogłoszenia. Spojrzał na nią dziwnie, ale nie przerwał pracy.

— Po co przyszłaś? — spytał. — Po wyjaśnienie czy przeprosiny? Możesz dostać jedno i drugie, jeśli chcesz.

— Nie potrzebuję ani jednego, ani drugiego — oświadczyła. — Wiem, że widziałam go naprawdę i nie widzę potrzeby, żeby o tym komukolwiek mówić. I wiem coś jeszcze. Każdy ma swojego anioła stróża, szczególnie gdy jest się niedorośliwym, ponieważ każdy z nas musi zrobić rzeczy niemożliwe, jak na przykład nauczyć się chodzić albo odkryć, że rodzice jednak dbają o nas.

— Wygląda na to, że lepiej odnosisz się do braciszka — zauważył Duncan.

— Bóg musiał chcieć, żeby się narodził, prawda? — uśmiechnęła się. — Inaczej nie posłałby do niego anioła. I musiał też chcieć, bym ja się narodziła.

— Coś przede mną ukrywasz. — Duncan spojrział na nią pytająco. — Czyżbyś widziała innego anioła?

— Słyszałeś o tym facecie, którego piorun zabił wczoraj w nocy na Blackfriars Street?

— Oczywiście. Podawali to w wiadomościach.

— Tylko że nie był to piorun. Kto słyszał, by pioruny biły w czasie zamieci śnieżnej?

— Skoro nie piorun, to co?

Gillie sięgnęła do kieszeni i wyjąwszy osmalone pióra, położyła je na otwartej dłoni Duncana.

— Proszę — powiedziała. — Dowód na istnienie aniołów.

Długo stał przed kruchtą, patrząc za nią, jak pcha wózek z Tobym po ulicy. Podmuch zimowego wiatru wyszarpnął mu pióra z ręki i porwał jedno po drugim przez kościelne podwórze. Odwrócił się i wszedł do środka, szczelnie zamykając za sobą drzwi.

Żarłoczny księżyc

Lewes, Sussex

Lewes jest miastem okręgowym we wschodnim Sussex, położonym nad rzeką Ouse. Kiedy się patrzy w kierunku Glynde i Eastbourne, można podziwiać idylliczne wprost widoki angielskiego wiejskiego krajobrazu.

Wiele lat temu mieszkałem w tym mieście, tuż obok piętnastowiecznej rezydencji Anne of Cleves, i niezmiernie podobały mi się stromo wznoszące się brukowane ulice i charakterystyczne, pokryte dachówką domy. W 1264

roku Simon de Monfort pokonał tutaj Henryka III; dziś o strategicznym znaczeniu Lewes przypomina zamek z wewnętrznymi wrotami datującymi się z czasów normańskich.

Do wartych wspomnienia zabytków należy klasztor Cluniac z 1078 roku. Często chodziłem tam na spacer; przechadzałem się wśród cieni i szeptów, jakby mnisi wciąż tam byli, zaprzątnięci swoimi sprawami.

Lewes nie jest już takie, jakie je znałem; zmieniło się diametralnie. Obwodnice przecięły podmokłe niegdyś łąki. Zniknęli rzeźnicy, sklepiki z pasmanterią i gospodarstwem domowym. Dwie rzeczy pozostały jak dawniej: browar Harveys produkujący wspaniałe sussexsowskie ale i doroczne obchody Bonfire Night z paradami na ulicach i rzucaniem płonących beczek ze smołą do Ouse.

Przetrwały także starsze tradycje, w gruncie rzeczy obce Sussex. Jeśli chcecie, przekonajcie się, czy jesteście w stanie stawić im czoło.

ŻARŁOCZNY KSIĘŻYC

Marcus siedział przy śniadaniu, zagapiony na żarłoczny księżyc. Żarłoczny księżyc zerkał na niego w

sobie właściwy sposób — usta miał wypchane farmerskimi domami, stogami siana, drzewami, białoczarnymi krowami. Było coś lubieżnego i porozumiewawczego w spojrzeniu żarłocznego księżycy, choć tak naprawdę jako dziewięcioletni chłopiec Marcus niezbyt dokładnie zdawał sobie sprawę, co też „lubieżny” znaczy. W każdym razie rozumiał, że żarłoczny księżyc nie jest istotą, od której można by przyjąć cukierka na szkolnym terenie zabaw.

Nie to, żeby go kiedykolwiek spotkał na terenach należących do szkoły. W rzeczywistości świecił tylko na pudełku Moon Brand Wheat Flakes — niesmacznych, produkowanych według staroświeckiej receptury płatków śniadaniowych, przy których kupowaniu upierał się ojciec Marcusa, ponieważ przypominały mu czasy, kiedy to on był chłopcem, „Dandy” kosztował dwa pensy, a najśmieszniejszym programem w telewizji był Pan Pastry i można było chodzić na spacer do stawu Waddon, by podziwiać rybki, bez obawy, że się będzie zaczepionym. „Płatki Moon Brand idealne dla dorastających dzieci” — co z tego, kiedy smakowały jak wyschnięty papier po mięsie.

Za to ich znak firmowy fascynował Marcusa. Żarłoczny księżyc unosił się nad polem zboża z wielką łyżką w ręce, nabierał na nią kawałki wsi i pożerał je. Został narysowany z pieczołowitą troską o detale; jego twarz pokrywały kratery, na rękach nosił rękawiczki z guziczkami. Na dalszym planie rysowały się omiotane wiatrem diuny i widoczne wśród wzgórz kościelne wieże.

Marcus bawił się z żarłocznym księżycem w grę, która polegała na zapamiętaniu jak największej liczby połykanych przez niego rzeczy. Traktor, płot, świnia, furtka, wiadro na pomyje...

— Jeszcze nie skończyłeś? — zapytała mama, pojawiając się w drzwiach jadalni z rękami obielonymi mąką. — Wiem, że są ferie, ale w ten sposób nie skończysz do lunchu.

Wszedł ojciec; włosy miał świeżo wyszczotkowane i posmarowane brylantyną, wąsiki starannie przycięte.

— Poczekaj! — powiedziała mama i zaczęła zbierać włoski z jego granatowej marynarki.

Zbył ją machnięciem ręki.

— Nie mam czasu — stwierdził. — Powinienem być już w Hemel Hempstead. — Rozłożył na brzegu stołu mapę Królewskiego Klubu Automobilowego. — Tutaj. Znalazłem. Bovington Road. Ale gdzie jest Bovington Close? Nie mogliby drukować trochę większych tych cholernych liter?

— Uważaj, co mówisz! — złajała go matka, co robiła zawsze, gdy zaklął. Otworzyła górną szufladę serwantki i wyjęła szkło powiększające. — Masz, użyj tego. Być może przydałyby ci się okulary.

— Nie przydałyby mi się żadne okulary! — zapewnił ojciec, ale wziął lupę i patrzył przez nią na mapę jak detektyw szukający śladów. — Aha. Tutaj jest. Co za głupota, skrócili to do Bvngdn Cl.

Jak, na litość, ktokolwiek miałby wiedzieć, że ma to znaczyć Bovington Close?

— Może Królewskie Towarzystwo Automobilowe wierzy w inteligencję swoich członków —
uśmiechnęła się matka.

Ojciec zwichrzył Marcusowi włosy, pocałował mamę i wyszedł. Marcus został sam w jadalni i żując mozolnie kończył tosta. Zawsze jadł powoli, ponieważ nosił aparat prostujący górne zęby.

Sięgnął po szkło powiększające i ustawił je pod ukośnym kątem, by złapać na nie padające przez okno promienie słoneczne. Zogniskował je na rozrzuconych okruchach, by się przekonać, czy zapłoną.

Potem przyjrzał się napisom na pudełku płatków i wreszcie skupił uwagę na rysunku przedstawiającym żarłoczny księżyc.

Lupa sprawiła, że wyglądał jak trójwymiarowy; jakby płynął ku krawędzi pudełka. Marcusa zdumiało, ilu drobnych szczegółów do tej pory nie zauważył. W trawie na miedzy stał słupka zając.

Zobaczył chabry i motyle, i owce pasące się na odległych wzgórzach.

A potem coś, czego widok go zadziwił i zaczął jeszcze usilniej przyglądać się obrazkowi.

Żarłoczny księżyc wpychał sobie w usta, tuż przy lewym kąciku, małego chłopca, którego wargi ułożone były w „O”, wyrażającym przerażenie i desperację, a jedno ramię wzniesione w rozpaczliwym geście.

Marcus patrzył na chłopca co najmniej przez minutę. Doskonale rozumiał, dlaczego nigdy dotąd go nie spostrzegł: bez szkła powiększającego nie odróżniał się od kawałka pola, który żarłoczny księżyc właśnie odkopał i pożerał. Marcus zastanawiał się, czy ludzie produkujący Moon Brand Wheat Flakes wiedzieli o istnieniu chłopca, czy też może rysownik przebiegle go przemycił bez ich wiedzy. Ale dlaczego to zrobił? Nie najlepszy pomysł: podobizna zjedanego dziecka na paczce płatków przeznaczonych dla dzieci.

Była jeszcze jedna dziwna rzecz: chłopczyk najwyraźniej nie miał dłoni. Podniesione ramię zostało narysowane tylko do mankietu.

— Marcus? — Matka wróciła do jadalni. — Jeszcze nie skończyłeś?! Czasami jesteś zupełnie jak zółw.

— Spójrz — powiedział, unosząc pudełko z płatkami. — Tu jest coś, czego nigdy przedtem nie zauważyłem. Żarłoczny księżyc zjada chłopca.

Matka spojrzała przelotnie, tak naprawdę w ogóle nie patrząc.

— Biedny chłopaczyna — oświadczyła sprząając talerze po śniadaniu.

— Ale zobacz! On go je, a chłopiec krzyczy.

— Nic dziwnego. Mógłbyś iść do sklepu, przynieść mi trochę łożu?

— A dostanę szylinga za drogę?

— Szylinga? Uważasz, że pieniądze spadają mi z nieba?

Marcus popedałował do sklepiku na rogu. Cały czas myślał o chłopczyku zjadanym przez żarłoczny księżyc. Zastanawiał się, jakie to uczucie, być unoszonym na łyżce razem z zabudowaniami i ryczącym bydłem, a potem kładzionym żywcem na zębach trzonowych. I nad tym, dlaczego chłopiec nie miał dłoni. Być może księżyc mu ją już odgryzł. Wszystko to było dziwne.

Nikły w blasku dnia miesiąc dotrzymywał mu kroku, obserwując go spoza ogłowionych platanowców, jakby chciał zyskać pewność, że Marcus nie wyda jego sekretu.

Dawny przyjaciel szkolny, Roger Fielding, zaprosił go do Sussex na weekend. Zupełnie nie miał ochoty jechać, ponieważ szczerze nienawidził odnawiania starych znajomości. Zbyt wiele lat upłynęło, by lata spędzone w szkole miały jeszcze jakieś znaczenie, ale nie tyle, by je opromienić nostalgicznym blaskiem. Zbył już jednak Rogera trzykrotnie i wiedział, że tym razem nie uda mu się odmówić. Poza tym Fielding znaczył coś w Ministerstwie Ochrony Środowiska i istniała, choć niewielka, możliwość, że udzieli pomocy, gdy przyjdzie zdobywać pozwolenia na inwestycje na historycznych lub ekologicznie cennych terenach.

Większość weekendu spowiła przeraźliwie mokra kurtyna deszczu, tak że niemal cały czas grali w tryk-traka, popijając warzone domowym sposobem piwo. Roger miał trzy labradory, bezustannie wywieszające wilgotne języki, i drobną jak ptaszek żonę o imieniu Philippa. Przedstawiając ją stwierdził, że ma „lekką rękę” do wszystkiego, co wyrafinowanie artystyczne. Zajmowała się renowacją obrazów i tapicerki meblowej, a jej oprawione grafiki wisały wszędzie na ścianach.

Odrestaurowała ich osiemnastowieczny dom niemal samodzielnie i Marcus musiał przyznać, że z doskonałym rezultatem. Dom był elegancki, z opadającego pochyło ogrodu o podłużnym kształcie rozciągał się widok na Glynde i Eastbourne.

— To taki inspirujący dom — entuzjazmowała się Philippa. — Kiedyś zatrzymał się tu Turner, no i przede wszystkim Duncan Greenleaf tu mieszkał, to znaczy przed nami.

— Duncan Greenleaf? — spytał Marcus, unosząc rękę, by wymówić się od trzeciego kawałka tarty z agrestem. — Nigdy chyba o nim nie słyszałem.

— Jeden z największych rysowników w latach trzydziestych — wyjaśnił Roger.

— Jeden z największych wielkich rysowników lat trzydziestych — wtrąciła Philippa. — Żyje jeszcze, ale musi mieć... och, z osiemdziesiąt, a może dziewięćdziesiąt lat. Nie dawał sobie już rady z domem.

W porze herbaty niebo nagle się przejaśniło i dom wypełnił blask promieni słonecznych. Roger i Marcus wyszli na spacer, zabierając ze sobą psy, żeby pobiegały. Roger pożyczył Marcusowi parę wellingtonów, które wydawały klaskający głośny dźwięk przy każdym kroku. Wyszli ogrodową furtką i ruszyli wąską drogą. Woda wciąż ściekała po kamieniach, a krople z drzew skapywały Marcusowi za kołnierz.

— Kocham Sussex — powiedział Roger. — Szczerze żałuję, że nie mogę tu stale mieszkać.

Marcus uśmiechnął się z przymusem. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie ściągnie te rozdeptane wellingtony i złapie pociąg do Londynu. Psy też nie ratowały sytuacji. Biegały niezmordowanie po polach, kanałach odwadniających, po czym pędziły do nich z powrotem po to, żeby otrząsnąć się na płaszcz przeciwdeszczowy Marcusa.

Doszli do zwartej ściany drzew i Roger gwizdnawszy ostro na labradory, przywołał je do nogi.

Czekały przestępując z łapy na łapę, aż weźmie je na smycz.

— Trzeba tu uważać — wyjaśnił. — Za drzewami rozciąga się bagnisty grunt. W dodatku porośnięty jeżynami. Sporo ludzi straciło tutaj psy. Uwięzione w cierniach, potopione, nie wiadomo co jeszcze, w każdym razie gdy raz tam wejdą, nie ma szans ich wydostać.

— Nie możecie się zwrócić do władz, żeby zrobiły z tym porządek?

Roger wskazał na niewielką białą tablicę. „Własność prywatna. Wstęp zabroniony”.

— Teren należy do rodziny Vane'ów, las leży na tyłach ich rezydencji, Hastings House. Osiedli tu dwieście lat temu. Całe swoje bogactwo zawdzięczają morzu. Czasami któryś z nich pojawia się na obiedzie wydanym na cele dobroczynne czy podobnej imprezie, ale na ogół zadowolają się własnym towarzystwem. Prawdziwe z nich odludki.

— Jednym słowem, nie są to sąsiedzi, do których się wpada pożyczyć soli?

— Zawsze można spróbować, prawdopodobnie jednak potraktowaliby twój zadek grubym śrutem, ledwie byś stanął w ich bramie.

Przeszli obok drzew i droga poprowadziła ich znowu przez otwarty teren. Wzmagający się wiatr szybko przegonił resztki chmur. Marcus zobaczył w oddali grzbiety wzgórz, farmę, małą wioskę, spiczaste kościelne wieże.

— Pięknie, prawda? — spytał Roger, głośno wciągając świeże powietrze.

Wysoko nad wzgórzami rozstrzępiła się ostatnia chmura i rozplynęła, odsłaniając kremowoblady księżyc. Niemal w tym samym momencie kościelny dzwon rozbrzmiał pięć razy; stadko gawronów się zerwało i zaczęło krążyć wokół wieży, kracząc z niezadowolaniem.

— Ależ to tutaj — powiedział Marcus, przystając ze zdumienia.

— Co: tutaj?

— Dokładnie to miejsce. Nie do wiary.

— Przepraszam, stary, ale nie nadążam. — Roger z uśmiechem potrząsnął głową jak jeden z jego labradorów.

— To te płatki śniadaniowe, które kupowaliśmy, kiedy byłem chłopcem... miały rysunek na boku

pudełka, rodzaj logo. Księżyc, farma, wieś i kościelne wieże. Spędzałem całe godziny oglądając ten obrazek... no i jest. Ktokolwiek to rysował, musiał mieć przed oczami ten widok.

— Patrzcie, patrzcie — powiedział Roger — co za zbieg okoliczności. — Podniósł patyk i rzucił psom; natychmiast puściły się przez wysoką trawę, tak że widać było tylko ich trzepoczące czarne uszy. — Cudom nie ma końca, co?

— Księżyc miał łyżkę, którą wszystko zjadał... farmę, bydło, płoty. I małego chłopca. Właśnie to mnie niepokoiło.

Żeby go zobaczyć, trzeba było wziąć lupę, ale... — Nagle zdał sobie sprawę, że Rogera ani trochę to nie interesuje — Nie zauważyłbyś go, gdybyś dobrze nie szukał — dokończył niezręcznie.

Kiedy doszli do farmy, Roger zerknął na zegarek.

— Na który pociąg chciałbyś zdążyć? — zapytał. — Jest jeden za dziesięć siódma, ale możemy wpaść na pożegnalnego drinka do pubu i wtedy złapiesz późniejszy, za piętnaście ósma.

— Ten wcześniejszy mi odpowiada — odpowiedział Marcus. Najwyraźniej Roger doszedł do tego, co on wiedział od początku: że odnawianie szkolnych znajomości ze swej natury stwarza niezręczną pustkę. Poczucie konspiracji zrodzone z niesłychanej bliskości dwudziestu lub trzydziestu młodych umysłów, usiłujących poznać świat — zniknęło. Podobnie jak radosna wiara w to, że życie nigdy się nie skończy.

Wrócili do domu. Phillipa wręczyła Marcusowi torebkę agrestowych ciastek do pojadania w pociągu. Kilka mil za stacją Haywards Heath otworzył okno i wyrzucił je w ciemność.

Wykrył, że Moon Brand Ltd miała fabrykę w Hemel Hempstead i że w roku 1961 wchłonęło ich Anglo-Amalgamated Foods, zachowując ponad połowę asortymentu ich produkcji, w tym także Moon Brand Wheat Flakes. Nie zachowały się żadne dokumenty, które by stwierdzały, kto narysował żarłoczny księżyc, ale udało mu się przynajmniej zrobić odbitkę.

W pokoju dziennym w swoim mieszkaniu przy Wandsworth Bridge przypiął pinezkami do ściany jej ogromne powiększenie i siadywał wieczorami, by się w nią wpatrywać. W porze lunchu wędrował po bibliotekach i przeglądał katalogi ze znakami firmowymi i logami oraz wydawnictwa z wzorami opakowań.

W Putney Library natknął się wreszcie na książkę Sztuka reklamy: wzornictwo opakowań, a w niej — ku swemu zdumieniu — na kolorową reprodukcję żarłocznego księżycyca.

Nie miał do tej pory pojęcia, że oryginał namalowano w kolorze, na pudełku płatków rysunek był czarno-biały. Niestety nie nosił podpisu, nie znalazł też żadnej wskazówki — ani w opisie pod spodem, ani w tekście czy indeksie — kim mógł być artysta. Wszystko, co wyczytał, to: „Znak firmowy używany przez Moon Brand Ltd na Wheat Flakes, ok. 1937”.

Pożyczył książkę i zaniósł do najbliższego punktu, w którym mógł zrobić kolorową odbitkę. I tam

właśnie, deszczowym czwartkowym popołudniem, odkrył, kto namalował żarłoczny księżyc, a odpowiedź była tak oczywista, że omal nie plasnął dłonią w czoło, jak zwykły czynić postaci z komiksów.

— Odpowiadają panu kolory? — Dziewczyna obsługująca kopiarkę wręczyła mu próbkę. —

Ten liść nie jest chyba tak zielony, jak powinien.

Oczywiście. Zielony liść. A obok zardzewiała, brunatna puszka. Zatem rysunek był podpisany.

W sposób, w jaki zwykł to robić Duncan Greenleaf.

Dziewczyna przyglądała mu się przez moment.

— Nic panu nie jest? — spytała. — Nie wygląda pan za dobrze.

Był tak stary i kruchy, że niemal przezroczysty. Siedział przy oknie, zapatrzony na ogród, otulony szlafrokiem w kolorze wielbłądziej wełny, o brzegach obszytych lamówką, jakie zwykle noszą dzieci. Miał duży, kształtny nos, a na głowie burzę siwych włosów. Okulary w drucianej oprawie trzymał na kolanach, jakby nie zależało mu już na tym, żeby cokolwiek dokładnie widzieć.

— Duncan, masz gościa — powiedziała pulchna pielęgniarka o zaróżowionych policzkach.

Duncan Greenleaf uniósł głowę. Oczy, kiedyś czystonie-bieskie, teraz wyblakłe i zamglone, spoglądały w taki sposób, że Marcus nie miał pewności, czy w ogóle został dostrzeżony.

— Pan Greenleaf? — Marcus przedstawił się i dodał: — Jestem pańskim wielbicielem.

— Wielbicielem? Jest pan homoseksualistą?

— Miałem na myśli pańską twórczość.

— Nie pracuję już od piętnastu lat, mój chłopcze. No, może zrobiłem parę szkiców, to wszystko. Oczy jeszcze widzą, a umysł pojmuje, ale ręka nieposłuszna.

— Przychodzę zapytać o żarłoczny księżyc — powiedział Marcus, siadając naprzeciwko niego.

— To znaczy, ja go tak zawsze nazywałem. Pańskie logo na Moon Brand Wheat Flakes.

— I co z tego? Namalowałem ich setki — parsknął pogardliwie Duncan Greenleaf.

— Wiem. Ale tylko na tym był narysowany mały chłopiec. Bez jednej dłoni.

Zapadła na długo cisza. Marcus zaczął już powątpiewać, czy Duncan Greenleaf usłyszał

ostatnie zdanie. Ale stary człowiek podniósł okulary, włożył je i popatrzył na Marcusa; w jego oczach malował się smutek.

— Rzeczywiście. Chłopczyk bez jednej dłoni. Dziwi mnie, że pan go odkrył, był bardzo maleńki. Naprawdę maleńki.

— Użyłem szkła powiększającego.

— Tak. Ja też. Przy malowaniu.

— Za tło posłużył panu widok, jaki rozciągał się na tyłach pańskiego domu, prawda? Człowiek, który go od pana kupił, jest moim dawnym szkolnym przyjacielem.

— Owszem, ma pan rację. Rozciągający się na zachód, w kierunku Glynde.

Znowu zamilkli. Wreszcie Marcus zapytał:

— Kim on był? Chłopiec, którego zjadał żarłoczny księżyc?

— To stara opowieść — odparł Duncan Greenleaf, powoli potrząsając głową. — Wie pan, jedna z tych, o których lepiej nie pamiętać.

— Dlaczego miał tylko jedną dłoń?

— Bo drugą... stracił.

— Nie mógłby mi pan po prostu wyjaśnić, co to wszystko znaczy? Rozmyślałem o tym z przerwami przez lata. Teraz, kiedy pana spotkałem... odwiedziłem miejsce, gdzie pan mieszkał...

wszystko znowu odżyło. Proszę pana.

— Wtedy mi nie uwierzono. — Duncan Greenleaf wzruszył ramionami. — Więc nie ma żadnego powodu, żeby pan uwierzył mi teraz.

— Może sam się pan przekona? Proszę. Zupełnie na serio uważam, że dostanę świra, jeśli tego nie rozwiklam.

Pulchna pielęgniarka przyniosła dwie filiżanki słabej herbaty i talerz dietetycznych biskwitów.

Kiedy wyszła, Duncan Greenleaf powiedział niezwykle cichym głosem.

— Ten chłopiec to mój młodszy brat, Miles. Ja miałem czternaście, a on dwanaście lat i obydwoj chcieliśmy zostać artystami i podróżnikami. Dlatego postanowiliśmy wyruszyć na wyprawę na tyły Hastings House, rezydencji Vane'ów. Jak sądzę, widział pan te tereny. Naturalnie, Miles i ja słyszeliśmy wszelkie możliwe opowieści o tej rodzinie. Kilku kolegów twierdziło, że są oni tylko na poły ludzkimi istotami. Wyglądają zupełnie normalnie w ciągu dnia, by nocą przeobrazić się w przerażające bestie. Oczywiście, jak to chłopcy, ruszyliśmy o zmierzchu, żeby zobaczyć ich w gorszym wcieleniu...

Przezołgaliśmy się przez to zatrważające skupisko drzew. Nie dałoby się zliczyć zadrapań na mojej

twarży ani rozdarć na ubraniu. Księżyc świecił jasno tej nocy, ale miejscami drzewa rosły tak gęsto zbite, że traciliśmy się z oczu i musieliśmy nawoływać głosami sów... nasza popisowa umiejętność.

Znaleźliśmy się w opadającej w dół bagnistej części lasu. Miałem wrażenie, że za chwilę zapadnę się po pas, tak grząski był teren. Porastały go jeżyny, gorsze od kolczastego drutu.

Zatrzymaliśmy się i zdecydowaliśmy, że wracamy. I właśnie wtedy usłyszeliśmy gdzieś niedaleko skomlenie. Jakby zwierzę cierpiało. Ruszyliśmy więc w tamtą stronę. Po dłuższych poszukiwaniach znaleźliśmy leżącego na ziemi psa myśliwskiego. Jego przednie nogi tkwiły w potrzasku. Nie w sidłach, proszę zauważyć, a w potrzasku o metalowych zębach. Jedna łapa była przecięta, druga złamana. Miles i ja próbowaliśmy rozewrzeć pułapkę kijem, ale nie znaleźliśmy dość mocnego. W

końcu Miles powiedział, że pobiegnie po pomoc, jeśli ja zostanę, by uspokoić nieszczęsnego psa.

Duncan Greenleaf przerwał na chwilę, by pociągnąć łyżeczek herbaty.

— Jest pan trzecią osobą, która słyszy tę historię. Tej nocy, kiedy to się wydarzyło, opowiedziałem ją inspektorowi policji w Lewes. I ojcu. Obaj mi nie uwierzyli i z tego właśnie powodu postanowiłem nigdy więcej jej nie opowiadać. Mogłem uwiecznić te wydarzenia tylko w swojej twórczości... i to jak się okazuje, aż po dzień dzisiejszy, choć Moon Brand Wheat Flakes dawno poszły w odstawkę. Te przedobrzane płatki śniadaniowe, które się w dzisiejszych czasach produkuje...

a ich opakowania... upiorne!

— Żarłoczny księżyc jest dziełem sztuki — powiedział Marcus.

— Żarłoczny księżyc, jak go pan nazywa, jest dziełem miłości i rodzajem wyjaśnienia.

— Co się zdarzyło, kiedy Miles poszedł po pomoc? — spytał Marcus, uznając, że Duncan Greenleaf stracił wątek.

— Czekałem. Myślałem, że biedny pies umrze, w takim był stanie. Głaskałem go, próbowałem mu dodać otuchy, ale sam byłem zatrzwożony, kto mógł zastawić tutaj taką pułapkę, wśród tych drzew, gdzie nie żyło żadne stworzenie? Kiedy tak czekałem, usłyszałem hałas: ktoś nadchodził lasem, ale nie od strony, z której my przyszlismy, tylko od domu Vane'ów. Zrazu chciałem zawołać pomocy, ale coś mnie powstrzymało. Mianowicie: ciężar tego, kto się zbliżał. Sposób, w jaki się przedzierał przez trzęsawisko i jeżyny. Jakby zupełnie nie dbał, czy go coś zadrapie... Ze smutkiem wyznaję, że porzuciłem nieszczęsne zwierzę i uciekłem schować się między drzewami.

Nie musiałem długo czekać. Poszycie zostało dosłownie rozdarte, trąba powietrzna z liści, gałęzi i jeżyn rozsypała wokół kolczaste bicze, a zza niej wychynęła najbardziej przerażająca zjawia, jaką kiedykolwiek dotąd widziałem. Nigdy potem nie ujrzałem niczego straszliwszego. Miała ludzkie kształty, a w każdym razie przypominała człowieka, ubrana w falujące czarne szaty i zakapturzona.

Była niezwykle wysoka i mogłem dostrzec połyskujące w kapturze oczy, a także ogromne, zakrzywione jak u rekina usta. Stałem przerażony tak, że ani jeden mięsień mi nie drgnął.

Straszliwa istota schwyciła biednego psa i wyrwała go z potrzasku, nie kłopotząc się rozwarciem zębów maszyny. Miała długie, podobne do szponów palce. Zwierzę zawyło, a zjawa zacisnęła szpony na jego klatce piersiowej i rozdarła ją tak łatwo, jak pan rozdarłby kurczaka.

Wnętrznosci psa upadły na ziemię, istota opadła na nią i zaczęła wpychać je sobie bez wyboru w usta: pasma tłuszczu, wątrobę, strzępy jelit.

Po chwili zakończyła biesiadę i oddaliła się, powoli przedzierając przez poszycie. Drżałem, czułem mdłości, łatwo może sobie pan to wyobrazić, i natychmiast popędziłem do domu. Odbiegłem ledwie parę jardów, gdy usłyszałem krzyk przed sobą i nie był to głos psa. Puściłem się pędem, kolec jeżyny omal nie wbił mi się w oko... o tutaj, do tej pory mam bliznę.

Nie trwało długo, gdy natknąłem się na Milesa. Jego nadgarstek tkwił w innym potrzasku.

Twarz poszarzała mu z szoku. Musiał się potknąć i padając wyciągnął rękę dla asekuracji. Stalowe zęby przecięły skórę i ciało, dłoń zwisała na strzępach skóry. Próbowałem rozewrzeć szczęki pułapki, ale była równie mocna, jak ta pierwsza. Miles błagał, bym go uwolnił, ale nie byłem w stanie. Wtedy usłyszałem ten sam hałaśliwy odgłos, przerażające, miazdzące poszycie kroki i zrozumiałem, że zjawa w czerni nadchodzi po Milesa.

Duncan Greenleaf wyjął chusteczkę i otarł oczy.

— Nic poza tym nie mogłem zrobić. Nie mogłem go zostawić, by został rozerwany przez tę istotę.

— I co pan zrobił? — spytał Marcus, choć odpowiedź łatwo było przewidzieć.

— Wyjąłem scyzoryk i odciąłem bratu rękę. — Boże! — powiedział Marcus.

— Właśnie: Boże!

A więc to on... bez jednej dłoni, pożerany przez księżyc, pomyślał Marcus.

— Jakimś sposobem udało mi się wyciągnąć go z lasu. Zdjąłem pasek i użyłem go jako opaski zaciskowej, żeby powstrzymać krwawienie, ale krew wciąż tryskała. Stracił przytomność, kiedy mój ojciec wezwał karetkę, i umarł, nim dotarli do szpitala.

— Ojciec nie uwierzył w to, co się stało? Ani policja?

— Dorośli nie wierzą w czarne potwory z ustami jak rekiny. Zwłaszcza jeśli przeszkawszy las niczego nie znajdą; żadnych pułapek, szczątków psów. Zwłaszcza jeśli Vane'owie, czego zresztą należało się spodziewać, zaprzeczą, by w ogóle wiedzieli o czymś podobnym. I naprawdę nie oczekuję, że pan mi uwierzy. Bo dlaczego? Niech mi jednak będzie wolno coś panu powiedzieć: kiedy dorosłem, przestudiowałem historię rodziny Vane'ów. Właściwie zainteresowanie nimi przerodziło się w obsesję i myślę, że pan rozumie dlaczego. Dorobili się fortuny na żegludze handlowej. Pływali po Morzu Śródziemnym, a zwłaszcza do Grecji. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym szóstym zostali zrujnowani: stracili wiele ładunków, poczynili błędne inwestycje w

Ameryce. Nie minęły jednak dwa lata, a ich najważniejsi konkurenci potracili w katastrofach statki, oni zaś wypłynęli znowu i to z takimi pieniędzmi, że sami nie wiedzieli, co z nimi zrobić.

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza — powiedział Marcus.

— To proste: John Vane, podówczas głowa rodziny, pojechał do Tesalii, w okolice, gdzie graniczy z Macedonią, a do publicznej wiadomości podano, że „udał się na konsultacje z ekspertami w prowadzeniu interesów, którzy mają mu pomóc w odbudowaniu rodzinnej fortuny”. Jakich to ekspertów szukał w tych zapomnianych przez Boga i ludzi regionach?

— Przepraszam, ale nie mam pojęcia.

— Och, Tesalia, jak pan zapewne wie, słynęła z czarnej magii, czarnoksiężników i czarownic.

— Pojechał szukać czarownic?

— Kogóż by jeszcze? Grecy twierdzą, że kobiety te zdolne są ściągnąć księżyc na ziemię i wykorzystać zło zawarte w księżycowej mocy, by sprowadzić ubóstwo i nieszczęście, na kogo chcą je sprowadzić. W zamian żądają, żeby im dostarczać żywych ciał, zwierzęcych lub ludzkich. W

„Illustrated London News” podano, że John Vane po powrocie z Grecji widywany był w towarzystwie wysokiej, odzianej w czerń kobiety o nieznanym tożsamości.

— Nie uważa pan chyba...

— One chodzą spowite w czerń, Marcusie! We wszystkich książkach jest tak napisane!

Spowite w czerń, zęby mają jak ostrza i żyją wiecznie, jeśli tylko dostarcza im się pożywienia.

Patrzył na Marcusa z rozpaczą w oczach, ręce zacisnął na poręczach krzesła. Sprawiał wrażenie człowieka niezdolnego wypowiedzieć ani jednego słowa więcej.

Długotrwałą niezręczną ciszę przerwało wejście pulchnej pielęgniarki. Dotknęła ramienia Marcusa i powiedziała:

— Myślę, że czas na pana. Bardzo go męczy wspomnianie dawnych czasów, prawda, Duncanie?

Marcus podszedł pod Hastings House po zbitej warstwie otoczków i wspiał się po schodkach do frontowych drzwi. Rezydencja Vane'ów była ogromna, ze zwieńczonymi blankami murami obronnymi, wieżyczkami strzelniczymi, iglicami. Od strony zachodniej porastał ją bluszcz, zupełnie jakby ktoś niedbale zarzucił zielony koc na mur. Marcus pociągnął za dzwonek i czekał.

Długo to trwało, zanim w drzwiach pojawił się mężczyzna około trzydziestki, w musztardowej kamizelce z tweedu i brązowych sztruksowych spodniach, któremu towarzyszyły dwa śliniace się bulteriery. Był bardzo blady, miał twarz o kształcie migdała i gładkie czarne włosy.

— Mogę pomóc? — spytał ostro, jakby taka rzecz w ogóle nie wchodziła w rachubę.

— Szukam pana Gordona Vane'a — powiedział Marcus.

— To ja. Nie był pan umówiony, prawda?

— Nie, ale pies mi się zgubił.

— Nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego.

— Obawiam się, że pobiegł do pańskiego lasu. Być może pan go widział? Sealyham terier, mieszaniec.

Gordon Vane potrząsnął przecząco głową. — Jeśli wbiegł do tego lasu, wątpię, by go pan jeszcze zobaczył — stwierdził.

— W takim razie, skoro pan go nie widział, może ja mógłbym poszukać?

— Niestety, wykluczone.

— Nie narobię żadnych szkód.

— Nie o to chodzi. Las jest miejscami bagnisty i naprawdę niebezpieczny.

— Zupełnie nie sprawia takiego wrażenia — nalegał Marcus.

— A jednak. Nie jesteśmy ubezpieczeni na wypadek, gdyby panu miało się coś przytrafić.

Proszę zostawić numer telefonu, a dam panu znać, jeśli pies się pojawi.

— Widziałem tam kogoś — oświadczył Marcus.

— Widział pan kogoś? — Gordon Vane przestał poklepywać bulteriery i spojrzał na Marcusa przenikliwie. — Kogo?

— No, nie wiem... kogoś bardzo wysokiego. Niezwyczajnie wysokiego i ubranego od góry do dołu w czerń.

Gordon Vane przyglądał się Marcusowi, jakby był zdolny wyczytać mu z oczu, co się dzieje w jego mózgu. Potem wyciągnął z kieszeni kamizelki złoty długopis i wizytówkę i wręczył ją Marcusowi ze słowami:

— Proszę zapisać swój telefon.

Stał, patrząc, jak Marcus odchodzi, chrzęszcząc stopami na kamieniach, niepewny, czy dobrze zrobił, udając, że zgubił mu się pies. Może źle się stało, że zaalarmował Vane'ów. Ale nie wymyślił

żadnego innego sposobu, by wywabić „przerazającą czarną istotę” z opowieści Duncana Greenleafa.

Istniała szansa, że Vane'owie wypuszczą ją do lasu, dowiedziawszy się o błakającym się po nim

psie...

i poszukującym go właścicielu.

Co więcej, jeśli są przekonani, że Marcus widział już ową istotę i doniesie o tym, mogą wręcz nakazać jej, by go uciszyła.

Tyle tylko, że Marcus był na to przygotowany. Przywiózł ze sobą aparat fotograficzny, wielki skautowski nóż i kij do baseballu. Namawiał Rogera, by mu pożyczył śrutówkę, pod pretekstem, że chciałby postrzelać do rzutków, ale nie miał pozwolenia na broń, a szkolny kolega okazał się straszliwym służbistą.

Najważniejsze było, by udowodnić Duncanowi Greenleafowi, że nie wymyślił sobie istoty w czerni i zrobił wszystko, co mógł, dla maleńkiego chłopca w kąciku ust żarłocznego księżyca.

Odczekał sporo po północy, zanim opuścił dom Rogera i poszedł wąską drogą wiodącą do lasu.

Noc była spokojna, księżyc świecił jasno jak lampa. Zszedł z drogi tuż przy napisie „Własność prywatna” i powędrował, szeleszcząc wśród zeschniętych liści i szarpiąc się z krzakami jeżyn.

Szedł w napięciu i kiedy tuż przed nim zerwał się ptak, trzepocząc skrzydłami, zareagował

może trochę nerwowo, ale nie bał się zbytnio. Wydawało mu się, że było to jego przeznaczeniem od momentu, gdy po raz pierwszy zobaczył żarłoczny księżyc na paczce płatków śniadaniowych.

Zupełnie jakby lata temu został wybrany, by zaradzić niesłychanemu złu.

Dowiedział się czegoś więcej o czarownicach z Tesalii i stwierdził, że Duncan Greenleaf nie mylił się absolutnie ani co do ich wyglądu, ani tego, czego są zdolne dokonać. Wszystko wskazywało na to, że potrafią przeistaczać się w ptaki czy zwierzęta, posiadały też sekretną wiedzę o afrodyzjakach i trujących ziołach. Kryjówkę tesalskiej wiedźmy wypełniały kadzidła, przedziwne sztychy, a także dzioby i pazury ptaków drapieżnych, części ludzkiego ciała, małe buteleczki z krwią ofiar. Za szczególnie cenne uważały nosy straconych skazańców płci męskiej.

Duncan Greenleaf nie mylił się także co do lasu: porastały go jeżyny gorsze od kolczastego drutu. Marcus nie zapuścił się dalej niż na setkę stóp w głąb, a już miał podrapaną twarz i dłonie, poszarpaną kurtkę. Tak jakby poszycie było złośliwą żywą istotą, która kalecząc i drapiąc, próbowała go pochwycić.

Przez cały czas omiatał latarką teren przed sobą w obawie przed potrzaskami. Może i absurdem było zakładać, że po sześćdziesięciu latach gdzieś jeszcze tu tkwią w ziemi, ale nie większym przecież niż spodziewać się, że tesalska czarownica o błyszczących oczach i ustach jak u rekina czeka przyczajona gdzieś tu na niego w mroku.

Po dziesięciu minutach przedzierania się wśród drzew dotarł do granicy podmokłego gruntu.

Usłyszał pohukiwanie sowy i szybki szeleszczący dźwięk, jakby coś biegło susami. Serce mu zabiło,

wycelował w tamtym kierunku latarkę i zobaczył dwoje połyskujących żółtych oczu., Ach!"

powiedział głośno i już miał się odwrócić i puścić biegiem, gdy zagadkowe stworzenie dało susa w przeciwną stronę i w świetle latarki zakołysała się kita wielkiego lisa.

Złapał mocniej kij do baseballu i znowu zaczął powoli posuwać się po granicy bagnistego terenu. Zastanawiał się, jak daleko ciągnie się mokradło i jak jest głębokie. Usiłował poruszać się po cichu, ale jego buty wydawały głuchy ssący odgłos przy każdym kroku.

Dał krok naprzód i błoto wciągnęło go po kolana. Stracił równowagę, próbując uwolnić lewą nogę, a padając wyciągnął ramiona i puścił kij baseballowy.

Zanim cokolwiek poczuł, usłyszał dźwięk. Dźwięczne, metaliczne klang. Poczul palący ból w prawej ręce, jakby ją wsadził prosto w ogień. Chciał wyszarpnąć dłoń, ale stalowa pułapka schwyciła go w nadgarstku, niemal ją odcinając. W świetle leżącej latarki widział ścięgna, kość i jaskrawo-czerwone mięśnie. Potrzask był spryskany krwią, a on czuł, jak jego arteria tłoczy ją dalej w błoto.

Tylko nie wpadaj w panikę, nie wpadaj w panikę! Jest źle, ale nie beznadziejnie. W dzisiejszych czasach mikro-chirurdzy robią cuda. Przyszli na powrót rękę temu policjantowi. I tej kobiecie, która straciła dłoń w przycinarce do tapet. Nie wpadaj w panikę, myśl!

Usiłował sięgnąć swobodną lewą ręką po kij baseballowy. Aluminium, dźwignia, podważ te pieprzone szczęki. Ale kij odskoczył zbyt daleko, a wysiłek, by go dosięgnąć, sprawił mu taki ból, że omal nie odgryzł sobie koniuszka języka.

Opaska zaciskowa. Po pierwsze: zahamować krwawienie. Lewą ręką odpiął pasek i wysunął go ze spodni. Po trzeciej próbie udało mu się przewiesić go przez nadgarstek i przewlec przez klamerkę.

Złapał koniec paska zębami i ciągnął, aż żyły wyszły mu na wierzch. Krew wypływała coraz słabiej, w końcu zaczęła kapać. Pociągnął jeszcze mocniej i ręka przestała krwawić.

Myśl! Musisz zwrócić na siebie uwagę. Podniósł latarkę i zaczął nią gwałtownie machać, ale obawiał się krzyczeć, by nie poluzować ucisku paska.

Myśl! Co jeszcze możesz zrobić?

I wtedy właśnie usłyszał gdzieś w lesie szeleszczący dźwięk. Prędko, nieubłagany, jakby przez poszycie nadchodził ktoś opanowany myślą o krwi. O Jezu, wiedźma. To wiedźma, a ja jestem uwięziony dokładnie tak jak Miles Greenleaf.

Szelest wzmógł się. Marcus słyszał trzaskające gałązki, czuł drzenie krzaków.

Nie było nic innego do zrobienia. Wygrzebał z kieszeni skautowski nóż. Ścisnął zębami pasek, żeby nie krzyczeć i nie przegryźć języka. Miał nadzieję, że zdoła się uwolnić, zanim spowita w czerń istota wypadnie jak trąba powietrzna z lasu i rozerwie go na kawałki.

Oparł ostrze o zęby pułapki. Potem zaczął ciąć rękę w nadgarstku. Pierwszy ruch noża przejął

go przejmującym zimnem i sprawił tyle bólu, że zaszlochał. Ale słyszał wiedzmnę hałaśliwie brnącą w lesie, coraz bliżej i bliżej; wszystko lepsze niż gwałtowna śmierć.

Przeciął skórę, nerwy, mięśnie, dotarł do kości i nie był w stanie ciąć dalej. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i zrobił gwałtowny obrót w błocie tak, że wykręcił kości. Był wolny.

Skamłąc, przytrzymując kikut ręki, podjął walkę, by wydostać się z lasu. Bez latarki nie widział, którędy iść i zbaczał z drogi za każdym razem, gdy pochwyciły go gałęzie jeżyn. Zataczał się i padał, wstawał; zataczał i padał.

Osunął się na kolana, wyczerpany i w szoku. Ciemny kształt zbliżał się przez krzaki. Zatrzymał się naprzeciwko Marcusa i czekał; Marcusowi zdawało się, jakby czas stanął w miejscu.

Oślepiające światło poraziło jego oczy i ktoś krzyknął:

— Jest tutaj, Gordonie! Jest tutaj! Kroki, więcej światła.

— Och, mój Boże, stracił rękę. Barker, mógłby pan zadzwonić po karetkę? I niech im pan powie, żeby cholernie mocno naciskali na gaz.

Siedział w poczekalni szpitala Roehampton czekając na nową rękę, kiedy wydało mu się, że dostrzegł kogoś znajomego. Starszy siwowłosy mężczyzna o dużym, charakterystycznym nosie.

Czekał w przeciwległym końcu pomieszczenia, czytając „Country Life”. Na prawej dłoni nosił skórzaną rękawiczkę.

Marcus patrzył na niego z zastanowieniem przez dłuższy czas, ale nie pamiętał, skąd mógłby go znać. Dopiero gdy weszła pielęgniarka i powiedziała: „Pan Greenleaf, proszę” — zrozumiał, kim jest mężczyzna.

Czekał na niego pod szpitalem. Musieli krzyczeć do siebie, tak intensywny był ruch uliczny.

— Pan Greenleaf? Miles Greenleaf?

— Przepraszam, czy my się znamy? — spytał mężczyzna ze zdumieniem.

— My nie, ale znam pańskiego starszego brata, Duncana.

— No proszę. Jak się miewa?

— W ogóle się pan z nim nie widuje?

— Pisze, ale nie odpowiadam. I tak by nie zrozumiał moich listów — odparł Miles Greenleaf ściskając wargi.

— Powiedział mi, że pan nie żyje.

— Mhm. Najczęściej rzeczywiście tak myśli. Ma dobre i złe dni. Więcej złych.

— Opowiedział mi o pańskiej dłoni. To znaczy, w jaki sposób pan ją stracił.

— Tak? I cóż to za historia była tym razem? Mam nadzieję, że nie ta z tesalskimi wiedźmami?

Marcus kiwnął potwierdzająco głową i uniósł rękę.

— Poszedłem ich szukać, by udowodnić, że się nie mylił. Przydarzyło mi się dokładnie to samo.

— Drogi panie — Miles Greenleaf sprawiał wrażenie rozbawionego — nie sądzę, żeby pan wiedział, co mi się naprawdę przytrafiło. Zostaliśmy obaj z bratem obdarzeni talentem. Prawda jest taka, że choć byłem młodszy i choć to ja sam muszę o tym powiedzieć, znacznie go przewyższałem.

Dlatego właśnie, kiedy dostałem w szkole nagrodę, a on nie, zabrał mnie do lasu, ogłuszył, związał i z rozmysłem pozbawił dłoni, obcinając ją stolarską piłą. Opisano to wszystko w lokalnej prasie.

— Żadnych potrzasków? Ani psów?

— Tylko destruktywna zazdrość, przykro mi to mówić. I nie całkiem zrównoważony umysł.

— A jednak był tam potrzask. Złapałem się w niego. Vane'owie wyjaśnili policji, że to relikw z epoki wiktoriańskiej, zapomniany w lesie. Dobrze działał jak na wiktoriański relikw.

Miles Greenleaf wyciągnął lewą rękę i uściśnął lewą dłoń Marcusa.

— Jeśli chodzi o Vane'ów, najmądrzej pozostać nieświadomym. Kto wie, może nie powiedziałem panu prawdy, może rzeczywiście jest tam jakaś tesalska czarownica?

Tej nocy księżyc osrebrzył las na biało — kolor kości i pazurów. Jeden z psów Rogera węszył w poszyciu, szukając nornic lub myszy.

Roger stał przy furtce na tyłach domu, gwizdał i nawoływał, ale pies nie zwracał na to uwagi.

Jego pan był zbyt daleko, by usłyszeć dźwięczne metaliczne klang. Albo szeleszczący odgłos, jaki czyniło coś ciężkiego, przedzierającego się pośpiesznie przez krzaki. Spowita w czerń istota o połyskujących oczach, gnana przerażającą nienasyconą księżycową żarłocznością.

Żal

Mont St-Michel, Francja

Mont St-Michel to granitowa wysepka położona przy zatoce Mont St-Michel niedaleko ujścia Couesnon w departamencie Manche. Ze stałym lądem łączy ją dwukilometrowa grobla, często

zalewana wodą podczas wysokich przyływów. Wysepka ma 73 metry wysokości, a wieńczy ją opactwo benedyktyńskie z X wieku, wybudowane kosztem niezwykłego wysiłku i za cenę wielu istnień ludzkich.

Uwieczniona na tysiącach kartek pocztowych i zdjęciach w przewodnikach turystycznych Mont St-Michel nieodmiennie robi niesamowite i podniosłe wrażenie na tych, którzy się do niej zbliżają. Na południowo-

-wschodnim zboczu rozciąga się wioska, chroniona fortyfikacjami, które przez setki lat broniły dostępu Anglikom w czasie wojny stuletniej, hugenotom podczas wojen religijnych. Po rewolucji francuskiej opactwo służyło jako więzienie polityczne.

Ze szczytu St-Michel zobaczysz jak w camera obscura wysepkę i jej omywane morzem piaszczyste brzegi. Nie mający sobie równego widok na spokojny wiejski krajobraz, gdzie zdarzyć się może niemal wszystko.

ŻAL

Niebo w dali za Mont St-Michel pociemniało burzowo, a nad wieżami opactwa benedyktyńskiego przecięła je błyskawica. Podmokłe łąki przy Couesnon oddalone o niecałe trzy mile wciąż jeszcze oświetlało przedzierające się przez chmury słońce, wywołując na polach i drzewach grę światła i cienia.

Gerry nigdy nie pojął, jak mógł jej nie zauważyć. W dodatku nie prowadził szybko. Wąska droga sprawiała wrażenie całkowicie pustej, gdy nieoczekiwanie się na niej pojawiła, pedałując na rowerze tuż przed maską.

Usłyszał łoskot przewracającego się roweru, potem głuche uderzenie. Zobaczył żółtą jak pierwiosnek sukienkę, wyrzucone do góry ramię z zegarkiem na ręce. Twarzy nie widział. Wcisnął

pedał hamulca tak mocno, że wynajęty citroen wpadł w poślizg i zatrzymał się przednimi kołami na krawędzi pobocza po przeciwnej stronie drogi. Silnik zgasł.

— O Jezu — powiedział głośno. — O Jezu Chryste.

Głęboki oddech unosił jego pierś, drżał gwałtownie, ledwie był w stanie zwolnić kławkę.

Wyrzebał się z samochodu i spojrzał za siebie na szosę. Staroświecki rower leżał na boku z rączkami kierownicy zadartymi do góry jak rogi wychudzonej krowy. Dziewczyna dużo dalej, ułożona na boku

— żółta impresjonistyczna plama na francuskiej wiejskiej drodze.

Poszedł w jej kierunku, mając wrażenie jakby brnął po kolana w gęstej melasie. Usłyszał grzmot pioruna, trawa wokół ożyła i zaczęła falować.

Zatrzymał się w połowie drogi. Ani jednego pojazdu w zasięgu wzroku. Nie było żadnych świadków tego, co się wydarzyło, wyjąwszy stado biało-czarnych krów; patrzyły na niego beznamiętnie i poruszały żuchwami, przeżuając trawę.

Na sekundę przemknęło mu przez głowę: a jeśli żyje? Przypuśćmy, że wciąż żyje i zostawię ją tutaj, by umarła?

Ale widział ciemnoczerwoną krew, wypływającą z boku spod jej głowy, i był pewien, że zabił.

Odwrócił się więc, wrócił do citroena i wgramolił z powrotem na siedzenie.

Był zatrwożony tym, co robi. Jest zdolny tak po prostu odjechać, potrąciwszy młodą dziewczynę? Ale przecież to nielogiczne, zostać tutaj. Nie miał zamiaru jej zabić. Nie jechał szybko czy nieostrożnie. Wypił butelkę wina St Es-tephe do lunchu, ale na pewno nie był pijany. Zdarzył się wypadek, zwyczajnie i po prostu. Dlaczego ot tak sobie jechała na rowerze? Dlaczego nie uważała?

Przecież musiała widzieć, że nadjeżdża. Tyle samo jej winy, co jego.

Zapalił silnik i wycofał citroena na szosę. W tylnym lusterku zobaczył, że dziewczyna leży wciąż w tej samej pozycji. Wiatr zadarł jej spódniczkę i odsłonił blade szczupłe udo. Bez wątplenia nie żyła. Nie wróci jej życia, oddając się w ręce francuskiej policji.

Wahał się przez moment, dając sobie jeszcze trochę czasu na podjęcie decyzji. Potem zwołał hamulec ręczny i odjechał powoli — licznik wskazywał piętnaście kilometrów na godzinę —

zostawiając dziewczynę za sobą. Przez cały czas patrzył na nią we wstecznym lusterku. Dwieście stóp dalej zatrzymał się. Jej sukienka wznosiła się i opadała jak miotany wiatrem żonkil. Niebo pociemniało jeszcze bardziej, grube krople deszczu upstrzyły przednią szybę citroena.

— Boże, przebacz — powiedział i odjechał na dobre.

Wieczorem zadzwonił z St Mało z hotelowego pokoju o ścianach pokrytych tapetą w marmurkowy wzorek do siostry w Connecticut.

— Freddie? Tu Gerry. Dzwonię, żeby po prostu powiedzieć: cześć.

— Gerry? Wróciłeś do Stanów? Tak cię wyraźnie słyszeć...

— Nie, telefonuję z Francji. Prawdopodobnie nie wrócę przed wrześniem, nawet w październiku, jeśli dalej tak pójdzie. Wyszukaliśmy już trzy fantastyczne hotele i prowadzimy negocjacje w czwartym.

— To wspaniale. A co u ciebie? Właśnie mówiłam Larry'emu, że nie odzywałeś się już całą wieczność.

— Wszystko w porządku, naprawdę dobrze. Tu jest rzeczywiście pięknie. Bardzo mi się podoba.

Podszedł z telefonem do okna i wyjrzał na St Xerxes. Mroczna, skręcająca pod ostrym kątem, wyglądała jak ulica z „Innego mężczyzny”, na którą patrzył z okna hotelu Joseph Cotten, podczas gdy w drzwiach na dole czekał Orson Welles. Widoczne ponad dachami domów światła portu kąpały się w morzu, jarząc się w ciemnościach.

— Mówisz jakoś dziwnie — powiedziała nieoczekiwanie Freddie.

— Dziwnie? W jakim sensie. U mnie wszystko w porządku.

— Gerry... Czy coś się stało? Ale na serio. Mówisz zupełnie jakbyś to nie był ty. No i... nie chciałabym, żeby to zabrzmiało niegrzecznie, ale zwykle wtedy właśnie dzwonisz.

— Jest wspaniale. Nie mogłoby być lepiej. Jak dzieciaki? I co z tym wielkim głupolem, waszym dogiem?

— Fred i Nancy czują się dobrze. Niestety straciliśmy starego George'a. Przejechała go furgonetka pocztowa. Nie zginął od razu, ale musieliśmy go uśpić.

— Tak mi przykro, lubiłem George'a.

Freddie zaczęła z ożywieniem opowiadać o letnim domu, który budowali, ale Gerry wciąż myślał o leżącej na drodze dziewczynie, żółtej sukience, wznoszącej się i opadającej na wietrze, krwi, wyciekającej na asfalt, na trawę...

— Muszę już iść — odezwał się wreszcie. — Niedługo znowu zatelefonuję. I przyślę dzieciakom pocztówki.

— Naprawdę nie nękają cię żadne kłopoty?

— Jakie znowu kłopoty? Wszystko w porządku.

— Może się zakochałeś?

Bardzo delikatnie odłożył słuchawkę. Na ulicy rozmawiało ze sobą dwóch mężczyzn. Widział

żarzące się ogniki papierosów. Zobaczył, jak odwracają głowy i niemal natychmiast z cienia wyjechała na rowerze dziewczyna w żółtej sukience w kropki. Gdzieś na górze rozwarło się z hałasem okno, zupełnie jakby otworzyło się w pokoju hotelowym Josepha Cottena, rzucając snop światła na uniesioną twarz Orsona Wellesa. Dziewczyna spojrzała do góry i na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Ładna, pomyślał. A potem odjechała.

Podszedł do sekretarzyka i nalał sobie małą wódkę. Z pokrytej brązowymi liszczami tafli lustra wyjrzał na niego młody mężczyzna o kanciastej twarzy i ostrzyżonych na jeża włosach. Koszula w biało-czerwone paski, szelki. Dwadzieścia pięć lat, najmłodszy wiceprezes, jakiego kiedykolwiek miały TransWestern Hotels, zajmujący się pozyskiwaniem zagranicznych obiektów. Jego wymarzona praca! Uwielbiał hotelowy biznes i Francję. A nade wszystko Francuzów. A teraz zabił Francuzkę i po prostu sobie odjechał.

Tej nocy, leżąc bezsenne w łóżu i słuchając żałostnego skrzypienia statków w porcie i klekotu okiennic na wietrze,; usiłował zracjonalizować to, co zrobił w Mont St-Michel; jakby rozmyślanie o tym miało mu przynieść rozgrzeszenie. Słyszał łomot uderzającego o samochód ciała. Widział wydetą na wietrze sukienkę, szczupły nadgarstek wyrzuconej; do góry ręki, zegarek. Tani pozłacany zegarek z cienkimi skórzanym paskiem. Tak mu się wrył w pamięć, że gdyby się skoncentrował dostatecznie mocno, z pewnością przypomniałby sobie jego markę.

Zostawiłem ją tam, na drodze. Mogła jeszcze żyć. Może bym ją uratował, gdybym zawiózł do szpitala. A może ktoś inny jednak ją znalazł i wrócił jej życie. Nigdy się; tego nie dowie; to zbyt ryzykowne, by próbować się dowiedzieć.

Wyszeptał niezręczną, dziecinną modlitwę. Miał nadzieję, że dziewczyna w żółtej jak pierwiosnek sukience umarła od razu, nie czując bólu, nie mając świadomości, co się z nią dzieje.

Miał nadzieję, że została znaleziona przez ludzi, którzy ją kochali, i że sprawiono jej pogrzeb, na jaki zasługiwała. Z kwiatami, pieśniami i łzami żałosci.

W środku nocy był pewien, że słyszy, jak ktoś jedzie na rowerze po St Xerxes.

Siedział w ogródku Moulin du Vey, kiedy zauważył przyglądającą mu się dziewczynę. Zerknęła na niego już w momencie, gdy zajmowali miejsca, a teraz patrzyła bez przerwy, nawet nie usiłując ukryć zainteresowania. Obdarzył ją przelotnym uśmiechem, na co Carl zapytał:

— O co ci chodzi?

— O nic. Podziwiałem widoki, to wszystko.

Carl spointował to, obracając się w obie strony na białym plastikowym krześle.

— Aha, już wiem, co miałeś na myśli. Bardzo malowniczy. Trzy drzewa, bok budynku i panienka, na której widok cię świerzbi.

— Zwyczajnie się do mnie uśmiechnęła.

— Powinieneś skorzystać — roześmiał się Carl, usiadł z powrotem prosto i wyciągnął

papierosa. — Wiesz, jak cię przezywają dziewczyny z biura? Gerry Prawdziweczek. Ale nie uważam, żebyś był naprawdę dziewczęcą.

— Odchrzań się. Byłem zaręczony w college'u. A o Francoise zapomniałeś?

— Ach tak, Francoise. Kto by ją zapomniał. Nogi jak wieża Eiffla.

Gerry potrząsnął głową i skoncentrował się na wieprzowinie w sosie musztardowym. Moulin du Vey była jedną z jego ulubionych restauracji w Normandii: stary, pokryty bluszczem młyn z wielką jak stodoła salą restauracyjną i patrzącą na rzekę żwirowaną werandą. Był ciepły, rozleniwiający dzień, a on i Carl zapuścili się aż tutaj w poszukiwaniu wiejskich hoteli, które mogłyby powiększyć bazę

sieci TransWestern. Wokół nich fruwały motyle, geranium pochylało się na wietrze.

Tak naprawdę, to jednak dziewczyna pochłonęła całkowicie jego uwagę; zorientował się, że właściwie nie wie, jak smakuje to, co je, ani nie rozumie, o czym mówi Carl.

Siedziała w towarzystwie dwojga bardzo eleganckich ludzi w średnim wieku, być może rodziców. Długie blond włosy błyszczały w słońcu jak koszyczki dmuchawca szybujące po powierzchni rzeki. Miała jedną z tych typowo francuskich, niepokojących twarzy, które pociągały Gerry'ego, ponieważ dostrzegał w nich niewielką skazę. Jej oczy były duże, policzki wysoko sklepione, nos krótki i prosty, ale miała lekką wadę zgryzu, nadającą jej wyraz osoby łatwej do zranienia. Nosila białą bluzkę bez rękawów z haftowanymi klapkami i ze swojego miejsca Gerry widział, że ma pełne piersi. Przypominała mu kogoś w jakiś dziwny sposób, ale nie wiedział kogo.

— Kiedy przejmuje się takie miejsce, zawsze jest kłopot z urealnieniem menu — mówił Carl.

— Tak, wiem.

— Powinno się poszukać żab z ośmioma parami nóg, I inaczej hotelowa kuchnia nie sprostą oczekiwaniom. Kłopot polega na tym, że nigdy nie zdołałbyś podskoczyć dostatecznie wysoko, żeby je złapać, gdyby miały po szesnaście nóg.

— Ależ oczywiście. Masz rację.

— Halo, jesteś tutaj? — Carl postukał nożem w kieliszek do wina. — Słyszałeś chociaż jedno słowo z tego, co mówiłem?

— Co? — spytał Gerry. — Przepraszam cię. Nie wiem, co się ze mną do diabła dzieje.

Carl odwrócił się akurat na czas, by przyłapać dziewczynę na przelotnym porozumiewawczym uśmiechu, który posłała Gerry'emu.

— Ja wiem, co się z tobą do diabła dzieje. Pożądanie cię zżera.

Po lunchu Carl pojechał do Falaise, gdzie miał spotkanie w sprawie koncesji, a Gerry poszedł

na górę, do hotelowego pokoju, by dokończyć w tym czasie pisanie raportu. Zasiadł za podniszczonym rokokowym biurkiem naprzeciw otwartego okna i zaczął uderzać w klawisze laptopa, ale po niedługiej chwili przerwał i oparty plecami o krzesło wsłuchiwał się w nieustanny szum rzeki opływającej groblę i szelest liści bluszczu ocierających się o otwarte okiennice.

Zastanawiał się, czy dziewczyna wciąż jest na werandzie i rozmawia z rodzicami. Wstał i wyjrzał na zewnątrz. Siedzieli tam oboje, popijając kawę, ale jej nie było. Miał już zasiać z powrotem do raportu, gdy w oddali, nad brzegiem rzeki, mignęło mu coś białego. Spacerowała w sadzie, wśród jabłoni, posadzonych niemal na skraju wody, zanurzając ręce w długich pióropuszcach traw.

Gerry obserwował ją przez chwilę, a potem nie wahając się dłużej, wyłączył komputer i zamknął go. Zszedł po schodach, minął recepcję Moulin du Vey i wyszedł na zewnątrz wprost w oślepiające

słońce. Poszedł po żwirze do stopni prowadzących w dół do sadu.

Kiedy znalazł dziewczynę, stała oparta o drzewo i żuła długą łodygę trawy. Usiłował udawać, że zwyczajnie wyszedł na przechadzkę i natknął się na nią przypadkiem. Pszczoły brzęczały balansując nad dojrzewającymi jabłkami, a słońce rzucało tańczące cienie na jej twarz. Nie wiadomo dlaczego napłynęło jakieś wspomnienie, ale Gerry nie mógł go skonkretyzować. Przystanął w pewnej odległości od niej i patrzył na rzekę.

— Jest pan Amerykaninem? — spytała po chwili.

— Skąd pani wie?

— Słyszałam, jak pan rozmawiał ze znajomym. Poza tym wygląda pan na Amerykanina.

— A już myślałem, że zaczynam wyglądać jak Francuz.

— Och, nie. Francuz nigdy by nie założył takiego garnituru. No i nie gestykułuje pan, kiedy rozmawia.

— Może powinienem wziąć parę lekcji posługiwania się dłońmi przy rozmowie.

— Nie, nie powinien pan. Lubię powściągliwych mężczyzn — uśmiechnęła się.

Podszedł bliżej. Sądząc po gładkości skóry i jędrności piersi, nie miała więcej niż dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Słabości wpisanej w lekko uchylone wargi przeczyło spojrzenie: wyzywające, czujne, prowokujące.

Jej oczy miały zadziwiający kolor. Stalowoszare, niemal srebrne, jak powierzchnia jeziora tuż przed nadciągającą potężną burzą. Czuł woń lekkich kwiatowych perfum i przebijający przez nie zapach biskwitów. Kombinacja, jakiej nie wdychał od lat: zapach ciepłej, młodej kobiety.

— Bardzo tu spokojnie, prawda? — zauważył.

— Dla mnie za spokojnie — odparła. — Nie znoszę wsi. Zawsze marzyłam, by mieszkać w którymś z wielkich miast Ameryki.

— Znienawidziłaby je pani. Cały ten hałas i zanieczyszczenie środowiska. No i przestępczość.

— Pan tego nienawidzi?

— Inaczej, jak pani myśli, po co chciałbym pracować we Francji?

Oparta o drzewo, obserwowała go dłuższy czas, uderzając łodygą trawy w wargi.

— Nienawidziłby pan miasta, gdybym tam była z panem?

Nie zabrzmiało to jak proste pytanie. Zadała je tak, że było jak wnętrze zegarka: pełne skomplikowanych dźwigienek i sprężyn, i sekretnych drgnień.

— Myślę, że byłaby pewna różnica — odpowiedział. — Nigdy zbyt nie lubiłem Paryża, ale też nigdy nie mieszkałem w nim z kimś, kogo bym kochał.

— Ano właśnie — stwierdziła.

Zaczęła spacerować po sadzie, a on za nią. Do bluzki nosiła bladożółtą płócienną spódnicę; przez przeświecony słońcem materiał rysował się kusząco zarys jej ud. Na nogach miała sandały ze splecionych rzemyków, zawiązane wokół kostki.

— Na imię mi Mariannę — powiedziała, nie odwracając głowy. — Całe swoje życie spędziłam na wsi. Ojciec chce, żebym została słynną wiolonczelistką.

— A ty, kim chcesz być?

Objęła pień jabłunki i okręciła się wokół niego ze śmiechem.

— Ja chcę zostać najwspanialszą prostytutką, jaka kiedykolwiek żyła.

— Niezwykle ambitne — zaśmiał się również.

— Myślisz, że żartuję?

— Myślę, że sobie ze mnie żartujesz.

Wyciągnęła rękę i zerwała jabłko z drzewa.

— Widzisz to jabłko? — spytała, trzymając je na dłoni.— Robimy z nich calvados. — Ugryzła kawałek, a sok zwilżył jej usta. Pogryzła je i przełknęła, potem wzięła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

Zdezorientowany, nie wiedział, co się dzieje, a ona uniosła twarz i pocałowała go. Smakowała lepkiem sokiem jabłka i śliną. Czuł, jak koniuszek jej języka przesuwają się między jego wargami. Czuł pełne piersi przyciśnięte do materiału koszuli.

Oddał niecierpliwie pocałunek. Twarze mieli wilgotne od pocałunków i jabłkowego soku.

Ugryzła go w koniuszek języka, wargi, w plecy wbiła mu paznokcie. Dyszeli oboje, jakby dopiero co tu dobiegli. Nagle przestała go całować i odsunęła od siebie.

— Wiesz, co zrobiliśmy? — zapytała. — Byliśmy jak Adam i Ewa w ogrodach Raju. Nie musimy już teraz udawać, że jesteśmy niewinni.

Cofnęła się dwa czy trzy kroki i obróciła wkoło tak, że żółta spódnica się wydeła. Zatrzymała się patrząc na niego z niemal triumfalnym wyrazem twarzy. Bez słowa uniosła spódnicę i zebrała ją w garść, przytrzymując przy talii. Zobaczył, że ma długie, opalone uda i że nie nosi bielizny. Między szczupłymi udami tworzył się pusty trójkącik, włosy łonowe jaśniały złociście jak włosy na głowie.

— Proszę — powiedziała, odstępując od niego jeszcze parę kroków z wciąż uniesioną spódnicą. — Największa prostytutka, jaka kiedykolwiek żyła. Ile mi zapłacisz?

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Mówiła na serio? Naprawdę chciała się z nim kochać za pieniądze? Czy zwyczajnie robiła z niego głupka? Rozejrzył się po sadzie. Może to miał być jakiś skomplikowany żart, wymyślony przez Carla, udowadniający, że Gerry Prawdziweczek nie jest jednak taki znowu dziewiczy? Może filmowała go ukryta kamera? Ale dostrzegał tylko drzewa i wysoką trawę, poza tym nie sposób było zobaczyć ich z hotelu, zbyt daleko zapuścili się w głąb sadu.

— Marianne — zaczął.

— Ile myślisz jestem warta? — rzuciła mu wyzwanie. — Tysiąc franków? Dwa tysiące?

— Nie potrafię ustalić ceny.

— Nie chcesz mnie? — Opuściła leciutko spódnicę, choć wciąż było widać jej łono.

Wahał się przez moment. Potem sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął portfel. Wyjął

wszystko, co w nim miał — ponad siedem i pół tysiąca franków — i wręczył jej. Nawet nie spojrzała i przez chwilę obawiał się, że został poddany jakiejś paskudnej próbie charakteru i wypadł źle. Ale potem odpięła pasek w talii i spódnica opadła w wysoką trawę. Rozpięła guziki bluzki i też ją upuściła na ziemię. Nie zatrzymawszy się ani na sekundę zdjęła stanik, a uwolnione piersi zakołysały się miękko — duże, o kremowobiałej skórze i różowych brodawkach.

Naga, tylko w sandałach, podeszła i pocałowała go. Dopóki tego nie zrobiła, wydawało mu się, że coś mu się majaczy, że coś takiego nie może być prawdziwe. Piękne włosy zasłoniły mu twarz, jej zapach niemal go poraził. W sadzie było tak cicho, że słyszał, jak jej sztywniejące brodawki ocierają się o materiał koszuli. W dalszym ciągu nawet nie spojrzała na pieniądze. Rozchyliła mu koszulę i pieściła jego nagą pierś. Rozpięła pasek spodni i ściągnęła je szarpnięciem, a potem wyjęła twardy jak róg nosorożca penis ze spodenek. Potarła go kilkakrotnie, z góry na dół i z powrotem, nabrzmiały i duży w małej dłoni o długich palcach, a na jej nadgarstku został ślad połyskującej wilgoci.

— Szybciej — wyszeptała i położyła się na trawie z rozchyłonymi udami i uniesionymi kolanami, wyciągając do niego ramiona. Upuścił pieniądze i rozsypały się po sadzie. Widział

dziecinny, marzący uśmiech, okrągłe piersi, bladoróżowe wargi, a ich kształt przypominał mu nadbiegającą falę.

Ukląkł między jej nogami. Objęła go i poprowadziła. Kiedy go przyjęła, wilgotne ciepłe wnętrze sprawiło mu taką przyjemność, że nie był pewien, czy to wytrzyma. Poruszył się, a wtedy schwyciła jego pośladki i nacisnęła, by wszedł tak głęboko, jak zdoła. Kiedy się wycofywał, czuł

leciutki powiew wiatru chłodzący soki, którymi go namaściła, i łaskotanie pióropuszy traw na skórze ud.

Kochali się prawie godzinę; ponad ich głowami płynęły gęste białe chmury, a popołudnie

przechodziło powoli jak sen. W końcu usiadła i odgarnęła ręką włosy z twarzy. Na jej rzęsach połyskiwało nasienie.

— Muszę iść — powiedziała. — Rodzice będą się zastanawiać, gdzie się podziałam.

— Kiedy cię znowu zobaczę? — spytał.

— Chcesz mnie jeszcze zobaczyć? — Naga, kucając w trawie, zbierała pieniądze, które upuścił. — Taką prostytutkę?

— Nie jesteś prostytutką.

— Cóż, nie — uśmiechnęła się. Podniosła ostatni tysiącfrankowy banknot i wręczyła mu pieniądze. — Po prostu lubię się bawić w udawanie.

Siedział na ziemi i patrzył, jak się ubierała.

— Naprawdę chciałbym cię zobaczyć.

— Więc zobaczysz.

Wrócili razem do Moulin du Vey. Rodzice Mariannę siedzieli wciąż na werandzie, rozmawiając z madame la patronne.

— Podejdz i przedstaw się — ponagliła go Mariannę.

— Muszę? Twój ojciec patrzy, jakby samym spojrzeniem mógł przewiercić dziurę w sześciocalowej stali.

— Och, nie obawiaj się. Papa jest kochany. Niechętnie poszedł za Mariannę do ich stolika.

— Papa, mamon, chciałabym, żebyście poznali mojego nowego znajomego.

Ojciec Mariannę nosił srebrny letni garnitur, miał siwe włosy i starannie przystrzyżoną białą kozią bródkę. Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął etui z nierdzewnej stali, otworzył je i wyciągnął parę okularów bez oprawki.

— Miło mi pana poznać — powiedział ponuro.

— Dziękuję panu. Wspaniałe popołudnie, prawda?

— Bóg nam błogosławi — odparł ojciec Mariannę.

Jej matka również miała siwe włosy, a jednak choć dobiegała pięćdziesiątki, była równie atrakcyjna jak córka. Miała na sobie letnią sukienkę z dzianiny w gołębioszarym kolorze i czarny słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

— Jakim jest pan człowiekiem? — spytała.

— Ja... pracuję w turystyce. Hotele, restauracje.

— Nie pytałam, co pan robi, ale jakim jest człowiekiem.

Gerry spojrział ze zdziwieniem na Mariannę.

— Przepraszam panią, ale chyba nie rozumiem pani pytania.

— Jest przecież bardzo proste — nalegała. — Czy jest pan na przykład kimś zdolnym oddać życie za kobietę, którą kocha?

Gerry znowu popatrzył na Mariannę, szukając jakiejś wskazówki. Czy jej matka naprawdę spodziewała się odpowiedzi? Ale Mariannę nie przestawała się do niego uśmiechać, papa wciąż przyglądał mu się przez pozbawione oprawek okulary, zupełnie jakby nie był pewien, czy ma go uderzyć czy ugryźć, a mamam czekała nieubłaganie na to, co powie.

— Ja, hm... — Gerry wytarł spocone czoło grzbietem dłoni. — Rozumiem, że to teoretyczne rozważania. Wszystko zależy od okoliczności, jeśli państwo rozumieją, co mam na myśli. Nie tylko zresztą, także od tego, czy się kocha.

— I pan ją kocha? — spytała matka Mariannę.

— Dopiero co się poznaliśmy.

— Moja żona nie pytała pana, kiedy się poznaliście — wtrącił się ojciec — tylko czy pan ją kocha.

— Nie mogę tego powiedzieć, proszę pana.

— Skoro tak, być może pańska znajomość z moją córką nie powinna się dalej rozwijać. —

Zatrzasnął etui na okulary. — Nie jestem pruderyjny, ale wierzę w honor.

— Proszę pana?

— Czy jest pan również głuchy? Powiedziałem, że powinien się pan trzymać od niej z daleka.

— Nie sądzi pan, że to jednak zależy od niej?

Ojciec Mariannę spoglądał na Gerry'ego dłuższy czas milcząc, jego twarz była naznaczona głębokim, niewypowiedzianym bólem.

— Niestety, tak. Ale mam prawo szczerze wypowiedzieć, co czuję.

— Miło mi było państwa poznać — powiedział Gerry, ukłonił się matce Mariannę, odwrócił na pięcie i odszedł.

Marianne chciała pójść za nim, ale ojciec schwycił ją za nadgarstek i rozkazująco potrząsnął głową.

Następny dzień był równie ciepły, ale pochmurny i kiedy Gerry się przebudził, deszcz padał przez otwarte okno na jego świeżo wydrukowany raport. Bluszcz połyskiwał wilgocią, a na żwirze werandy potworzyły się kałuże. Małe jeziora wody zebrały się także na siedzeniach plastikowych krzeseł.

Po utarczce z jej rodzicami nie zobaczył już Mariannę.

O szóstej widział ich wszystkich troje odjeżdżających dużym srebrnym renault. Kiedy samochód wjechał na kamienny most na Orne, Mariannę się obejrzała. I tylko tyle.

Ubrał się i zszedł do salle d'manger na kawę, rogaliki i gotowane jajka. Deszcz ściekał

niepewnymi strużkami po szybach. Zabrał ze sobą notatnik, żeby zrobić listę ewentualnych spotkań, ale przyłapał się na machinalnym wypisywaniu jej imienia wśród rysunków nadgryzionych jabłek i falistych linii, które mogły równie dobrze przedstawiać orchidee, jak i lekko rozchylone wargi Mariannę.

Po śniadaniu wrócił do pokoju, wyjął torbę podróżną i zaczął się pakować. Zatelefonował do Paryża i polecił Alexis, sekretarce, żeby umówiła spotkanie z prawnikami TransWestern, bo chciałby z nimi ustalić terminy rozmów z madame la patronne Moulin du Vey i jeszcze w dwóch innych hotelach, które wydały mu się interesujące. Bębnił niecierpliwie palcami w biurko, kiedy wydzwaniała z drugiej linii; podjęła wreszcie słuchawkę, ale w tym samym momencie Gerry zobaczył na werandzie czyjąś postać. Młoda kobieta w żółtym przeciwdeszczowym płaszczu, zmierzająca do hotelu. Nie widział jej twarzy, mimo to z jakiegoś powodu odsunął od ucha słuchawkę i wyjrzał przez okno, by się upewnić, czy dziewczyna weszła na hotelowe schody.

— Halo! — nawoływała Alexis. — Panie Philips, jest pan tam? Halo, halo!

Przerwał połączenie nie odpowiadając. Czekał; słyszał własne serce bijące tak głośno, jakby jakiś mężczyzna uderzał pięścią w poduszkę. Doszedł go odgłos kroków i szelest przeciwdeszczowego płaszcza, w miarę jak ktoś wchodził po schodach. Nastąpił moment ciszy, a potem rozległo się pukanie.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Na zewnątrz stała

Marianne w ociekającym wodą żółtym płaszczu, wilgotne włosy przylgnęły do czoła, mimo to uśmiechała się.

— Nie myślałeś, że mnie jeszcze zobaczysz?

— Nie, nie myślałem. — Dlaczego brakuje mu oddechu? Nagle zdał sobie sprawę, że na biurku leży otwarty notes o kartkach pokrytych tuzinami iluminowanych wersji jej imienia. — Słuchaj...

może byś weszła, zdjęła płaszcz? Właśnie zacząłem się pakować.

Zamknął za nią drzwi. Rozejrzała się po pokoju, podziwiając obite szarym jedwabiem ściany i meble w stylu z epoki.

— Bardzo tu komfortowo — zauważyła. — Chociaż ja osobiście wolę współczesne rzeczy.

Nowoczesna muzyka, sztuka, nowoczesne meble. Lubię wszystko, co nowe i podniecające.

— Zdejmij płaszcz — zaproponował. — Spakuję się w parę minut. Potem możemy pójść na szampana czy coś w tym rodzaju. Trochę chyba za mokro na mały spacer po sadzie — uśmiechnął się smutno.

Zbierał szczotki i wodę kolońską z toaletki, kiedy usłyszał, że zdejmuje płaszcz. Zerknął w lustro i na widok tego, co zobaczył, upuścił wszystko z trzaskiem na blat. W srebrzystej tafli widział

jej nagie odbicie. Miała na sobie tylko czarne pończochy i pas z podwiązkami. Patrzył, jak do niego podchodziła, a potem objęła go i przytuliła piersi do jego pleców.

— Jak mogłabym pozwolić ci odejść? — spytała i poczuł ciepło jej oddechu przez koszulę. —

Cokolwiek zaczynamy, powinniśmy to skończyć, prawda?

Odwrócił się i wziął ją w ramiona. Miała gęsią skórę od deszczu, brodawki ściągnięte i stwardniałe. Całował jej mokre włosy. Mokre usta. Ścisnął i pieścił piersi, pocierał brodawkę między kciukiem i palcem wskazującym. Wsunął palec między jej uda; była ciepła i soczysta jak przejrzała morela.

Rozpięła mu koszulę i pasek i wdrapali się razem na łóżko z gorliwością jeszcze większą, niż przejawiali wczoraj w sadzie. Mariannę popchnęła go delikatnie na plecy i usiadła na nim okrakiem, przyciskając obleczone śliskimi pończochami uda do jego boków. Jej piersi wykonywały skomplikowany taniec, twarz rozkwitła uczuciem tajemnej przyjemności. Wiatr szeptał w liściach bluszczu za oknem, a rzeka przetaczała się niezmiennie nad groblą.

Leżeli potem, bok przy boku, i rozmawiali. Powiedziała, że ma dwadzieścia lat, a ojciec jest sędzią w Manche. Przyjechali do Clecy odwiedzić ciotkę i wuja. Każdego lata to robią. Powiedziała mu też, że doskonali grę na wiolonczeli w Caen i ma nadzieję pojechać do Paryża, a potem do Ameryki. Zupełnie nie zażenowana, usiadła na brzegu łóżka, rozchyliła uda i zagrała dla niego wyimaginowany koncert na wiolonczelę. Patrzył na nią, a szarawe normandzkie światło przydawało perłowego odcienia jej białej skórze i tłumiło świetlistość włosów. Pomyślał, że zaczyna się w niej zakochiwać. Nie tyle kwestia honoru, co miłości.

Zaśpiewała mu bezsensowną piosenkę o kocie, który zakochał się we własnym cieniu.

Zaśmiewając się padli z powrotem na łóżko, a jemu nawet nie przemknęło przez głowę, dlaczego to wszystko się zdarzyło ani że kiedyś się skończy.

Pożyczyła rower od ciotki, żeby tu przyjechać, wielki niezgrabny wehikuł z szerokim skórzanym siodełkiem i koszykiem z przodu. Podniósł kołnierz płaszcza, by się uchronić przed deszczem i odprowadził ją do mostu. Spętany kozioł obserwował ich żółtawymi oczami, gdy szli.

— Zobaczymy się później? — zapytał.

— Zjawię się, kiedy się najmniej będziesz spodziewał. — Pocałowała go mokrymi od deszczu wargami.

Przytrzymał rower, żeby wsiadła. Zobaczył przelotnie jasną kędzierzawość na siodełku; różową delikatność przyciśniętą do czarnej skóry. Potem owinęła się połami płaszcza i powoli popedałowała przez most. Na środku odwróciła się i pomachała. Zamachał w odpowiedzi i ruszył w drogę powrotną do Moulin du Vey. Przepęniało go takie uniesienie, że miał ochotę skakać.

Od czasów gdy skończył Hartford, pracował po siedem dni w tygodniu, budując swoją karierę, i nawet na myśl mu nie przyszło się zakochać. Spotykał się z Francoise, ale była wyniosła i zachowywała rezerwę, a miłość traktowała jak niezbyt ważne, zabarwione odrobiną niechlujstwa hob-by, coś jakby garncarstwo. No i była Alexandra, przystojna, choć o końskiej twarzy blondynka, nad której łóżkiem wisiał przypięty pinezkami plakat z Giscardem d'Estaigne'em.

Ale Mariannę... to coś zupełnie innego. Była w niej magia. Ładna, zabawna i chętna zrobić w łóżku wszystko, czego zapragnął. Wszystko — z miłością i entuzjazmem, bez utyskiwania. Nawet wtedy, gdy — raz — do jej oczu napłynęły łzy.

Dochodził do hotelu, kiedy usłyszał od strony Vey zjeżdżającą szybko ze wzgórza ciężarówkę.

Sam nie wiedząc dlaczego, przystanął i półobrócony w tę stronę, zaczął nasłuchiwać.

Usłyszał, jak ciężarówka hamuje z jękiem niczym zraniony nosorożec. A potem echo powtórzyło odgłos uderzenia. I przerażająco znajomy łoskot.

— Nie — powiedział i rzucił się biegiem z powrotem w stronę mostu. Gdy do niego dotarł, zobaczył odjeżdżającą ciężarówkę — usmoloną, pomalowaną na zielono farmerską ciężarówkę wyładowaną mokrym sianem.

Biegł, a jego stopy kłapały na mokrych kamieniach. Zobaczył ją, gdy przemierzył połowę mostu. Leżała twarzą do ziemi, żółty płaszcz przeciwdeszczowy łopotał, jedno blade ramię spoczywało pod dziwnym kątem, tani zegarek na ręku był strzaskany. Rower ciotki odrzuciło o pięćdziesiąt stóp dalej, przednie koło sterczało mocno zgięte.

Ukląkł przy niej na drodze. Czarne pończochy były porwane, na udach zobaczył krew i błoto. Z

boku głowy wyciekała do rowu krew, mieszając się ze spływającą do niego deszczówką.

— Mariannę — zaskowyczał. Wiedział, że nie żyje. Blond włosy były nasączone krwią i zakrzepłą beżową i żółtawą substancją; straszliwie przerażony zrozumiał, że to mózg. Ciężarówka zrzuciła ją z roweru i przejechała po głowie.

Wstał. Musiał przytrzymać się znaku drogowego, inaczej by się przewrócił. Czuł się tak, jakby totalne poczucie nieszczęścia zakleszczyło całe jego jestestwo i nigdy już nie był zdolny oddychać, mówić, myśleć, dać nawet jednego kroku — jakby miał stać tutaj, właśnie w tym miejscu, pod letnim deszczem, przez resztę swego życia.

Poprzez deszcz wyjrzało słońce. Jakieś 2cv zatrzymało się obok i wysiadł z niego robotnik rolny w przyplaszczonej czapce z gasnącym niedopałkiem papierosa w ustach. Podszedł do Gerry'ego i położył mu rękę na ramieniu. Gerry popatrzył na niego, łzy ciekły mu po policzkach.

— Dlaczego ona? — zapytał. — Dlaczego właśnie ona?

— Je ne comprends pas, monsieur — powiedział mężczyzna, potrząsając głową.

Miesiąc później był w Rouen. Zabijał czas w kawiarni naprzeciwko katedry, czekając na Carla.

Zjadł kanapkę z szynką i wypił trzy kawy, a Carla wciąż nie było widać. Gotycka fasada katedry zmieniała w słońcu kolor ze skromnej szarości na ciepłą złocistość, zupełnie jak na obrazie Moneta.

Siedząca naprzeciwko kobieta dawała pokaz starannego malowania wydętych warg. W radiu Vanessa Paradis śpiewała Joe le Taxi. Na stoliku obok Gerry'ego leżała gazeta, ale jej nie czytał.

Wreszcie wpadł przez kawiarniane drzwi Carl, z reklamówką, walizeczką na dokumenty, płaszczem przeciwdeszczowym i torbą na zakupy z „Elegance”.

— To spotkanie tak się przedłużyło, w dodatku nie mogłem złapać taksówki. Jezus, co za ranek! — sapnął ze złością. — Może piwo by pomogło?

— Nie, dzięki, całkiem mi dobrze.

— Ale nie wyglądasz dobrze. — Carl stłoczył wszystkie swoje pakunki na sąsiednim krześle.

— Wyglądasz gorzej, niż kiedy cię ostatnio widziałem.

— Na litość boską, czuję się dobrze!

— Jadłeś coś? Spadasz na wadze. Henry uważa, że jesteś przepracowany. Powinieneś zafundować sobie kilka tygodni wakacji, pojechać do Nicei, może Menton. Mój znajomy ma apartament w Menton. Monsieur! Dewc bieres, s'il vous plait.

— Nie chcę piwa — powiedział Gerry.

— Ale wypijesz. Zamknij się i posłuchaj wujcia Carla. Wszyscy uważają, że odwalasz niezłą robotę, ale nie dopuść, żeby zaczęli myśleć, ile w to wkładasz wysiłku. Raz się załamiesz nerwowo i nie ma dla ciebie ratunku.

— To nie praca. Daję sobie radę.

— Tak? — Carl pociągnął głęboki łyk piwa i piana oblepiła mu wąsy. — Wyglądasz do dupy.

— Tak naprawdę, Carl — Gerry spojrział do pustej filiżanki — to jestem w żałobie.

— W żałobie? Ktoś ci umarł?

Garry przycisnął dłoń do ust, oczy wypełniły mu łzy, nie był w stanie się odezwać.

— Ej, przyjacielu — Carl ścisnął go za ramię. — Nie miałem pojęcia, przepraszam. Dlaczego mi nic nie powiedziałeś? Chyba nie twój staruszek, co?

— Nie — odezwał się w końcu Gerry. — Po prostu ktoś, kogo znałem.

— Ktoś, kogo poznałeś we Francji?

— Właściwie nawet dobrze nie poznałem. Tylko że... to otwierało wiele możliwości. Na całe życie.

— Mowa o kobiecie, tak? Gerry skinął głową.

— Francoise...? Nie myślałem naprawdę tego, co mówiłem o jej nogach.

— Nie, nie Francoise.

— Nie możesz mi powiedzieć kto?

— To nie ma znaczenia kto. — Gerry wzruszył ramionami. — Już nie.

W milczeniu dopili piwo. Carl spojrział na zegarek.

— Powinniśmy się zbierać do Lapautre's na następne spotkanie. Jesteś gotowy?

Gerry podszedł do lady zapłacić. Na ścianie przed nim wisiało wielkie lustro z przyklejonymi reklamami maes pils, oranginy i citron presse. Kelnerka wystukiwała na podzwaniającej kasie pozycje rachunku, a Gerry patrzył w lustro, w którym odbijała się obłana słońcem ulica, przejeżdżające przed katedrą pojazdy i stojak z pocztówkami.

Kelnerka powiedziała: Merci, monsieur i zaczęła liczyć resztę wprost na dłoni Gerry'ego, kiedy na zewnątrz zatrzymał się czerwono-kremowy autobus. Gerry zerknął przelotnie, ale jego uwagę przykuł ruch czyjejś ręki, więc spojrział ponownie i poczuł, że skóra na nim cierpnie. Przy piątym czy szóstym oknie siedziała blada blondynka w żółtym bawełnianym anoraku. W lustrze wydawało mu się, że spogląda wprost na niego.

Marianne! Był pewien, że to Marianne.

— Monsieur!

Rzucił resztę i wybiegł z kawiarni, potrącając stolik, przy którym siedziała wyszminkowana

kobieta, i przewracając krzesło, na którym Carl upchnął wszystkie swoje torby. Pobiegł prosto do autobusu i zagapił się na twarz dziewczyny. Też się w niego wpatrzyła — bez cienia obawy, jakby należało się spodziewać po nieznajomej; spokojna, opanowana, nawet leciutko rozbawiona. Była niezwykle blada, bladością osoby umarłej.

— Marianne! — krzyknął do niej. — Marianne, to ja!

Ludzie na ulicy zaczęli się oglądać. Dziewczyna przypatrywała mu się jeszcze przez chwilę, a potem się odwróciła. Uderzył dłońmi w bok autobusu i wrzasnął:

— Marianne! Na litość boską, Marianne! To ja, Gerry! Moulin du Vey! Pamiętasz?!

Podbiegł do przodu autobusu, ale nim dopadł drzwi, zamknęły się z cichym sykiem pneumatycznego zamka i pojazd ruszył. Gerry walnął w blachę i krzyknął:

— Stop! Arretez!

Kierowca zignorował go i autobus jechał dalej, nabierając szybkości. Gerry podniósł oczy i jeszcze raz przelotnie zobaczył dziewczynę. Uśmiechała się do niego. Cofnął się, zmieszany, z poobijanymi dłońmi. Już miał się odwrócić, gdy spostrzegł, kto siedzi z tyłu: siwowłosa mężczyzna w okularach bez oprawki i kobieta w czarnym kapeluszu z kokardą. Oboje równie bladzi jak dziewczyna, na ich twarzach malował się smutek. Rodzice Marianne. W każdym razie wyglądali jak jej rodzice.

Autobus odjechał wreszcie na dobre w obłoczku spalin z dieslowskiego silnika, a Gerry poczuł na ramieniu rękę Carla i przyjaciel zaprowadził go z powrotem do kawiarni.

— Co to miało być, do cholery?

Gerry usiadł za stolikiem. Wszyscy w kawiarni przyglądali mu się uparcie.

— Wydawało mi się, że to ona. Dziewczyna, która umarła.

— Jak to możliwe, skoro umarła? Miałeś rację, jesteś w żałobie, pogrążony w żalu. Od smutku umysł płata ci figle. Weźmy jeszcze po piwie, to ci dobrze zrobi. A może wolisz calvados?

— Była tak do niej podobna. Wydawało mi się nawet, że widzę jej rodziców.

— Czy to ktoś, kogo znałem, jeśli mi wybaczysz wścibstwo?

— Nie wiem, czy ją pamiętasz. To ta dziewczyna, która flirtowała ze mną, kiedy jedliśmy lunch w Moulin du Vey.

— Ona? Jak do tego doszło, że ją tak dobrze poznałeś?

— Nie poznałem. Wiem niewiele więcej, niż jak ma na imię. Ale była... była kimś naprawdę wyjątkowym.

— Może tylko myślisz, że nie żyje, a jest inaczej. Co jej było? Chorowała?

— Wypadek drogowy. Widziałem na własne oczy. Przykryli jej twarz i karetka ją zabrała. Była martwa.

— Czyli to nie mogła być ona, tam, w autobusie. — Carl upił trochę piwa.

— Nie. Logicznie rzecz biorąc, nie.

— Powiedzmy coś sobie: gdybyś rzeczywiście ją zobaczył, nie odczuwałbyś chyba pokusy odnowienia znajomości?

— Nie wiem. Myślisz, że zmarli mogą powrócić, jeśli tęsknimy dostatecznie mocno?

— Chodźmy, przyjacielu — Carl poklepał go po ramieniu. — Mamy parę hoteli do kupienia.

Tej nocy, w swoim apartamencie w Paryżu, śnił o przetaczających się grzmotach wokół Mont St-Michel i szczupłym, wyrzucanym w powietrze nadgarstku, na którym połyskiwał tani pozłacany zegarek. Dziewczyna w żółtej sukience leżała na drodze, a spod niej wypływała krew. Deszcz spadł

nagle, zmywał krew, a razem z nią sukienkę dziewczyny, jak rozmięktą tkaninę, a potem białe ciało zaczęło się rozpuszczać i spływać do rowu.

Widział zegarek tak wyraźnie, że mógł odczytać markę: „Pity me” — pożałuj mnie.

Tuż przy jego uchu nieznany głos wyszeptał:

— Pożałuj mnie.

Krzyknął głośno i usiadł na łóżku, przewracając szklanę z wodą na dywan.

Carl miał rację. Był pogrążony w żalu i to żal wywoływał senne koszmary i halucynacje.

Marianne nie żyła, a nawet gdyby jakimś cudem do niego powróciła... wolał nie myśleć o uścisku, którym mogła go obdarzyć.

Szedł przez podwórzec pałacowy Luwru, kiedy zauważył prowadzącą rower dziewczynę w słomkowym kapeluszu z dużym rondem. Był gorący słoneczny ranek i refleksy odbitego od zakurzonej powierzchni dziedzińca światła oślepiały go tak, że ledwie ją widział. Zniknęła za piramidą ze szkła i przez moment kusił go, żeby dać spokój i pójść dalej, ale w jej ubiorze, sposobie, w jaki się poruszała, było coś specyficznego, co wzbudziło w nim niepokój.

Okrzyknął piramidę i natychmiast ją znalazł. Rower leżał na ziemi, a ona przyklękała, by zawiązać rzemyki sandałka. Nosila żółtą bluzkę i bardzo krótką białą plisowaną spódniczkę. Kolana miała brązowe, piękne blond włosy, wymykające się spod kapelusza, połyskiwały w słońcu.

Jego cień padł na jej stopy. Spojrzała w górę; oczy miała szare, jakby także na nie padł jego cień.

— To ty — powiedział i poczuł się tak, jakby w jego wnętrzu przesuwała się góra topniejącego lodu. Nigdy dotąd w życiu nie był równie przestraszony; ze wszystkich sił panował nad sobą, by nie oddać w sposób niekontrolowany moczu.

— Pardon, monsieur? — spojrzała ze zdziwieniem.

— To ty. Widziałem cię w St Mało. I w Rouen. To ty.

— Ani razu nie byłam w St Mało. — Powoli uśmiech wypływał na jej twarz. — A w Rouen od czasu, gdy skończyłam szkołę.

— Zupełnie nie rozumiem. Niemożliwe, żebyś to nie była ty.

— Czuje pan rozczarowanie, że nie jestem kimś innym? — Wciąż uśmiechnięta, podniosła się na nogi. — Kim chciałby pan, żebym była?

— Jesteś Marianne. Musisz być.

— Na imię mi Stephanie — odpowiedziała, potrząsnąwszy głową. — Mieszkam w szóstej dzielnicy z mamą, tatą i wielkim tłustym kotem.

Gerry przyjrzał się jej uważniej. Nie dowierzał, że to nie Marianne. Ale tak naprawdę, nie mogła nią być.

— Wiesz chyba, że to niegrzecznie tak się gapić — oświadczyła.

Żółta bluzka skrywała piersi równie pełne jak u Marianne.

— Przepraszam. Głupia omyłka, nic więcej.

— No, może się zrehabilitujesz kupując mi lody. Przejechałam całą tę drogę na rowerze, a zapomniałam, że dziś wtorek. Luwr jest zamknięty we wtorki.

Już miał otworzyć usta, by przystać na jej propozycję, kiedy coś go ostrzegło. Coś mu przeszkadzało. Nawet nie to, że Stephanie była jak Marianne. Dzień wydawał się niezwykle. Światło było jakieś dziwaczne. Cień roweru nie padł tam, gdzie powinien. Pociągała go. Pragnął jej. Pomyślał

o Marianne, leżącej na plecach w sadzie z szeroko rozchylonymi udami. Nie wiadomo dlaczego odwrócił się i byli tam, stali niedaleko: siwowłosa mężczyzna z żoną w czarnym kapeluszu.

— Bardzo przepraszam — powiedział. — Jestem spóźniony, muszę iść.

— Aha, jest równie skąpy, jak niegrzeczny — odparła, wydymając wargi.

— Muszę. Przepraszam.

Odszedł najszybciej, jak mógł. Stephanie została na miejscu, obserwując go. Tak jak i siwowłosa

mężczyzna i kobieta w czarnym kapeluszu.

Tej nocy zasnął ledwie przyłożywszy głowę do poduszki i śniła mu się Marianne w sędzie.

Niemal czuł, jak się w niej porusza. Obudził się spocony, erekcja sprawiała mu ból, doświadczał przejmującego poczucia straty.

W Connecticut była ósma, zatelefonował więc do Freddie.

— Freddie, co byś zrobiła, gdyby Larry umarł, a ty spotkałabyś kogoś dokładnie takiego samego?

— Cóż to znowu za pytanie?

— Po prostu pytanie. Co byś zrobiła?

— Kiedy mówisz: taki sam, co to oznacza?

— Dokładnie taki sam. Aż po najmniejszy pieprzyk.

— Nie wiem. Pewnie musiałabym go uznać za atrakcyjnego. To znaczy, skoro Larry jest w moim typie, to facet dokładnie do niego podobny też byłby w moim typie.

— No tak, oczywiście — powiedział Gerry i spojrzął na puste łóżko ze zmiętą pościelą.

Wyszli z przyjaznego ciepła Huitre d'Or wprost w silny, dmuchający w twarz wiatr od kanału.

Carl złapał Gerry'ego za ramię, włosy mu powiewały wokół głowy.

— Nie lepiej wrócić na jeszcze jedną wódkę? — zapytał.

— Niestety nie mogę. Muszę wyjechać wieczorem do Paryża. Narada w sprawach marketingu punktualnie o wpół do dziewiątej.

— No to do następnego razu. Wyglądasz o niebo lepiej niż ostatnio.

— Nie sposób wiecznie żałować. No i może pojawi się ktoś inny, kiedy najmniej się będę tego spodziewał.

Poszli promenadą Arromanches, gdzie podczas D-Day wylądowali alianci. Posępne, nieprzyjemne dla oka ruiny portu Mulberry wciąż sterczały na mieliznach, a czołg Shermana dalej tkwił na wierzchołku pobliskiego wzgórza. Gerry przyjechał, by oszacować opłacalność otworzenia przez TransWestern hotelu i restauracji dla potrzeb grupowych wycieczek, reklamowanych pod hasłem „historia wciąż żywa”.

Kanał był szary, słony wiatr niósł drobiny piasku i musieli osłaniać rękami twarze.

— Pożegnaj się — powiedział Carl i uściśnął mu dłoń. — Uważaj bardziej na siebie, dobrze?

A jeśli pojawi się ten ktoś inny... cóż, chwycić się jej obiema rękami.

Patrzył, jak Carl odjeżdża, a potem spacerował jeszcze trochę wzdłuż linii frontu i po plaży.

Płakał, ale powodem był wyłącznie wiatr. Dwa spaniele uganiały się po piasku, a mały chłopiec, przytulony do ściany promenady, ze spodniami spuszczoneymi do kostek, usiłował siusiać pod wiatr.

Gerry podszedł do linii wody, chociaż miał na sobie oksfordy. Kawałeczek dalej stała samotnie młoda kobieta w długim kremowym płaszczu i żółtym szalu omotanym na głowie. Zastanawiał się, co tu robi, zupełnie sama, zapatrzona w zardzewiałe pamiątki wojny, która skończyła się dwadzieścia lat przed jej urodzeniem.

Podszedł do niej. Nie odwróciła się; stała przytrzymując ręką szal, nieruchomo, niepomna na pojedynczy kosmyk blond włosów, powiewający przed jej twarzą.

— Trochę upiorne, co? — zagadnął.

Wyglądało na to, że nie ma zamiaru odpowiedzieć, ale jednak się odezwała:

— Nie sędzę. Raczej smutne. Tyle istnień straconych. Tylu kochanków, mężów, synów. Tyle żalu.

— Czy pani wie, kiedy zbudowano port Mulberry? Przyholowali całe to cholerne żelastwo z Anglii.

— Nie interesują mnie stare sprawy. — Odwróciła twarz w jego stronę. — Lubię wszystko, co nowe.

Zapatrzył się na nią, czując, jak ciarki chodzą mu po plecach. Wyglądała jak Mariannę, jakby nią była. Ta sama cera, kości policzkowe, lekka wada zgryzu. A przede wszystkim ten sam kolor oczu

— jak wody jeziora w zimie.

Wiedział, że to nie może być Mariannę, zupełnie jak nie mogła nią być dziewczyna z autobusu w Rouen czy Stephanie przed Luwrem. Niemniej podobieństwo odebrało mu mowę. Stał z bezwładnie opuszczonymi ramionami, wpatrując się w nią, a szarpany wiatrem kołnierz płaszcza uderzał go w policzek.

— Coś nie tak? — spytała.

— Przepraszam. Bardzo panią przepraszam, po prostu kogoś mi pani przypomina.

— Mam nadzieję, że kogoś, kogo pan lubił. Odpowiedział wymuszonym uśmiechem. Wiedział, że nie jest w stanie się odezwać; gardło by mu się ścisnęło.

— Muszę już iść — stwierdziła. — Rodzice na mnie czekają.

— Właśnie zamierzałem się napić kawy. Nie zechciałaby pani się przyłączyć? Możemy zamówić po normandzką, z kropelką calvadosu. Tyle, żeby się rozgrzać.

Zawahała się, ale jednak zgodziła.

— Dobrze. Ale nie za długo. Ojciec będzie się niecierpliwił.

Poszli z powrotem przez plażę.

— Mieszka pani w pobliżu?

— W St Martin de Fontenay. To miasteczko niedaleko Caen. Stale sobie powtarzam, że powinnam wyjechać, rozejrzeć się po świecie, ale... czy ja wiem. Jakby wszystko się sprzysięgło, by mnie powstrzymać.

Weszli do niewielkiej kawiarni o podłodze wyłożonej kafelkami, na stołach leżały obrusy w kratkę. Na suficie wisiały sieci rybackie i homary z gipsu. Usiedli przy oknie i zamówili dwie czarne kawy i po małym kieliszku calvadosu. Było zbyt zimno, żeby zdjąć płaszcze.

— Jest pan Amerykaninem, prawda? Mieszkał pan w Ameryce w wielkim mieście?

— Urodziłem się w New Milford. Trudno je określić jako tętniącą życiem metropolię. Ale spędziłem wiele lat w Nowym Jorku i Londynie.

— Na pewno uwielbiałabym życie w wielkim mieście.

— Proszę mi wierzyć, nic specjalnego.

— Nie szkodzi. Chciałabym być sławna na cały świat i mieszkać w wielkim mieście.

— Z jakiego powodu chciałaby pani być sławna? — Przechylił kieliszek, wlał calvados do kawy i zamieszał. — A może z żadnego, po prostu dla samej sławy?

— Gram na wiolonczeli. To znaczy, uczę się. To bardzo trudny instrument.

Gerry postawił filiżankę i przyjrzał jej się uważnie. Odwzajemniła spojrzenie, zupełnie nie zmieszana. Co najmniej przez minutę żadne z nich się nie odzywało.

— Jesteś nią — wyszeptał.

— Nie wiem, o co ci chodzi. — Oczy jej rozbłysły. — Nie mam na imię Marianne, tylko Chloe.

— A twój ojciec nigdy nie był sędzią.

— Oczywiście, że nie. Był nauczycielem w liceum, teraz jest na emeryturze.

— Wiem, że to strasznie głupie pytanie — odchrząknął— i nie obrażę się, jeśli nie odpowiesz, ale... rzeczywiście mnie nie znasz? Może jednak już kiedyś mnie spotkałaś?

Potrząsnęła głową.

— Raczej bym pamiętała, nie sądzisz?

— Niewiarygodne — stwierdził. — Naprawdę niewiarygodne podobieństwo. Jesteś dokładnie taka jak ona.

Znowu milczeli dłuższy czas, po prostu siedząc i przyglądając się jedno drugiemu. Chloe nie była Marianne, a jednak czuł ten sam magiczny erotyzm, to samo wzajemne przyciąganie. Kiedy zaczęli rozmawiać, miał wrażenie, jakby podjęli wątek, który przerwali raptem wczoraj, a ponieważ popołudniowe światło zaczynało przygasać, pochylali się coraz bliżej ku sobie nad stołem, aż wreszcie ręka Gerry'ego spoczęła na jej dłoni, a potem każde z nich mogło wyczuć zapach kawy i calvadosu w oddechu drugiego. O wpół do piątej Chloe zerknęła na zegarek.

— Och, nie! Już tak późno! — powiedziała. — Ojciec będzie wściekły.

— Zobaczę cię wieczorem? — spytał Gerry.

— Myślałam, że oczekują cię w Paryżu.

— Postanowiłem zmienić plany.

— Chyba nie z mojego powodu?

— Jaki inny miałbym, żeby zostawać w Arromanche? Wrócili wietrzną, mroczniejącą promenadą do hotelu Le

Duc Guillaume. Weszli przez obrotowe drzwi do pustego, przegrzanego holu, który czuć było pastą do podłóg i francuskimi papierosami. Nieoczekiwanie Chloe ujęła go za rękę i pocałowała.

— Czekaj na mnie o ósmej — uśmiechnęła się.

— Przyniosę szampana.

— Nie. Wystarczą pieniądze.

— Pieniądze?

— Chcesz się ze mną kochać, prawda?

— Za pieniądze?

— Dlaczego nie? Wszystkie kobiety są prostytutkami, w ten czy inny sposób. Jeśli nie najlepszą wiolonczelistką wszechczasów, to może zostanę najwspanialszą prostytutką.

Patrzył na nią przez moment, próbując wyczytać coś z wyrazu jej twarzy.

— To ma być gra, tak?

— Gra? Tylko wtedy, jeśli ty zechcesz.

Jedli obiad w hotelowej restauracji. Było po sezonie i w sali oprócz nich siedziało tylko dwoje dość wiekowych ludzi, prawie się do siebie nie odzywających, i samotny mężczyzna, który czytał

książkę przy jedzeniu i co chwila chrząkał. Buty kelnera skrzypiały jednostajnie, gdy donosił po kolei moules marinières, demoiselle lobster i faszerowanego złotośledzia. Oczy obojga błyszczały w świetle lamp.

— Myślisz, że to możliwe, by dwie osoby były identyczne? — spytał Gerry.

— Oczywiście, że nie. Zawsze są jakieś różnice. Nawet ta sama osoba jest inna w oczach różnych ludzi, którzy ją znają.

Zrzuciła pantofel i obleczoną w pończochę stopą zaczęła pod stołem masować łydkę Gerry'ego, delikatnie i poufale, jak ktoś dobrze znajomy, i niemal uległ złudzeniu, że robi to machinalnie. Poczul, że penis mu nabrzmiewa i zrozumiał, jak mocno jej pragnie.

Nie obchodziło go już, czy to możliwe, by wyglądała jak Mariannę. Wydawało mu się, że Mariannę próbuje do niego wrócić pod taką czy inną postacią. Dlaczego miałby się jej dłużej wyrzekać, skoro straszliwie jej pragnął? Zamazane obrazy z sadu przemknęły mu przez pamięć, a skrzyp kelnerskich butów przez chwilę zamienił się w chrzęst żółtego płaszcza przeciwdeszczowego na wymiętym łóżku.

Po obiedzie usiedli w sali klubowej hotelu i dokończyli pić wino. Zegar nad kominkiem wybił donośnie dwunastą.

— Lepiej już pójdę — powiedział Gerry. — O północy zamieniam się w langustę.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że zapomniałeś pieniędzy.

Podnosił się właśnie z krzesła, ale usiadł z powrotem.

— Posłuchaj — powiedział, biorąc ją za rękę — nie zrozum mnie źle. Uważam, że jesteś cudowna. Chciałbym się z tobą kochać. Ale zanim zdarzy się między nami coś na serio, wolałbym być pewny swoich uczuć.

— Kto mówi o czymś na serio? To sprawa czysto handlowa.

Mówiła chłodno, ale z tak uwodzicielskim uśmiechem, że Gerry się poddał. Wyjął portfel i zapytał:

— Co powiesz na siedem i pół tysiąca franków? Wzięła pieniądze i wsunęła je za stanik sukienki.

— Idziemy — powiedziała i poprowadziła go do windy.

Wysoko sklepiony ciepły pokój oświetlała tylko osłonięta blad różowym abażurem lampa przy

łóżku. Odwinęła kapę takim gestem, jakby odsłaniała obraz. Odwróciła się i pocałowała go. Jej język błędził po jego wargach, drażnił, potem wśliznął się w głąb ust. Wpatrywała się w Gerry'ego otwartymi szeroko oczami, nawet nie mrugnawszy powieką. Źrenice miała szare jak niebo przed burzą, jak stalowe łożysko, jak pusta wiejska droga.

Rozpiął długą sukienkę z czarnej wełny. Opadła na podłogę wydzielając zapach kobiecego ciała i chanel no.5. Została w czarnym koronkowym biustonoszu, majteczkach z dwóch pasków czarnej koronki i czarnych samonośnych pończochach z koronkowym mankietem. Zdjęła stanik i miała biust jak Mariannę: pełny, okrągły, mlecznobiały. Dotknął brodawek koniuszkami palców, uniosła twarz, by go pocałować i długo smakowała jego usta.

Zdjął ubranie. Uniesiony penis rzucał cień na tapetę. Pocałowała go i roześmiewszy się, powiedziała: — Popatrz! — aby zwrócić uwagę Gerry'ego na ten teatr cieni. Przesuwała wolno dłoń w górę i w dół, tak wolno, że niemal było to frustrujące.

— Teraz... skoro już zapłaciłeś, możesz mnie wziąć — wyszeptała. Odwróciła się i położyła twarzą w dół na łóżku, piersi rozplaszczyły się na prześcieradle. Uniosła pośladki i sięgnęła obiema rękami, by je rozchylić, choć wciąż był między nimi czarny pasek koronki.

Nagi, wspiał się na łóżko i ukląkł za nią. Odsunął koronkowy pasek i odsłonił wilgotne, otwarte wnętrze. Kształt różowych warg przypominał nadbiegającą falę.

Wszedł w nią głęboko, przyciskając jej brzuch do pościeli. Sięgnęła dłonią do jego krocza i zaczęła pieścić mosznę, najpierw lekko, potem coraz mocniej, aż wbiła paznokcie w skórę i silnie szarpnęła. Uda mu zadrżały, poczuł się tak, jakby cała jego istota skoncentrowała się w tym miejscu i eksplodował. Chloe z premedytacją zrzuciła go z siebie, tak by nasienie rozprysło się na jej nogach.

Objęła go, drapała, uderzała, ocierała się o niego i przewracała z jednej strony łóżka na drugą i w końcu miał wrażenie, jakby atakowały go dzikie zwierzęta.

Leżała potem na plecach i wpatrywała się w sufit. Odpoczywał wsparty na łokciu i obserwował

ją, rysując koniuszkiem palca wzór na jej nagim brzuchu, czasem przesuwając rękę w dół, by owinać wokół palca złociste włosy.

— Powiedz mi, gdzie pierwszy raz kochałeś się z Marianną?

— W jabłoniowym sadzie niedaleko Clecy.

— Wiesz, że ilekroć przyniesiono jabłka Duchesne'owi, sekretarzowi Franciszka Pierwszego, krew leciała mu z nosa? — spytała, uśmiechnawszy się.

— Nie, nie wiedziałem. Krew wyciekła i ze mnie, ale nie z nosa.

— Z serca?

Potwierdził skinieniem głowy. Wciąż czuł żal po Mariannę, ale trudno było być nieutulonym w żalu,

gdy tuż obok leżała druga Mariannę — kobieta o tych samych erotycznych apetytach, tak samo lubiąca gry; kobieta, zdolna zrobić wszystko, by go zadowolić.

Przed świtem kochali się jeszcze dwukrotnie. Za trzecim razem wymogła, by związał jej nadgarstki i kostki u nóg jedwabnymi szarfami, a oczy przesłonił opaską. Kiedy pierwsze promienie szarawego światła zaczęły przesączać się do pokoju, ukląkł między jej udami, trzymając głęboko w niej palce, a ona chwyciła powietrze i wykrzykiwała jego imię.

Zapadał w sen, słysząc tykający na stoliku nocnym jej zegarek; był pewien, że wraz z oddechem wyszeptała: „Pożaluj mnie”.

Kiedy się ubierał, stwierdził, że pieniądze leżą z powrotem w portfelu. Wyjął je i poszedł do łazienki, gdzie stała przed lustrem, czyszcząc zęby.

— Co to znaczy? — spytał.

— Nie myślisz chyba, że naprawdę jestem prostytutką? — Jej odbicie uśmiechnęło się. —

Chcę być wspaniałą wiolonczelistką.

— Wyjdź za mnie — powiedział.

— Wyjść za ciebie? Przecież w ogóle mnie nie znasz. Mogę być najgorszą wiolonczelistką na świecie.

— Nie muszę cię znać. Po prostu czuję, jakbyśmy zostali dla siebie stworzeni. Czy kochałaś się już przedtem z mężczyzną?

— Nie twoja sprawa.

— Ale kochałaś się?

Stała przed nim naga, znowu czyszcząc zęby. Schwycił ją za ramię. Patrzyli sobie głęboko w oczy. Czuł zapach miętovej pasty i jej zapach.

— Wyjdź za mnie — powtórzył.

— Niby dlaczego? Bo tak bardzo przypominam Mariannę?

— Bo pozwolisz mi o niej zapomnieć.

Nie odpowiedziała ani „tak”, ani „nie”. Pocałowała koniuszek palca i przyłożyła do jego warg.

Zrozumiał, że to znak i przysięga i że pewnego dnia będą małżeństwem.

Zaprosiła go do wielkiego domu, stojącego na skraju wsi Oussuaire na łące u podnóża Mont St-Michel, by poznał jej rodziców. Gerry zaparkował na zakrzywionym zwirowanym podjeździe i

wysiadł. Było wietrznie, jak zwykle w pobliżu morza, i na szarych ścianach domu trzepotały wistarie.

W odległości dwustu stóp wylaniał się ponad lśniącym od słońca morzem ciemny szczyt St-Michel, ale wydawało się, jakby wielkość z niego uszła. Oparł się Anglikom w wojnie stuletniej i hugenotom podczas wojen religijnych, by w końcu paść z powodu turystów.

Jej ojciec czekał na nich w ponurym pokoju dziennym, na którego podłodze nie było dywanu, odwrócony plecami do światła. Miał szary garnitur, szary jedwabny krawat, na kolanach trzymał szarego kota o oczach przymkniętych z zadowolenia. Gerry podszedł i wyciągnął rękę. Stary mężczyzna nie uczynił najmniejszego gestu, by ją uścisnąć, po prostu dalej głaskał kota.

— Chloe powiedziała, że chce ją pan poślubić — odezwał się zimnym, oschłym tonem.

— Tak, proszę pana. Chcę.

— Cóż... niestety, jest wystarczająco dorosła, żeby sama podjąć decyzję.

— Niech mi pan wybaczy, ale trudno byłoby powiedzieć, że odnosi się pan do tego z entuzjazmem.

— Gerry nie był w stanie spojrzeć mu w twarz.

— Co mianowicie miałbym panu wybaczyć...?

— Proszę pana... Kocham Chloe z całego serca. Nikt nie będzie dbał o nią tak jak ja.

— Dokładnie tego się obawiam.

Gerry spojrział na Chloe zdumiony. Przekładała gałązki groszku pachnącego w dużej szklanej wazie. Nic nie powiedziała, uśmiechnęła się tylko do siebie.

— Nie da nam więc pan swojego błogosławieństwa? — zapytał Gerry.

— Będę się za was modlił.

W tym momencie nadeszła z ogrodu matka Chloe, niosąc koszyk wypełniony sałatą i szczypiorkiem.

— Tak dzisiaj wietrznie — poskarżyła się. Postawiła kosz i zdjęła ogrodowy kapelusz z woalką, a Gerry stwierdził, że wygląda niemal identycznie jak matka Mariannę; kobieta w szarej wełnianej sukience, której został przedstawiony w Moulin du Vey. Popatrzył na nią, a potem na Chloe.

Miał uczucie, jakby dni nakładały się na siebie, jak w origami.

Chloe podeszła i ujęła go pod ramię.

— Mamon, to mój przyszły mąż.

— Cóż, w końcu to musiało przyjść. — Patrzyła na niego z nie skrywanym niesmakiem.

— Przepraszam — powiedział Gerry — nie bardzo wiem, o co tutaj chodzi. Chcę zwyczajnie ożenić się z Chloe i uczynić ją tak szczęśliwą, jak potrafię.

Matka Chloe podniosła koszyk z sałatą i przeszła obok nich, kierując się do kuchni. W drzwiach przystanęła.

— Nigdy nikogo pan nie uszczęśliwi, a już najmniej Chloe.

— Nie zwracaj uwagi — uśmiechnęła się Chloe i pocałowała go w policzek. — Mama nie zaakceptowałaby żadnego kandydata.

Wzięli ślub we wrześniu w hotel de ville w Beauvoir. Wydawało się, że Chloe ma setki krewnych — zażywnych matron w czarnych kostiumach, o włosach jak druciane zmywaki i chudych wujków w pachnących naftaliną garniturach w drobne prążki, bez przerwy palących i rozmawiających o wyścigach. Przyjęcie weselne odbyło się w wielkim szarym domu w Ossuaire, podano pieczoną szynkę, galantyny i śledzia w marynacie. Świeciło słońce, ale mimo to padało i wiatr niósł do ogrodu złociste zasłony deszczu.

Gerry odnalazł Chloe na górze, w jej dawnym pokoju. Usiadł obok niej na łóżku i pocałował ją.

— Dobrze się czujesz? — zapytał. — Wyglądasz blado.

— Dobrze. Tylko trochę mnie mdli.

— Czy ty wiesz, jak bardzo cię kocham? — wyszeptał tuż przy jej uchu.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

— Właśnie dlatego tu jestem. Dlatego za ciebie wyszłam. — Po małej pauzie dodała: —

Dlatego noszę twoje dziecko.

— Jesteś...

— W ciąży? Tak. Lekarz wczoraj to potwierdził.

— Nabierasz mnie! Dlaczego nie powiedziałaś od razu, kiedy się domyśliłaś?

— Bo może byś zmienił zdanie. Może nie chciałbyś się ze mną żenić.

— Zwariowałaś?! Jestem wniebowzięty!

— Tak?

— Owszem, tak. Właśnie wziąłem ślub z najpiękniejszą kobietą na świecie i ta najpiękniejsza

kobieta mówi mi, że będzie miała ze mną dziecko. Chodź, pójdziemy na dół, musimy to wszystkim ogłosić. Trzeba otworzyć jeszcze parę butelek szampana.

— Nie, Gerry — oplotła dłońmi jego ręce — nikomu nie mów. Nie na naszym weselu.

Poczekaj, aż wrócimy do Nicei.

Pocałował ją, a ona oddała pocałunek. Zanim się zorientował, popchnęła go na łóżko i usiadła na nim, podnosząc kremową spódnicę i odsłaniając kremowe pończochy i koronkowe podwiązki.

— Chloe — zaprotestował, ale niemal go udusiła, całując. Jednocześnie sięgnęła ręką do jego wizytowych spodni i szarpnięciem otworzyła rozporek. — Chloe, a jeśli ktoś... — wydyszał, ale nie było sposobu, by ją powstrzymać, nawet gdyby tego naprawdę chciał.

Okręciła sobie spódnicę dookoła talii i zobaczył, że nie założyła majtek. Chwyciła nabrzmiałego penisa z purpurową główką i ułożyła między swoimi udami. Z długim westchnieniem usiadła na nim i od razu się w nią wśliznął.

— Jesteś w ciąży — powiedział Gerry, chwytając powietrze. — Co z dzieckiem?

— Nic się nie martw — uśmiechnęła się, podnosząc i opuszczając. — Dość tu miejsca dla was dwojga.

Nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy; aż do śmieszności. Carl uważał, że zażywa prozac, tymczasem jego stymulowała wyłącznie Chloe, ich wspólne życie, dziecko, które miało się narodzić.

Polecieli do Nicei w dwutygodniową podróż poślubną, a kiedy wrócili, Gerry zaczął się rozglądać za apartamentem w pobliżu Caen.

W drugim tygodniu października znalazł wielkie, świeżo odnowione mieszkanie z widokiem na park w południowo--zachodniej części miasta. Zadzwoił do Chloe z biura pośrednika, który promieniejąc, przekładał w drugim końcu pokoju papiery do podpisu. Napływała od niego smużka dymu z gitanów.

— Właśnie wyszła. — Telefon odebrał jej ojciec.

— Na długo? Mam dla niej dobrą wiadomość.

— Nie wiem. Powiedziała, że na jakieś dwie godziny. Pojechała na wieś.

— Dobrze. W takim razie do widzenia.

— Tak, do widzenia.

Ojciec Chloe przestał się do niego odnosić z niczym nie uzasadnioną nieuprzejmością, ale nie przepuścił żadnej okazji, by podkreślić, że go nie lubi i mu nie ufa. Matka Chloe ledwie się do niego odzywała.

Gerry jechał samochodem w kierunku Mont St-Michel, dręczony jakimś dziwnym nieokreślonym nastrojem. Przez cały dzień świeciło słońce, ale teraz niebo pociemniało burzowo.

Zanim dotarł do łąk, nad klasztor nadpłynęły atramentowoczarne chmury i w oddali zajaśniała błyskawica.

Kręta droga prowadziła między skłaniającymi korony drzewami i wśród miotanych wiatrem krzaków. Tuż za Beavoir wyprzedził go duży srebrny citroen, jadący tak szybko, że ledwie trzymał się szosy. Usłyszał pisk hamulców, gdy citroeniem zarzuciło na najbliższym zakręcie.

Coś było nie tak jak trzeba. Przerazająco nie tak. Z jakiegoś powodu czuł przymus, by przyspieszyć, dopędzić go, wyprzedzić, jakby...

Jakby za wszelką cenę musiał dotrzeć pierwszy, dokądkolwiek ów samochód zmierzał.

Jechał coraz szybciej, prędzej niż kiedykolwiek dotąd się ośmielił. Wąska droga rozwijała się pod kołami jak wąż strażacki. Na szóstym czy siódmym zakręcie mignął mu tył citroena, a potem umknął na prostej z szybkością, która odbierała mu dech w piersiach. Błyskawica rozdarła niebo, grzmot się przetoczył i wielkie grube krople deszczu zaczęły rozpryskiwać się na przedniej szybie.

Zarzuciło nim na następnym zakręcie i znów miał citroena w zasięgu wzroku. Ale nie tylko. Po wąskiej ścieżce jechała na rowerze w kierunku drogi dziewczyna w żółtej jak pierwiosnek sukience.

Pedałowała powoli, rytmicznie, z uniesioną wysoko głową. Może nawet śpiewała, oczy miała przymknięte.

Boże święty, to była Chloe.

Jakby zasłona spadła mu z oczu. Wszystko się powtórzyło — było takie samo jak w dniu, gdy uderzył w dziewczynę w żółtej sukience. Błyskawica nad wieżami Mont St-Michel. Podmokłe łąki naznaczone grą światła i cienia. Chloe, jego brzemenna najdroższa żona pedałuje na rowerze. Hamujący citroen, wreszcie hamujący; smużka dymu wydobywa się spod jego kół, ciemne ślady gumowych opon żłobią drogę.

Chloe. Wylatująca w powietrze, padająca z głuchym łomotem. Rower jedzie jeszcze przez chwilę sam w kierunku rowu. Citroen pędzi dalej, nie zatrzymuje się i kiedy Gerry wychodzi ze swojego samochodu, nie słysząc już nawet odgłosu jego silnika.

Ona leży twarzą w dół, krew wycieka spod włosów na trawę. Gerry unosi rękę o szczupłym nadgarstku i szuka pulsu, chociaż wie, że ukochana nie żyje. Nie dlatego, że nie daje znaku życia —

on to po prostu wie. Przeznaczenie, kara, splót okoliczności.

Odwraca ją delikatnie. Wiatr rozwiewa jej włosy. Jedna strona twarzy jest doskonała, druga zniekształcona upadkiem na drogę. Oko wypływa na policzek jak u zniszczonej lalki.

Gerry przyciska dłoń do jej brzucha, ale jest za wcześnie, by coś wyczuć. Albo za późno.

Dziecko umiera lub umarło, a on nie może nic zrobić, by je ratować.

Gerry podnosi się na nogi i mechanicznie daje kilka kroków po drodze. Klęka na jej skraju i zaczyna szlochać. Czuje się jak pusty dzban, który nagle napełniono po brzegi żalnością. Niezdolny zrobić nic innego, szlocha; nie przestaje szlochać, dopóki gardło mu boleśnie nie wyschnie, a wtedy pada twarzą w trawę.

Wciąż jeszcze leżał, gdy do jego uszu dotarł odgłos kroków. Gerry podniósł głowę i spojrzał w górę, prosto w świecące słońce. Zobaczył stojącego nad sobą mężczyznę w szarym garniturze i klęczącą obok ciała Chloe kobietę. Wiatr wyduł żółtą jak pierwiosnek sukienkę.

— Zabił ją — powiedział Gerry nabrzmiałym łzami głosem. — Zabił i pojechał dalej.

Mężczyzna skinął głową.

— Nigdy tego nie zrozumieją, że nie zabijają jednej kobiety, ale wiele. Kochankę, żonę, córkę, znajomą. Piękną dziewczynę, którą ktoś zobaczył przelotnie w autobusie i nigdy więcej już nie spotka.

Młodą studentkę, która poznaje chłopaka przed galerią, akurat tego dnia zamkniętą. — Przerwał na chwilę. — Pozostawiają po sobie tyle przekreślonych istnień. Tyle żalu. Może gdyby im samym było dane odczuć tyle żalu...

Gerry opadł z powrotem twarzą na ziemię, niezdolny do ruchu, jakby ciężar żalu, który odczuwał, był większy od ziemskiego ciężenia. Jakby jego plecy przytłoczył ogromny głaz.

Mężczyzna w szarym garniturze odszedł, zostawiając go, by sam się podniósł, jeśli potrafi.

Czekał w sali odlotów lotniska Charles'a de Gaulle'a na samolot, którym miał wrócić do Nowego Jorku, gdy usłyszał dziewczęcy śmiech.

Opuścił egzemplarz „Herald Tribune” i spojrzał w tamtym kierunku. Siedziała w grupie koleżanek — sześciu czy siedmiu około dwudziestoletnich dziewczyn — bez wątplenia najładniejsza z nich i pełna wigoru. Blond włosy jaśniały w zalewającym dworzec słońcu, jej śmiech dźwięczał jak dzwoneczki.

Długo obserwował ją nieruchomym wzrokiem. Miał poszarzałą twarz, zmęczony wygląd, oczy wciąż podpuchnięte po nocach spędzonych na rozpaczliwym łkaniu. Po pewnym czasie odwróciła głowę i zauważyła, że ją obserwuje. Zwróciła się z powrotem do koleżanek, ale za chwilę zerknęła na niego, potem jeszcze raz z przelotnym, kokieteryjnym uśmiechem.

Wyglądała zupełnie jak Chloe, Stephanie i dziewczyna z autobusu w Rouen. Wyglądała jak Marianne. Te same włosy, kości policzkowe, ten sam wzruszający wyraz słabości w rysunku ust. Ale tym razem nie czuł radości ani podniecenia. Tym razem przytłoczyło go straszliwym ciężarem uczucie żalu.

Zwinął gazetę i wstał. Zostawił bagaż podręczny na siedzeniu, podszedł do dziewczyny i stanął naprzeciw niej. Spojrzała na niego, gdy jedna z koleżanek trąciła ją łokciem.

— Czy my się nie znamy? Roześmiała się, a razem z nią cała grupka.

— Chyba nie. Raczej bym pana zapamiętała.

— Nie masz na imię Chloe albo Mariannę?

— Nie. Bernice.

— Bernice. Aha. Nie grasz przypadkiem na wiolonczeli?

— Tak. Ale jeszcze się uczę. Pewnego dnia...

— Będiesz sławna, wiem. I będziesz mieszkała w wielkim mieście w Ameryce, czego zawsze chciałaś.

Dziewczyna popatrzyła ze zdumieniem na koleżanki. Zaczęły chichotać.

— Musisz go znać — odezwała się jedna z nich. — Wie o tobie więcej niż ja.

— Twój zegarek — powiedział Gerry. — Czy mógłbym zobaczyć twój zegarek?

— Nie jest wiele wart. — Zasłoniła go obronnym gestem ręki.

— Wiem. Chciałbym tylko na niego popatrzeć.

Z ociąganiem uniosła ramię, a on wziął w rękę szczupły nadgarstek z rysującymi się na nim błękitnymi żyłkami. Nosila tani pozłacany zegarek z czerwonym paskiem. Odczytał na tarczy markę: Hi Tyme. Druga nóżka H była zatarta i napis wyglądał jak Pi Tyme.

Pity me. Pożałuj mnie.

Wyjął portfel, wyciągnął siedem i pół tysiąca franków i podał jej.

— A to za co? — spytała. — Nie wezmę tego!

— Nie pamiętasz? To część gry.

— Ależ to dużo pieniędzy!

— Tym razem chcę, żebyś je zatrzymała — powiedział dotykając delikatnie jej ramienia i uśmiechając się do niej z żalem.

— Tym razem? — Łzy wypełniły jej oczy.

Nie mógł się odezwać. Nie mógł jej nic powiedzieć.

— To wariat — oświadczyła któraś z koleżanek. — Patrzcie, on płacze!

Bernice utkwiała w nim wzrok, oczy miała szare jak wody jeziora w zimie.

— Kocham cię — wyznał. — I przepraszam. Odwrócił się i poszedł prosto do wyjścia, mijając po drodze swoje miejsce w hali odlotów. Nie zatroszczył się o bagaż. Bernice obserwowała go, jakby powoli przypominając sobie, kim on jest — albo kim mógłby być.

— Powinnaś pójść za nim — nalegała koleżanka.

— Un moment — powiedziała Bernice unosząc rękę, jakby czekała na coś, co ma się wydarzyć.

Gerry wyszedł z lotniska wprost w oślepiający snop promieni słonecznych. Nie widział

nadjeżdżającego autobusu Air France, ale nawet gdyby go zauważył, pewnie nie próbowałby usunąć mu się z drogi. Usłyszał przeraźliwy pisk, a potem coś w niego uderzyło z taką siłą, że przeleciał przez podjazd i rozbił oszklony przystanek autobusowy.

Niewielu więcej rzeczy był świadomy. Leżał twarzą na dół, z wielkim trójkątnym kawałkiem szkła wbitym w żołądek, krew wyciekała spod niego na asfalt.

— Jak ci na imię, synu? — usłyszał czyjś głos.

— Gerry.

— Te absofoo, Gerry. W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Leżąc zobaczył Bernice; stała w otaczającym go tłumie, twarz miała bladą, włosy powiewały jej na wietrze. W przeciwieństwie do wszystkich wyglądała na niezwykle spokojną, niemal usatysfakcjonowaną. Po chwili odwróciła się i odeszła, jakby w ogóle nic nie wiedziała o bólu, nieszczęściu, żalu — i nigdy nie miała wiedzieć.

Rodzice czekali na nią. Byli w żałobie.

Sekretna księga Shih Tan

Los Angeles, Kalifornia

W mieście, w którym lunch traktujecie ze śmiertelną powagą, najistotniejszą sprawą dla image'u człowieka jest jądanie we właściwych miejscach. Osobiście nigdy nie zwracałem sobie głowy pokazywaniem się we właściwych miejscach. Chodziłem do „Palm” przy Santa Monica na steki i homara, bo mi tam smakowały, a na rozmaite sałatki do „Butterfields” przy Sunset, ponieważ mogłem się tam dostać bez samochodu. Sztuka kucharska w najlepszych restauracjach Los Angeles jest równie wysoko rozwinięta jak w podobnych przybytkach na świecie i zawsze mnie zasmucało, że większość klientów jest zainteresowana tym, gdzie niż co jedzą.

Ten snobizm czasami zresztą drogo kosztuje restauracje. Kiedy zbierałem materiały do tego opowiadania, wysłuchałem niezliczonych opowieści o klientach luksusowych knajp, kradnących popielniczki czy srebro stoło-we, by udowodnić przyjaciołom, że bywają tam, gdzie trzeba. Tylko

jednego roku „La Scala” straciła pięć tysięcy dolarów z powodu skradzionych kielichów do wina, filiżanek do kawy i sztućców. Menedżer „La Cave”, Dean Evans, z niesmakiem obserwował kiedyś żonę sędziego chowającą po kryjomu do torebki ozdobną kryształową popielniczkę. Zawinął w papier do pakowania prezentów jeszcze jedną i wręczył jej, gdy wychodziła, ze słowami: „Proszę, będzie pani miała do pary”.

Sekretna księga Shih Tan jest opowieścią o takich właśnie, siejących spustoszenie biesiadnikach. Tyle że zainteresowanych czym innym niż tym, gdzie będą jedli albo czy uda im się zabrać coś na pamiątkę do domu.

Ludzie ci pozwolą wam poznać jeszcze jedno oblicze strachu.

SEKRETNA KSIĘGA SHIH TAN

Człowiek spożywa mięso roślinożernych

zwierząt, jeleń trawę, krocionogom smakują

węże, jastrzębie i sokoły delektują się

myszami. Z tych czworga istot — która wie,

jak jedzenie powinno smakować?

(Wang Ni)

Ojciec Craiga zawsze mu powtarzał, że gotowanie jest jak seks. Pobudza gotującego, przydaje mu mocy. Umożliwia udawanie Boga przez oddziaływanie na ludzkie zmysły. Powoduje wzmożone wydzielanie potu, wyczerpuje, ale pierwsza myśl o tym, co się ugotuje następnego, już niesie nowe wyzwanie, jak dziewczyna, która nie przestaje pieścić zmęczonej męskości.

Dzisiejszego wieczora Craig przygotował około stu dwunastu posiłków od szóstej, czyli od momentu otwarcia „Burn-the-Tail”, i teraz siedział na podwórzu na skrzynce po brokułach, popijając z butelki lodowatą wodę Evian i wsłuchując się w pobrzękiwanie zmywanych z hałasem naczyń.

Przetarł oczy grzbietem dłoni. Był tak zmęczony, że nie przychodziło nawet mu do głowy, o czym by tu pomyśleć. Ale wiedział, że jutro rano mają mu dostarczyć świeżego karpia, a tyle wspaniałych rzeczy można przyrządzić ze świeżej ryby. Karp w białym winie, z chrzanem i śliwkami.

Karp z selerem i porami duszony na wolnym ogniu w lagerze i wytrawnym białym winie. Nadziewany szalotkami, szynką i pędami bambusa.

Nic nie wskazywało na to, że sztuka kucharska stanie się jego pasją, dopóki nie podrósł na tyle, by stanąwszy na stołeczku, dosięgnąć blatu kuchni. Teraz skończył dwadzieścia osiem lat, był

niezdarny i chudy jak bocian, miał szczupłą twarz o ostrych rysach i krótkie włosy sterczące jak u Staną Laurela. Oboje rodzice byli wspaniałymi kucharzami i zachęcali go do eksperymentowania w

kuchni, tak jak inne dzieci zachęca się do brania lekcji gry na pianinie.

Jego ojciec, George, był francuskim Kanadyjczykiem i pracował w „La Bella Fontana” w Beverly Wilshire Hotel, a matka, Blossom, półkrwi Chinką. Zanim skończył dziewięć lat, nauczyła go wszystkiego o ogniu: czterech stopniach i jedenastu kształtach. Obojgu zawdzięczał umiejętność przygotowywania z najprostszych składników dań, o których w „Los Angeles” pisano: „nie istnieje słowo na określenie sztuki kucharskiej Craiga Richarda inne jak: erotyczna”. „Los Angeles Times”

wypowiadał się nieco dosadniej: „To jedzenie jest tak nieprzyzwoicie podniecające, że człowiek czuje się niemal zażenowany, spożywając je publicznie”.

Craig otworzył „Burn-the-Tail” przy Santa Monica Boulevard w parę dni po swoich dwudziestych trzecich urodzinach, a zdumiewające połączenie klasycznej kuchni francuskiej z orientalną zapewniało mu co wieczór całkowicie wypełnioną salę — w większości ludźmi kina, prawnikami i producentami płyt. Mimo to w przeciwieństwie do innych znakomitości, jak Ken Horn lub Madhur Jaffrey, uparcie bronił się przed wystąpieniem w telewizji czy ofertami napisania książki kucharskiej. Ilekroć proszono go o udzielenie wskazówek kucharskich, potrząsał głową i odpowiadał:

„Spróbujcie za dziesięć lat. Na razie nie jestem jeszcze wystarczająco dobry”.

Nie przeszkadzało mu to być całkowicie pewnym swojej sztuki. Może nawet zbyt pewnym.

Uważał, że w całym Los Angeles, a nawet w całej Kalifornii, nie ma bardziej od niego utalentowanego szefa restauracji. Nosił w sobie wyobrażenie o jedzeniu wzbudzającym takie reakcje fizyczne i emocjonalne, że ci, którzy go skosztują, nie będą już nigdy pragnąć innych dań. Pragnął stworzyć danie, które spowoduje erekcję u mężczyzn, gdy tylko wezmą je do ust, a kobiety przyprawi o drżenie i zmusi do zaciśnięcia ud.

Gotował lepiej niż jakikolwiek znany mu kucharz, ale dopóki nie był w stanie przyrządzić czegoś takiego, nie mógł uznać, że jest wystarczająco dobry.

Pociągnął następny haust wody. W noce jak ta, pocąc się tracił do trzech funtów na wadze.

Pomagało mu wprawdzie sześciu asystentów, ale pracował w szalonym tempie, zawzięcie, zawsze się forsując. Odzywało się chińskie dziedzictwo: duma z ułożenia marynowanych kaczych wątróbek w taki sposób, by wyglądały jak kwiaty chryzantem i pokrojenia okonia morskiego, by przypominał grono winogron.

Tina, barmanka, wyszła na podwórze. Bardzo ją lubił. Drobną blondynką o błyszczących włosach ostrzyżonych na pazia i niemal zbyt pięknej twarzy. Nosila obcisłą niebieską sukienkę z welwetu wyciętą w szpic i gdy się nachylała, by podać klientom drinka, przez krótki moment doznawali oszałamiających wrażeń na widok jej dekoltu. Była zresztą bardzo z niego dumna.

Pokazano go w dwóch epizodach serialu telewizyjnego „Słoneczny patrol”, wyszła też swoje zdjęcia do „Playboya”.

— Migdałowa Twarz się o ciebie dopytuje — powiedziała.

— Powiedz mu, że wściekły pies mnie pokąsał. — Nienawidził klientów, którzy prosili, żeby wyszedł z kuchni, bo chcą mu pogratulować. Cmoktali w koniuszki palców, mówiąc: „feuillete z małży było po prostu mniam!”, podczas gdy Craig uważał, że nie po prostu „mniam”. Przygotowywał je z najświeższych małży, wybranych przez niego osobiście u W. R. Merry'ego, dostawcy egzotycznych ryb, gotowanych w jajkach i śmietance i podawanych z zaprawianym koniakiem sosem z homara, którego dopracowanie zajęło mu trzy lata.

— Wygląda na to, że będzie nalegać. Proszę — wręczyła mu wizytówkę.

Była troszeczkę większa niż normalnie używane, ciemne litery pisma o prostym kroju głosiły: Hugo Xawery, pod spodem widniał adres: Sanctuary, Stone Canyon Avenue, Bel Air. Craig odwrócił

kartonik i zobaczył nagryzłomone długopisem cztery słowa: Sekretna księga Shih Tan.

Zapatrzył się na nie, ledwie zdolny oddychać, a co dopiero przemówić. Wywarły taki sam efekt, jakby gorliwy chrześcijanin zobaczył napis „Arka Przymierza”, wiedząc, że wyszedł spod ręki kogoś, kto ją znalazł.

W umyśle Craiga nie powstał nawet cień wątpliwości, że Migdałowa Twarz rzeczywiście natknął się na Sekretną księgę Shih Tan, ponieważ niewielu wiedziało o jej istnieniu.

Nigdy nie widział jej kopii; krążyła sekretnie wśród wąskiego grona co znaczniejszych restauratorów. Człowieka, który ją opublikował, opanowały tak głębokie wyrzuty sumienia, że próbował wykupić wszystkie egzemplarze, by je spalić. Dwa mu umknęły i w 1898 roku w Szanghaju, za czasów liberalnych rządów młodego cesarza Kuang Hsu, dodrukowano niewielką liczbę tomów Sekretnej księgi Shih Tan. W sto dni później Kuang Hsi został pozbawiony tronu przez cesarzową wdowę Tzu Hi, a Sekretną księgę Shih Tan wraz z setką innych książek uznano za szkodliwą i zniszczono. Krążyły pogłoski, że owiany legendą K'ang Shih-k'ai, zaufany cesarza, przesznułował

pojedynczy egzemplarz z Chin, ale od tej pory wszelki słuch po niej zaginął.

Craig usłyszał o niej po raz pierwszy, gdy miał czternaście lat. Matka znalazła pod materacem jego łóżka „Playboya”, a wujek Lee, Chińczyk, roześmiewszy się, stwierdził: „W końcu to nie Sekretna księga Shih Tan” Blossom Richard przyjęła to z najwyższym niesmakiem, a George Richard ostrzegł wujka, by nie ważył się więcej o niej wspominać. Niemniej kiedy później Craig zapytał, o co chodziło, wuj mu wyjaśnił.

Teraz, gdy patrzył na tytuł wypisany na odwrocie wizytówki nieznanego, owładnął nim strach przemieszany z podekscytowaniem, to samo uczucie, które ogarnęło go przed laty, kiedy wujek, paląc papierosa przy oknie, zdradzał mu półgłosem szczegóły, dotyczące zakazanej książki.

— Wszystko w porządku? — zapytała Tina. — Wyglądasz, jakby cię naprawdę pokąsał

wściekły pies.

— Nie, w porządku — Craig przełknął ślinę. — Powiedz panu Xawery'emu, że zaraz przyjdę.

— Naprawdę chcesz się z nim widzieć?

— Dlaczego nie. Muszę od czasu do czasu pogaworzyć z klientami. W końcu to oni płacą.

Tina podążyła różnym krokiem z powrotem do baru, a on do męskiej toalety dla personelu.

Zdjął poplamione białe ubranie robocze i energicznie wyszorował ręce. Jean--Pierre, pulchny, nie ogolony Francuz, jeden z jego zastępców, wszedł do środka i wytarł spocone czoło zmiętym podkoszulkiem.

— Dziś wieczór obsługujemy idiotów, tak? — Mówił z wyraźnym francuskim akcentem. — Ci z piątki odesłali kawior z Kolumbii, bo był żółty. „Wiemy, jak wygląda kawior”, oświadczyli. „Jest czarny”.

Craig usiłował uczesać włosy. Drżał tak mocno, że musiał ścisnąć brzeg umywalki, żeby się uspokoić.

— Nie jesteś chyba chory, co? — spytał Jean-Pierre.

— Nie, nie — zapewnił Craig.

— Trzęsiesz się jak galareta.

— Tak. Trzęsę się. — Wahał się przez moment, a potem zaryzykował: — Co najgorszego w życiu zrobiłeś?

— Nie bardzo rozumiem. — Jean-Pierre rzucił mu szybkie spojrzenie.

— No, na przykład, czy skrzywdziłeś kiedyś celowo innego człowieka dla satysfakcji zrobienia czegoś, czego zawsze pragnąłeś?

— Nie wiem. Okradłem kiedyś przyjaciółkę na poważną sumę. To znaczy w tym sensie okradłem, że pozwoliłem, by kupowała mi ubrania i dawała drogie prezenty, pewna ślubu, którego nie chciałem. Miała... jak wy to nazywacie...? Brodawki. Nie przepadam za brodawkami, rozumiesz?

— Jasne. — Craig położył dłoń na jego ramieniu. — Też ich nie lubię.

— Ty na pewno nie jesteś chory? — zatroskał się Jean-Pierre.

— Nie wiem. Trudno sobie samemu postawić diagnozę.

Co jednego przyprawia o chorobę, dla drugiego jest jak kaszka manna na śniadanie.

Ubrał się w dżinsy, oksfordzką koszulę z krytym zapięciem i ulubioną marynarkę od Armaniego w kolorze piasku, a potem przeszedłszy przez kuchnię, skręcił w lewo do restauracji.

Dochodziła pierwsza w nocy i niemal wszyscy już wyszli. Wnętrze sali było utrzymane w oszczędnym, prostym stylu, dużo drewna w naturalnych barwach, przyćmione światła. Jedyne wyraziste element wystroju stanowił fresk na głównej ścianie, inkrustowany stalą i emalią, na którym skakały karpie o połyskujących ogonach.

Mężczyzna, którego kelnerka ochrzciła mianem Migdałowej Twarzy, siedział z młodą dziewczyną przy stoliku numer dziewięć, najbardziej osłoniętym przed spojrzeniami innych gości, a jednocześnie zapewniającym najlepszy widok na salę. Był niezwykle wysoki, śniady, miał wąską czaszkę, czoło pofałdowane głębokimi zmarszczkami, uszy ściśle przylegające do głowy. Nasycone zelem kruczoczarne włosy układały się w fale. Bardziej niż migdałowy kształt głowy przyciągnęły uwagę Craiga jego oczy. Głęboko osadzone, nie zdradzające uczuć, równie beznamienne jak dwa głazy. Zważywszy, co wyrażały, na dobrą sprawę mógłby właściwie nie mieć oczu. Miał na sobie drogi szary garnitur, a czarne buty lśniły równie mocno jak włosy. Na owłosionym nadgarstku połyskiwał wielki złoty zegarek.

W końcu to jednak dziewczyna, nie on, skupiła na sobie uwagę Craiga. Wyglądała na pół

Azjatkę, pół Europejkę. Niezwykle szczupła, powiedziałałbyś: ramiona i nogi, ubrana w jedwabną cielistą suknię, która niewiele skrywała, z daleka sprawiała wrażenie nagiej. Brodawki piersi rysowały na materiale ciemniejsze punkty, jedwab przylgnął do ud, jakby usiłował podciągnąć się na biodra, odsłaniając ją.

Miała niezwykłą twarz. Czarne, ostrzyżone na pieczarkę włosy okalały oblicze sfinksa —

skośne oczy, wąski nos, wargi, które wyglądały, jakby dopiero co skończyła robić fellatio. Była mocno opalona, skóra sprawiała wrażenie tak doskonałej, że Craig ledwie oparł się pokusie, by dotknąć jej ramienia, przekonać się, co poczuje.

— Chciałbym panu pogratulować niezrównanego posiłku — powiedział Hugo Xawery. Mówił

niskim głosem, bez śladu europejskiego akcentu. Gdyby rozmawiali przez telefon, Craig mógłby zastanawiać się, czy nie pochodzi z Bostonu.

— Zamówił pan wołowy podkolanek.

— Właśnie. Trzeba znacznych umiejętności i cierpliwej pracy, żeby z czegoś tak chrząstkowatego przyrządzić jedno z najlepszych dań, jakich próbowałem w tym mieście. „Zręczność i umiejętność przerodzą kawałek selera lub kiszonkę z kapusty we wspaniałe delikates; gdy ich nie dostaje, żaden pożytek z najwspanialszych rarytasów ziemi, nieba czy morza”.

— Wang Hsiao-yu — stwierdził Craig. — Cytowany przez uczonego Yuan Mei.

— Jest pan niezwykle utalentowanym człowiekiem. Ponad jedenaście lat szukałem równego panu mistrza sztuki kucharskiej. Może przysiadłby się pan na chwilę. Chciałbym panu przedstawić pewną

propozycję.

— Czy o to chodzi? — Craig podał mu jego własną wizytówkę, ale nie usiadł.

Hugo Xawery patrzył wzrokiem bez wyrazu.

— Słyszałem o niej, to fakt — odezwał się znowu Craig — ale nie sądziłem, że zachowały się jeszcze jakieś egzemplarze. Poza tym, przyrządzenie czegokolwiek według zawartych w niej przepisów jest, zdaje się, wbrew prawu.

— Bywają sprawy tak oczywiste, że żadne prawo ich nie dotyczy.

— Trudno uznać tę książkę za coś oczywistego.

— Nie czytał jej pan. — Hugo Xawery nieznacznie wzruszył ramionami. — A ja setki razy.

Umiem ją na pamięć. Gdyby coś się z nią stało albo mi ją ukradziono, byłbym w stanie odtworzyć każdą stronę, od pierwszej do ostatniej. To bezsprzecznie najwspanialsza książka kucharska, jaką kiedykolwiek stworzono. Jej cel jest niekwestionowanie oczywisty i nie zaprzecza temu natura zebranych w niej przepisów.

— Obawiam się, że nikt poza panem by tego tak nie potraktował.

— A pan? — Hugo Xawery pochylił się lekko ku niemu. Nosił dziwny zegarek, nie znanej Craigowi marki. — Jak pan by to potraktował?

— Czysto teoretycznie, jak sędzę.

— Jak to możliwe, by kuchmistrz tak wspaniała jak pan, poznawszy Sekretną księgę Shih Tan, nie poczuł palącej potrzeby, by się z nią zmierzyć?

— Cóż, wie pan dlaczego. — Craig parsknął cichutkim, pozbawionym radości śmiechem. —

Składniki stanowią pewien problem, powiedzmy, że tak to ujmę. Powinienem także mieć na względzie swoją restaurację, pozycję.

— Ach tak, pańską pozycję.

Craig czekał, ale Hugo Xawery nie dodał nic więcej. Siedział, patrząc beznamiętnym kamiennym wzrokiem, ręka z odliczającym sekundy zegarkiem spoczywała wysoko na tęgim udzie dziewczyny, dużo wyżej niż większość restauracyjnych gości uznałaby za dozwolone w granicach przyzwoitości.

— Inna rzecz, że oczywiście chciałbym ją zobaczyć — odezwał się Craig po chwili.

— I może pan — odparł Hugo Xawery. — Do tego właśnie sprowadza się moja propozycja.

Proszę mnie odwiedzić, a będzie pan mógł ją przeczytać. Od deski do leski, jeśli takie pańskie

życzenie. Pod jednym warunkiem.

— Warunkiem? Że nie ukradnę podstępnie jakiegoś przepisu i nie zaserwuję u siebie? Raczej niezbyt prawdopodobne!

Hugo Xawery odwrócił się do dziewczyny. Mały palec spoczywającej wysoko na udzie ręki zniknął pod obrębkami sukienki. Boże, ależ jest ponętna, pomyślał Craig. Podniecająca a jednocześnie bezbronna, aż trudno uwierzyć, że de jest nadprzyrodzonym zjawiskiem.

— Pan Richard nazwał swoją restaurację „Burn-the-Tail”. To wzięte ze starej legendy opowiadanej za dynastii fang o karpach, które zwykły wędrować na tarło w górę rzeki Huang-ho —

wyjaśniał jej półgłosem. — Płynęły bez trudu, dopóki nie dotarły do Smoczycich Wrót, burzliwego przewężenia, gdzie silny prąd uniemożliwił im dalsze poruszanie się. Wtedy jeden z nich nauczył się skakać. — Po tych słowach utkwiał w Craigu posępne, pełne wyrazu i siły spojrzenie, aż tamten poczuł

przyprawiający o chłód skurecz mięśni kręgosłupa. — Jeden z nich nauczył się skakać — powtórzył —

a reszta poszła za jego przykładem, i gdy wzlatywały w powietrze, utworzyły wśród pyłu wodnego iskrzący się łuk. Bogowie, poruszeni ich pięknnością i odwagą, pozłocili im ogony i zamienili w pokryte łuskami smoki, zdolne polecieć, dokąd im się podoba. W Chinach legenda ta odnosi się do osób, które mają przed sobą świetlaną przyszłość. — Na jego ustach zagościł cień uśmiechu. — Pan Richard może być pierwszym karpem, który przeskoczy ponad Smoczymi Wrotami.

— Czyli jaki pan stawia warunek, żebym mógł przeczytać tę książkę? — spytał Craig, nie mogąc się zmusić do wymówienia jej tytułu.

— To bardzo proste, panie Richard. Wybierze pan w zamian jeden przepis i przyrządzi mi według niego posiłek.

— Czy to ma być żart? — spytał Craig z wahaniem w głosie. — Podkpiwa pan sobie ze mnie?

Wyraz twarzy Hugo Xawery'ego jasno mówił, że nawet słowo „żart” uważa za obraźliwe.

— Mam użyć zastępczych składników, tak?

— Używa pan w swojej restauracji zastępczych składników? Okonia zamiast ryby mandarynki? Ogrodowych warzyw zamiast chińskich brokułów? Pasztetu ze świńską wątrobą zamiast gęsich wątróbek?

— Oczywiście że nie.

— Dostarczę panu składników. Jakichkolwiek pan sobie zażyczy.

Craig uśmiechnął się, a potem potrząsnął głową i uśmiech znikł.

— No dobrze, skoro pan nie chce, będę dalej kogoś szukał. Muszę wyznać, że jestem głęboko rozczarowany. Jest pan jednym z największych, których wytworów sztuki kulinarnej dane mi było kosztować.

Podeszła do nich Tina i spytała z ożywieniem:

— Czy mogłabym państwu zaproponować coś na podniesienie nastroju?

— Tak, rzeczywiście tego potrzebuję. — Hugo Xawery wstał; był niezwykle wysoki, miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. — Ale nie wina. Moja dusza domaga się czegoś ożywczego.

Spróbować być... Posmakować Boga.

Craig odprowadził go do drzwi. Dziewczyna w milczeniu szła za nimi. Przechodząc koło Craiga, musnęła go w przelocie i poczuł się tak, jakby oboje byli nadzy.

— Bardzo mi przykro, że nie mogę panu pomóc — powiedział Craig, gdy jego gość zapinał guziki płaszcza.

— Niech pan nie przeprasza, panie Richard. Tylko słabi bezustannie przepraszają.

Kiedy wyszli, Craig wrócił do baru i poprosił Tinę o wódkę z lodem.

— Dziwaczni ludzie — zauważyła. — Dziewczyna taka młoda, że mogłaby być jego córką.

— Może jest.

— A wiesz, co było najbardziej niesamowite? Oczywiście oprócz faktu, że nie przestawałeś się na nią gapić z otwartymi ustami.

— No mów, mów.

— Żadnych perfum. Ani cienia zapachu. Zero makijażu. Nie uważasz, że to osobliwe?

— Może jest alergiczka.

— No nie wiem. Ale moja babcia twierdziła, że kobieta zawsze wyczuje, gdy inna kobieta się boi, nieważne, czy tamta się śmieje albo uśmiecha, próbując innym udowodnić, jak świetnie się bawi.

Ta dziewczyna, wierz mi, zamiast perfumami pachniała strachem.

Craig leżał samotnie w prosto, oszczędnie umeblowanym apartamencie przy Mulholland Drive i nie mógł zasnąć. Rozmyślał o wujku Lee, siedzącym koło okna i palącym papierosa. Jakby go widział, z przymkniętymi powiekami, słyszał mówiącego skrzekliwym półszepem.

— Sekretna księga Shih Tan została napisana w okresie Ching przez uczonego Yuan Mei,

intelektualistę, wielkiego filozofa. Jedzenie było dla niego światem samym w sobie. Kochał wszystko, co z nim związane: przygotowywanie, sposób podania, znajdował rozkosz nawet w takich niuansach, że „ryba” po chińsku znaczy także „więcej niż wystarczająco”. Przede wszystkim zaś był autorem Shih Tan, najsłynniejszego na całym świecie zbioru przepisów kulinarnych. Jej sława zatoczyła takie kręgi, że otrzymał potajemne zlecenie od kuchmistrzów prowincji Shandong, położonej przy wschodnim wybrzeżu Morza Żółtego. Wszyscy byli mistrzami w swojej dziedzinie. Ale interesowali się czymś jeszcze. Podobnie jak ty, przyjemnościami płynącymi z kobiecego ciała.

Craig zapalił światło i usiadł. Próbował wyobrazić sobie, jak może wyglądać Sekretna księga Shih Tan, jakie to uczucie dotykać książki wyklętej w zachodniej cywilizacji.

— Różne kultury traktują rozmaite mięso jak tabu — powiedział wtedy wujek, wydmuchując dym. — Ch'en Ts'ang-ch'i twierdził, że nie należy spożywać mięsa z czarnego wołu, kozła o białej głowie, jednorogiego kozła, ze zwierzęcia, które umarło zwrócone głową na północ, jelenia o plamach podobnych do lamparcich, wątroby konia ani takiego, którym by pogardził pies.

Pamiętał, że wpatrzył się w wuja, niezdolny przemówić w oczekiwaniu na słowa zbyt straszne, żeby je nawet pomyśleć.

— Yuan Mei spróbował tego jedzenia i naznaczyło go to na zawsze. Za pierwszym razem, wróciwszy do swego domu w Jinan przy Qianmen, przeleżał twarzą do podłogi w pustym pokoju dwa dni i dwie noce, nie przyjmując żadnego pokarmu, ponieważ nie chciał smakować niczego więcej, dopóki jego organizm nie oczyści się całkowicie. Wtedy właśnie zaczął pisać drugą wersję Shih Tan, znaną jako Sekretna księga Shih Tan.

— Co takiego zjadł? — spytał Craig, przełknąwszy ślinę. Wujek przyłożył wargi do ucha Craiga i już na zawsze skierował jego wyobraźnię ku Sekretnej księdze Shih Tan.

Sanctuary było wielkim białym domostwem, oddalonym dość znacznie od Stone Canyon Avenue; ogrodzone, strzeżone bramą, ledwie widoczne spoza ciemnych, ciernistych krzewów. Craig podjechał pod bramę czerwonym mercedesem i przycisnął guzik interkomu.

— Rezydencja pana Xawery'ego — odezwał się pozbawiony wyrazu dziewczęcy głos.

— Dzień dobry, tu Craig Richard. Chciałbym rozmawiać z panem Xawerym.

— Był pan umówiony?

— Nie. Ale może pani powie panu Xawery'emu, że przyjmuję jego warunki.

— Musi pan poczekać.

Czekał, słuchając Gilberta Becaud, śpiewającego, że jest wpieprzony, życie to kupa gówna i dlaczego mnie nie zabijecie. Brama otworzyła się po dłuższej chwili z warkotem i Craig poprowadził

mercedesa stromo zakręcającym podjazdem pod dom.

Był rzeczywiście duży, ale miał dziwne proporcje i nie zachęcał do wejścia. Rotweiler ujadł na niego nieprzytomnie, ciskając się na łańcuchu, kiedy zbliżał się do ganku. Zadzwoił do drzwi, a wtedy otworzyło się w nich małe okratowane okienko i został poddany inspekcji pozbawionych twarzy połyskujących oczu przez czas tak długi, że graniczyło to ze śmiesznością.

— I co? Może być? — spytał niecierpliwie i w końcu odsunięto rygle.

W drzwiach stał Meksykanin w czarnym uniformie. Nie uśmiechał się. We wnętrzu panowało przeraźliwe zimno. Podłoga z polerowanego marmuru, prawie nie było mebli, żadnych kwiatów.

Meksykanin odwrócił się bez słowa i pomaszerował przez hol, poskrzypując butami. Craig ruszył za nim, chociaż nie miał pewności, czy właśnie tego po nim oczekiwano. Długi ponury korytarz zaprowadził ich do słonecznego pokoju, a w każdym razie byłby taki, gdyby nie zasunięto zasłon.

Przesączało się przez nie światło o kolorze nadającym pomieszczeniu pozory starożytnego grobowca.

Hugo Xawery siedział w wielkim fotelu i czytał. Miał na sobie białe spodnie i koszulę bez kołnierzyka. Dziewczyna klęczała obok niego na podłodze, trzymając dłoń na jego kolanie, ubrana w prostą białą sukienkę bez rękawów, skrojoną jak worek.

— Cóż — odezwał się Hugo Xawery — wygląda na to, że zmienił pan zdanie.

— Prawdę mówiąc, nie. Nie sędzę, że je zmieniłem. Chyba zawsze chciałem to zrobić, niezależnie od wszystkiego.

— Ależ oczywiście.

— Ciekawy jestem, skąd pan to wiedział.

— Co? Że chciał pan zobaczyć Sekretną księgę Shih Tani? Poznałem pańskiego wujka Lee Chana, gdy po raz drugi jadłem obiad w „Burn-the-Tail”. To bardzo wykształcony i kulturalny pan, choć nie powinien tyle palić. Rujnuje sobie zmysł smaku. Polubiłem pańskiego wujka, a na ogół nie przepadam za Chińczykami. Wymienialiśmy uwagi na temat pańskich talentów, potem rozmowa zeszła na Paula Bocuse'a i nouvelle cuisine, i największych kucharzy w Chinach. Chwaliłem pana zrzeczność w przetwarzaniu trudnych produktów, a potem dodałem: „Przyrządzał chyba wszystko oprócz tego, co zawarte w Sekretnej księdze Shih Tan. Na co pan Lee odpowiedział: „Tak, ale wie o jej istnieniu”. W tym samym momencie zrozumiałem ku swemu zadowoleniu, że trafiłem na właściwego człowieka. Wystarczy o niej usłyszeć, żeby chcieć według niej gotować.

— Chciałbym o coś zapytać — powiedział Craig. — Czy pan kiedykolwiek przedtem kosztował czegoś sporządzonego według tych przepisów?

— To, co się dzieje w tym domu, jest chronione prywatnością, panie Richard. — Hugo Xawery obdarzył go zimnym, pełnym rezerwy spojrzeniem.

Craig się wahał. Pierzająca się biała papuga spoglądając na niego z klatki, kiwnęła głową z przerażającą poufałością. Craig wiedział, że to, co zamierza zrobić, jest złe. Prawdopodobnie będzie

to najokropniejszy czyn w całym jego życiu. Ale wiedział również, że jeśli wyjdzie stąd nie zobaczywszy Sekretnej księgi Shih Tan, jego kariera jest skończona. Do końca swoich dni będzie się zastanawiał, co mógłby zrobić, kim mógłby zostać.

Chciał przyrządzić posiłek, po którym Hugo Xawery przeleży czterdzieści osiem godzin twarzą do podłogi, szlochając, ponieważ będzie trawił to, co zjadł, a gdy to się dokona, zostanie z niczym.

— Niech mi pan pokaże książkę — powiedział gardłowym głosem.

Hugo Xawery odłożył tę, którą czytał i wstał.

— Świetnie — powiedział. — Pamięta pan, do czego się pan tym samym solennie zobowiązuje?

— Nie zapomnę.

Hugo Xawery poprowadził go kolejnym mrocznym, odbijającym odgłos kroków korytarzem do pokoju o marmurowej podłodze, w którym nie było nic prócz prostokątnego stalowego biurka, prostego biurowego krzesła i pomalowanego na zielono sejfu. Zielonkawe story z bambusa zakrywały większą część balkonowych okien. W prześwicie poniżej zasłon Craig zobaczył kawałek patio i stopy kamiennego cheruba — przypomnienie o świecie, który zdecydował się opuścić.

Gospodarz podszedł do sejfu, wyciągnął dwa klucze i otworzył go. W środku leżała jedynie książka owinięta w delikatną białą tkaninę. Hugo Xawery wyjął ją, położył na biurku i odpakował.

Nie było na co patrzeć. Płócienna oprawa kasztanowego koloru z wytłoczonym chińskim napisem.

— Rzeczywiście nie robi zbyt wielkiego wrażenia — odezwał się Hugo Xawery. — Edycję wydano w Paryżu w tysiąc dziewięćset jedenastym. Widziałem kiedyś jeszcze jeden egzemplarz, w języku angielskim, dużo starszy i ilustrowany. Ale nie sądzę, by w książce tego rodzaju były potrzebne ilustracje, prawda? Zostawiam ją panu. Da mi pan znać, gdy będzie miał dosyć. Służący przyniesie panu kawę, wino, cokolwiek, czego pan sobie zażyczy.

Wyszedł, a Craig siedział samotnie, dłuższy czas patrząc na zamkniętą książkę. W momencie gdy spojrzył na pierwszą kartkę, nieodwołalnie się zaangażuje. Rozejrzył się po pokoju, zastanawiając, czy gospodarz nie obserwuje go ukrytą kamerą. Może powinien wstać i natychmiast wyjść. Miał

„Burn-the-Tail”; biznes, pogawędki, prześmiewki, kupowanie rozmaitych produktów, wymyślanie nowego menu, gotowanie, sosy, skwierczące szalotki, no i ogień.

Nie było jednak niczego podobnego do Sekretnej księgi Shik Tan i oto leżała przed nim.

Prawdopodobnie jedyny egzemplarz w Ameryce. Położył dłoń na okładce. Ale jej nie otworzył.

Znał wszystkie sekretne arkana wspaniałej kuchni francuskiej, nawet takie jak pieczony garb wielbłądzi, który Algierczycy przyrządzają z oliwą, sokiem z cytryny, solą, pieprzem, przyprawami i pieką jak polędwicę wołową, a podają na liściach rukwi wodnej. Znał wszelkie przepisy kuchni chińskiej, jakie tylko odważyliby się zamówić jego goście, jak beche de mer, ślimak morski, zupełnie

pozbawiony smaku i o konsystencji meduzy, albo zupę z gniazd jaskółczych.

Tu miał jednak do czynienia z czymś innym. Jedzenie, seks i śmierć splecione w mrocznym, największym wyzwaniu, jakiemu kuchmistrz mógł stawić czoło. Jedzenie jest jak seks, mawiał ojciec.

Ale jedzenie oznacza także śmierć: cokolwiek zostanie spożyte, przestaje żyć.

Craig czuł się tak, jakby balansował na palcach nad krawędzią otchłannej przepaści.

Za późno, by się cofnąć; otworzył książkę.

Lekkie pióro i subtelny wdzięk, z jakim zostały napisane, dodatkowo podkreślały przerażającą naturę przepisów. Craig zaczął od najprostszych, zamieszczonych na początku, ale po przeczytaniu ledwie trzech odniósł wrażenie, że jest kimś nierzeczywistym, a pokój, w którego ścianach go zamknięto — nierealny. Poczucie nierzeczywistości wzmagala świadomość, że zgodził się ugotować któreś z dań i będzie musiał je przyrządzić według wskazówek zawartych w książce.

Duszona pierś młodej dziewczyny: Pierś należy namoczyć w zimnej wodzie, zblanszować, ochłodzić w zimnej wodzie i ostrożnie przygnieść, tak by podczas duszenia zostały zachowane jej przyrodzone młodzieńcze krzywizny. Umieścić w kamiennym rondlu i dodać dwa cienkie płyty wędzonego mięsa z uda, pokrojone w kwadraty o boku pół cala i 6 namoczonych suszonych czarnych grzybków. Zrobić dwoma pędami bambusa poziome, wachlarzowate nacięcia na boku każdej, tak by powstały dekoracyjne „anielskie skrzydła”, otaczające pierś, gdy zostanie podana. Dodać sól, cukier, 3

łyżki ryżowego wina i 2 plasterki obranego świeżego korzenia imbiru. Dusić na wolnym ogniu 3—4

godziny. Pokroić cienko w taki sposób, aby każda porcja zachowała krzywiznę w pełni oddającą kształt piersi. Dla najdostojniejszego gościa przeznaczyć plasterek z brodawką. Podawać z gotowanymi szparagami i środkami rzodkwi. Może być jedzona na gorąco, na zimno i podwędzana.

Ponad sto przepisów, w każdym użyto kobiecych i męskich organów erotycznych, czasem dodając wątroby, trzustki czy śluzówki żołądka. Niektóre były prostym przetworzeniem codziennych chińskich dań, jak zha yazhengan, czyli kacze wole, smażone w głębokim tłuszczu i podawane z sosem do maczania, sporządzonym z soli i syczuańskiej papryki, tyle że w Sekretnej księdze Shih Tan główny składnik zastąpiono męskimi jądrami. Albo „kobieta w mężczyźnie”, kiełbaska w osłonce ze skóry penisa, do której wypełnienia użyto starannie posiekanych warg mniejszych, przyprawionych likworem maotai, solą, cukrem, olejem sezamowym i tłuszczem ze wzgórka łonowego. Inne wymagały skomplikowanej obróbki — marynowania, a potem gotowania na parze — kobiecych i męskich części ciała, połączonych w bezcielesnym zwarciu miłosnym. „Kochanek wielu kobiet” miał

być przyrządzony z członka nadzianego brodawkami piersi i otoczonego na podobieństwo pierścieni do gry w „quoits” sześcioma czy siedmioma zwieraczami odbytu. Radzono, by gotować go tak jak meduzę i jak ona wymagał „pełnego werwy ochoczego żucia”.

Przewracając kartki książki, zablakany w świetle, gdzie posiłek pociągał za sobą śmierć lub

okałeczenie istoty ludzkiej — czasami ośmiu czy dziewięciu ludzi poświęconych, by przygotować jedną przystawkę — Craig nie zauważył, że zaczęło się ściemniać.

Im bliżej końca, tym bardziej perwersyjne stawały się przepisy i Craig odchodził od biurka, stał przy przeciwnej ścianie pokoju, zbyt przerażony, by dalej czytać. A jednak wracał, siadał z powrotem i w końcu poznał wszystkie, aż do ostatniego.

I ten był największym kucharskim wyzwaniem. „Uczta z kobiety w całości”, brzmiała nazwa.

Należało starannie wypatroszyć młodą kobietę, oczyścić wszystkie organy, zamarynować i przyrządzić na różne sposoby, nie wyłączając oczu i mózgu; następnie włożyć wszystko z powrotem i przywrócić ciału dawny kształt, najdokładniej jak to możliwe. Wreszcie ugotować na parze. Pod spodem widniał przypis, który zrobił na Craigu większe wrażenie niż najdłuższy opis gotowania płuc według zasad przygotowywania żółwia morskiego. Yuan Mei pisał: „Istotą tego dania jest, by kobieta była niezwykle piękna, a kucharz powinien się z nią kochać w wieczór poprzedzający ucztę. Obdarzy to ich oboje — przedmiot bankietu i jego kreatora — duchową wrażliwością, a ponadto umożliwi kuchmistrzowi odniesienie się z należyty szacunkiem do składników, które wykorzysta”.

Zamknął książkę. Było już całkiem ciemno. W drzwiach stał, czekając cierpliwie, Hugo Xawery, z czego Craig zupełnie nie zdawał sobie sprawy.

— No i co pan o niej myśli? — spytał głosem aksamitnym jak atlas.

— Jest dokładnie tym, czym sobie wyobrażałem, że może być.

— Wstrząsnęła panem?

— Skłamałbym, gdybym powiedział nie.

— A technika... co pan powie o technice?

— Niektóre przepisy bardzo trudne.

— Ale nie przekraczają pańskich możliwości?

— Nie.

— Czy już pan zdecydował, co ugotuje? — Hugo Xawery okrążył biurko.

— Jeszcze nie wiem. Musi mi pan dać trochę czasu, żebym to przemyślał.

— Ale nie za długo. Zobowiązałem się przygotować składniki i rozumie pan, powinny być świeże.

— Zatelefonuję jutro. — Craig wstał.

— Nie wątpię — powiedział gospodarz kategorycznym tonem.

— Czy pan mi nie ufa? — spytał Craig.

— Sam nie wiem. Może mi pan przysporzyć zarówno rozczarowania, jak i zakłopotania.

Obiecałem poczęstunek paru wpływowym ludziom.

— Dałem panu słowo. Co jeszcze mam zrobić?

— Niczego nie musi pan robić. Przedsięwzięłem prosty środek ostrożności na wypadek, gdyby nie chciał pan dopełnić naszej umowy. W jednej z pańskich lodówek, między innym mięsiwem, leżą ludzkie szczątki. Zapakowane oczywiście w nie oznakowaną torebkę, jak cała reszta. Jestem pewien, że policja z dużym zainteresowaniem przegrzebie te wszystkie wątroby, nerki i combry.

— Nie musiał pan tego robić — powiedział Craig niemal niegrzecznie. — Nie miałem zamiaru nie dopełniać naszej umowy.

— Potraktujmy to jako zwykłe zabezpieczenie. A zresztą, produkt jest wysokiej jakości, więc nawet jeśli go pan przyrządzi i komuś poda, nie zaszkodzi.

Kiedy Craig szedł do wyjścia, zobaczył dziewczynę stojącą w uchylonych drzwiach na końcu korytarza. Miała na sobie jedynie jedwabne cieniutkie slipy, tak skąpe, że ledwie ją osłaniały.

Obserwowała go skośnymi oczami sfinksa, gładka skóra jaśniała w świetle lampy. Przystanął i zapatrzył się na nią. Nie zrobiła żadnego ruchu, by się cofnąć czy zamknąć drzwi.

— Ona się panu podoba? — spytał Hugo Xawery.

— Jest piękna.

— Nazwałem ją Xanthippa. Nie jest to oczywiście jej prawdziwe imię. Mieszkałem w Carmel przez krótki czas z jej matką. Któregoś dnia wyszła i już więcej nie wróciła. Właściwie więc można mnie uznać za opiekuna Xanthippy.

Craig spojrział na nią po raz ostatni i poszedł przez hol do frontowych drzwi, gdzie czekał

meksykański służący, by go wypuścić. Otworzył przed nim drzwi z nie skrywanym niezadowoleniem.

Wczesnym rankiem następnego dnia odnalazł wujka Lee na tyłach jego domu w Westwood, podlewającego róże. Miał już ponad siedemdziesiąt lat i twarz pomarszczoną jak Dolina Śmierci oglądana z powietrza. Nosił ogrodowy kapelusz i luźny niebieski kaftan.

— Wujku?

— Witaj, Craig. Zastanawiałem się, kiedy przyjdiesz.

— Przeczytałem ją, wujku Lee. Sekretną księgę Shih Tan. Wczorajszego wieczora. Od deski do deski.

— Więc dzisiaj nie jesteś już tym samym człowiekiem.

— Tak, zmieniłem się. — Patrzył, jak woda z węża rozpryskuje się na rabacie, i wreszcie zapytał: — Dlaczego powiedziałaś Hugo Xawery'emu, że o niej wiem.

— Bo dalej niż poza Sekretną księgę Shih Tan nie można się już posunąć. Nic innego by cię nie zadowoliło.

— Pozwolił mi ją zobaczyć pod pewnym warunkiem. Wujek Lee popatrzył na niego, oczy zwęziły mu się w szparki w promieniach porannego słońca.

— Nie musisz mi mówić. Chce, żebyś wypróbował jakiś przepis.

— Nie spałem całą noc — powiedział Craig. — Nie wiem, który wybrać.

— A który chciałbyś wybrać? Najwspanialszy czy taki, który wiąże się z wyrządzeniem jak najmniejszej krzywdy?

— Nie wiem. To przecież nie jest czysta gastronomia, prawda? Tyle w tej książce podtekstów.

Zabijamy tysiące ludzi na wojnie i traktujemy to jako coś chwalebne i moralne, choć przecież wojna niesie tylko destrukcję. Poświęcenie kilku jednostek dla stworzenia najwspanialszego posiłku w historii gastronomii jest natomiast czymś tak przerażająco złym, że zabrania się o tym nawet mówić.

— Więc które danie chcesz wybrać? — powtórzył pytanie wujek.

— Nie wiem. Wciąż usiłuję rozwikłać, jaką treść przekazuje mi Sekretna księga Shih Tan.

Wujek Lee zakręcił kran i położył wysuszoną dłoń na ramieniu Craiga.

— Sam to musisz odkryć, ja ci nie pomogę.

— Nie dasz mi żadnej wskazówki?

— Mogę ci tylko powiedzieć: cokolwiek zdecydujesz się przyrzadzić, musisz zyskać pewność, że czynisz sprawiedliwość.

Craig nie otworzył „Burn-the-Tail” tego wieczora, mimo że założywszy grube rękawice ochronne spędził pół godziny, przetrząsając zawartość restauracyjnych lodówek. Nie znalazł ani jednej paczki z mięsem, które wyglądałoby na ludzkie, ale kto byłby w stanie stwierdzić, czy między trzydziestoma jagnięcymi nerkami znajduje się jedna pochodząca od człowieka? Albo gdzie wśród cielecej sznyclówki leży kawałek ludzkiego uda? Mógł wyrzucić wszystkie swoje zapasy lub poczekać do czasu, aż wypełni obietnicę daną Hugo Xawery'emu.

Po południu pojechał na Stone Canyon Avenue. Hugo Xawery siedział samotnie w słonecznym pokoju o szczelnie zasuniętych zasłonach. Przez otwarte drzwi widać było Xanthippę pod wielkim

zielonym parasolem na patio.

— Ach, pan Richard — odezwał się gospodarz. — Miło pana widzieć tak szybko z powrotem.

Podjął pan decyzję?

— Tak. — Craig skinął głową. — Nie ma sensu bawić się w przekąski. Zamierzam przyrządzić ucztę z kobiety w całości.

— Uczta! — Twarz Hugo Xawery'ego rozjaśniało uczucie nieklamanej przyjemności. —

Najwspanialsza biesiada, o jakiej miłośnik sztuki kulinarnej mógłby zamarzyć.

— Nie będzie pan w stanie sam zjeść tego wszystkiego, prawda?

— Nie zamierzałem ucztować sam. Mam znajomych.

— Może się pan z nimi skontaktować? Chciałbym natychmiast zacząć przygotowania.

— Oczywiście, że się z nimi skontaktuję. Zdobędę też najważniejszy składnik. Prawdę mówiąc, mam go w tej chwili.

— Xanthippa? — Craig zerknął na patio.

— Czyż nie jest piękna? Nie będzie pan przecież robić ucztę nad ucztami z pośledniego, nie przygotowanego surowca.

— Wie pan, co zostało napisane w przypisie?

— O kucharzu kochającym się z przedmiotem przyszłej biesiady? Oczywiście. Xanthippa czeka na ten dzień od lat.

— Chce pan powiedzieć, że wie, co pan zamierza z nią zrobić?

— Żyje po to, by mi służyć — uśmiechnął się gospodarz. — Zawsze tak było. Świadomość, że pewnego dnia mnie nasyci, sprawia jej przyjemność. Jak pan myśli, dlaczego nie używa perfum ani kosmetyków? Nie chce zepsuć smaku ciała.

— Co pan powie na jutrzejszy wieczór? — spytał Craig. — A może to za wcześnie?

— Doskonały termin. — Hugo Xawery otoczył długim ramieniem barki Craiga. — Razem ze mną będzie sześć osób. Może pan spędzić dzisiejszą noc z Xanthippą, a jutro od rana rozpocząć przygotowania. Pozwoli mi pan, jak sądzę, obserwować się przy pracy?

— Będzie pan mile widziany, panie Xawery. Prawdę mówiąc, czułbym się rozczarowany, gdyby było inaczej.

— A co z... z rozbiórką mięsa? Potrzebny panu asystent?

— Dziękuję, wolę sam to zrobić.

— Jest pan wielkim, naprawdę wielkim kucharzem. — Hugo Xawery uścisnął ramiona Craiga i spojrzał mu w oczy wzrokiem pełnym emocji, jakby za chwilę miał się rozplakać. — I wie pan co? Po jutrzejszym wieczorze będzie się pan zaliczać do największych.

— Zobaczymy — padła odpowiedź.

— Xanthippa! — zawołał Hugo Xawery, nie odwracając od Craiga oczu.

Spojrzała przez drzwi pytająco.

— Mam dla ciebie niespodziankę!

Sypialnia, do której zaprowadzono Craiga, była pomalowana szarą połyskującą farbą, panowała w niej cisza. Pośrodku stało masywne rzeźbione dębowe łóżko, zarzucone poduszkami Williama Morrisha. Noc była ciepła i Craig zostawił balkonowe okna otwarte. Siatkowe firanki falowały w lekkich powiewach wiatru, jakby zaplątały się w nich duchy mniszek.

Siedział na łóżku, czytając Sekretną księgę Shih Tan, gdy Xanthippa otworzyła cicho drzwi.

Miała na sobie koszulkę z delikatnego płótna w kolorze morza, wokół przegubów rąk i kostek nóg bransoletki z drobnych brązowych paciorków. Przeszła przez pokój i usadowiła się naprzeciwko niego. Pachniała naturalnym zapachem młodej, podnieconej kobiety.

— Czytasz ją — powiedziała, ale w jej głosie nie brzmiało oskarżenie.

— Przepraszam. — Craig zamknął książkę i upuścił na podłogę koło łóżka.

— Dlaczego miałbyś przepraszać?

— To w niezbyt dobrym stylu, jeśli pomyśleć, co mam ci zrobić jutro.

— Nic nie rozumiesz. Czekałam na to. Niewielu jest tak wspaniałych mężczyzn na świecie jak Hugo. Wyrafinowany intelektualista, nie respektujący granic. Przy nim wszystko jest możliwe.

Zażałam już tylu przyjemności, że można by tym obdzielić co najmniej pięć osób. Czemu miałoby mnie martwić, że życie się skończy?

Craig delikatnie dotknął jej kości policzkowych, obwiodł kontur warg. „Ostrożnie wyjmij oczy i odłóż na talerzyk”. Pochylił się i pocałował ją.

— Jesteś przepiękna.

Uśmiechnęła się i odwzajemniła pocałunek. Drażniła i ssała jego wargi, żadna kobieta ich tak dotąd

nie pieściła, a potem wsunęła język do jego ust; nie miał pojęcia, że są tam miejsca, które można tak pobudzić.

Skrzyżowała ramiona i zdjęła koszulkę. Smukła, o drobnych piersiach i skórze tak doskonałej, że Craig nie mógł się powstrzymać, by nie przesuwać dłońmi po jej nagich plecach. Włosy na łonie miała czarne, lśniące, splotła je ciasno i przyozdobiła małymi kolorowymi paciorkami, a jej wargi były wspaniale odsłonięte.

— Połóż się — powiedziała — najpierw musisz mnie spróbować.

Opadł na poduszkę, a ona usiadła na nim, zwrócona do niego plecami, i uniosła lekko pośladki.

Całował ją, wsunął język między pośladki i posmakował sprężystej śluzówki odbytu. Westchnęła i obsypała pocałunkami jego penis.

W pokoju panowała taka cisza, że usłyszał leciuteńkie wilgotne klasknięcie otwierających się kobiecych warg. Wsunął język w ciepłą wilgotność, smakował słoność i słodycz, i jakby wysoko oczyszczony miód. Ona ssala jego penis, trzepotała językiem, oblizywała.

Kochali się godzinami. Odsłoniła przed nim wszelkie smaki miłości. Lizał leciutko spocone dołki pachowe i skórę podbicia stóp. Spróbował jej soków, gęstych od pobudzenia, i potem, płynnych tuż przed orgazmem. Spróbował śliny, gdy była podniecona, i znów, kiedy drżała. Jadła na lunch sałatę z kwiatami dzikich roślin i to też mógł wyczuć.

W końcu niebo zaczęło jaśnieć i przełknęła jego nasienie z długim, zadowolonym westchnieniem.

— Wiedziałeś, że można je żuć i że zmienia wtedy konsystencję? — spytała.

Leżeli dłuższy czas w milczeniu, aż wreszcie Craig usiadł i odezwał się:

— Zrobisz coś dla mnie? Coś naprawdę wyjątkowego?

— Jestem teraz twoja — powiedziała gardłowym głosem. — Przecież wiesz.

— W tym właśnie rzecz. W ogóle nie czuję się tak, jakbyś była moja. Jestem szefem w restauracji. Wykonawcą, nie kochankiem. Jeśli do kogoś należysz, to do Hugo.

— Więc co chcesz, żebyśmy zrobiła? — Uniosła się lekko i oparła na łokciu.

— Przepis mówi o kochaniu się przed przyrządzeniem posiłku, co ma mu przydać duchowego waloru. Nie jestem w stanie ci tego dać. Tylko Hugo... to znaczy, gdybyś to przemyślała, on jest jedyne, który...

— Uważasz, że powinnam kochać się z Hugo?

— Tak.

Uśmiechnęła się i pocałowała go.

— Skoro chcesz, bym z nim spała po raz ostatni, zrobię to.

Dochodziła szósta rano. W domu było już jasno. Craig stał w milczeniu przy olbrzymiej sypialni gospodarza o podłodze wyłożonej białym dywanem. Drzwi były ledwie leciutko uchylone, mimo to widział Hugo Xawery'ego leżącego na plecach na jedwabnych białych prześcieradłach i Xanthippę unoszącą się na ciemnym, wzniesionym penisie, jakby ujeżdżała konia na lunatycznym parcour. Zastanawiał się, czy któreś z nich wie, że tu stoi, gdy Hugo Xawery spojrział spoza Xanthippy i posłał w kierunku drzwi szeroki, porozumiewawczy, lubieżny uśmiech.

Craig śledził purpurową żołądź znikającą we wnętrzu Xanthippy i próbował wyobrazić sobie, jak oboje nasycają się duchową wrażliwością. Bo czyż Yuan Mei nie twierdził, że płynie ona od jednego do drugiego i odwrotnie?

O ósmej przebudziło go pukanie. Hugo Xawery otworzył drzwi i podszedł do łóżka.

— Dzień dobry, panie Richard. Przyszedł czas udać się do kuchni.

— Jestem gotowy — odparł Craig.

— Xanthippa... dała panu zadowolenie?

— Och, nie tylko. Była rewelacyjna.

Krew spływała rowkami wyżłobionymi w rzeźnickim stole; zbierał ją starannie do krwawych puddingów i sosów do pieczystego. Nóż rozcinał skórę i tłuszcz, oddzielał tkanki.

Na kuchennych fajerkach dusiła się na wolnym ogniu zawartość rondli, piecyk się rozgrzewał.

Kuchnia pobrzmiwała echem rąbania i siekania.

Do południa dom był przesiąknięty niezwykłymi zapachami... smażącej się wątroby, duszonych płuc, przypiekanego na ogniu ludzkiego mięsa, przemieszanymi z aromatem bazylii, rozmarynu, kardamonu i sosu sojowego.

Craig pracował bez wytchnienia, popijając lodowatą evian, by utrzymać się w formie. Gdy o szóstej po południu meksykański służący zapukał do drzwi, by oznajmić przybycie dwóch pierwszych gości, był prawie gotowy.

Siedzieli za długim mahoniowym stołem, nie rozmawiając ze sobą. Jadalnię oświetlały świece, talerze i szkło pobłyskiwały, sztucce jaśniały jak ławice ryb. Mieli poczucie ogromnego dramatyzmu chwili.

Drzwi się wreszcie otworzyły i wszedł Craig, ubrany w nieskazitelną biel. Za nim podążał

meksykański służący, pchając wielki stolik na kółkach, przywodzący na myśl wyposażenie raczej sali

operacyjnej niż jadalni.

Craig rozpoznał z całą pewnością wśród gości dwóch klientów „Burn-the-Tail” i twarz słynną z kina. Musieli jego również rozpoznać, lecz zupełnie tego po sobie nie pokazali. Wszyscy utkwili oczy w długim stoliku i połyskującej pokrywie z nieskazitelnie wypolerowanego srebra.

— Chciałbym państwa powitać w imieniu pana Xawe-ry'ego — powiedział Craig — który poświęcił jedenaście lat życia, by doprowadzić do momentu, gdy Sekretna księga Shih Tan przestanie żyć tylko jako martwy zbiór przepisów i by powstało danie, które będą państwo jedli. Zawsze sądziłem, że jest to po prostu książka kucharska, ale okazało się inaczej. To dzieło o rozwadze, sprawiedliwości, destruktywnej prawdzie. Nigdy nie było zamiarem Yuana Mei, by ktokolwiek wypróbował którąś z receptur. Chciał, byśmy zrozumieli, czym jesteśmy: żywnością, jeśli ktoś czy coś nas tak pragnie potraktować. Chciał, byśmy spojrzeli na siebie z dystansu. — Skinął na służącego, by przysunął stół do biesiadników.

Choć pokrywa pozostawała szczelnie zamknięta, wydobywała się spod niej przemożna woń mięsa i ziół; ślina napłynęła jednemu z gości tak obficie do ust, że musiał przycisnąć do nich płócienną serwetkę.

— Uczyłem się życia, przygotowując to danie — mówił dalej Craig. — I śmierci. Zgłębiłem też wiedzę o ambicji i próżności. Ale przede wszystkim o miłości.

— Czy nie powinniśmy poczekać na Hugo? — przerwał mu dyrektor studia filmowego. — To w końcu jego wielki dzień.

— Nie musimy na niego czekać. Jest tutaj. — Craig zdjął czapkę kucharza i uniósł błyszczącą kopułę.

Ukazało się ludzkie ciało — lśniące, wypatroszone aż po najdrobniejszy organ, blanszowane, smażone, duszone, gotowane na parze i na koniec przywrócone do właściwego mu kształtu.

Przyrządzone według najwspanialszego przepisu kulinarnego, jaki wymyślił człowiek. Pachniało bosko.

— Widzicie? — Craig położył dłoń na brzuchu Hugo Xawery'ego. — To wujek pierwszy powiedział mi o istnieniu Sekretnej księgi Shih Tan. I on naprowadził mnie na jej ukryte znaczenie.

Przyrządź swoje danie, powiedział, i uczyn sprawiedliwość. I to jest właśnie sprawiedliwość. — Od-wrócił się i dał znak.

Xanthippa weszła w nieprawdopodobnie krótkiej płóciennej sukience, czoło miała przewiązane czarną opaską. Stała obok ciała, ale nie podniosła na nie oczu.

— Oto mój nowy zastępca — odezwał się Craig. — Była mi inspiracją przy gotowaniu, pomagała mi, a także przydała ciału wymaganego przez Yuana Mei znaczenia. Nie tylko oko za oko, ale i serce za serce, śledziona za śledzionę, wątroba za wątrobę. Była ostatnią osobą kochającą się z Hugo Xawerym i oto tu jest, by go państwu podać. Smacznego.

Trzy tygodnie później zabrał ją do Chin do prowincji Shanxi, gdzie Huang-ho w miejscu zwanym Smocze Wrota pieniała się i ryczała między dwiema skałami, których szczyty otulały chmury.

Dzień był chłodny i wilgotny. Niebo miało kolor łupka. Xanthippa została nieco z tyłu, a Craig z książką w ręku stanął na brzegu rzeki.

Rozejrzał się dookoła, popatrzył na góry okryte chmurami i zaczął wyrywać po pięć, sześć kartek. Zmięte w kulę, rzucał do wody.

Prawie czekał, kiedy zajmą się ogniem, zapłoną, skacząc w powietrzu. Ale Huang-ho pochłonęła je i uniosła ze sobą. Na końcu wrzucił okładkę.

— Czy teraz już jesteś zadowolony? — spytała.

Miała na sobie różowy golf robiony rowkowanym ścięciem i obcisłe niebieskie dzinsy; wyglądała tak, że można by ją zjeść.

— Nie wiem — powiedział. — Nie sądzę, że w ogóle kiedyś będę.

— Nie wracasz do „Burn-the-Tail”?

— Po co? Jean-Pierre jest tak samo dobry jak ja, po-

prowadzi ją. Człowiek nie jest w stanie gotować dłużej, skoro posłużył się Sekretną księgą Shih Tan.

— Więc co będziesz teraz robił?

— Próbował cię zrozumieć.

Dotknęła go i obdarzyła nieokreślonym uśmiechem. Mogę nigdy nie zapomnieć, że się zgodziła, by ją zjedzono, pomyślał.

— A co z tym ludzkim mięsem, które Hugo ukrył w lodówce? Co zamierzasz zrobić?

— Szukałem tej paczki i nie znalazłem. Myślę, że kłamał. A nawet jeśli nie, jakie to ma znaczenie. Ludzkie mięso jest bardzo dobre. Tyle że to jednak coś zupełnie innego: zjeść zwierzę i zjeść zwierzę, z którym rozmawiasz i kochasz się.

Wzięła go pod ramię i pocałowała, a potem zesli ze wzgórza do czekającego autobusu turystycznego.

Tego wieczoru w „Burn-the-Tail” Morrie Walker, autor kolumny poświęconej klasyfikowaniu restauracji w „Cali-fornii”, zamówił przypieczoną wątróbkę z selerami. Zanotował pośpiesznie na karteczce z bloczku: „pełne smaku, dziwne... mięso podniesione do duchowego przeżycia... niemal seksualne zmysłowe doświadczenie. Gdybym nie bał się, że bluźnię... czuję się, jakbym był blisko Boga”.

Mężczyźni z Maes

Ystrad Mynach, Walia

Choć jest Polką z pochodzenia, moja żona Wiescka wychowała się w południowej Walii i dzięki temu poznałem zagłębie węglowe nad rzeką Rhymney. Kopalnie były już w tym czasie opuszczone, a szpetotę hałd łagodziły drzewa. Dziś górnicze wyciągi zniknęły na dobre, a doliny upstrzyły fabryki wytwarzające komputery, hurtownie i pomniejsze zakłady produkcyjne.

Rhymney toczyła niegdyś wody czarne od węglowego pyłu; teraz wyraźnie widać kamienie spoczywające na dnie. Jedyne miejsce, w którym można zobaczyć prawdziwą górniczą chatę, jest Welsh Museum niedaleko Cardiff.

Znój i cierpienie stanowią jednak trwałe dziedzictwo. Kopalnie należą do przeszłości, ale praca pozostawia swój ślad, a wykształcone przy jej wykonywaniu tradycje nie zanikają. To opowiadanie o jeszcze jednym obliczu strachu — lęku przed przemijaniem i utratą najdroższych.

MEŻCZYŹNI Z MAES

Szedł właśnie w kierunku baru w „Butchers Arms”, żeby zamówić następną kwartę lagera, kiedy zobaczył za szybą przechodzącego Ellisa Morgana. Przez ułamek sekundy czuł ogromne zadowolenie. Poczciwy stary Ellis! A potem zdrętwiał, zapatrzony z otwartymi ustami w okno, szklanka po piwie wysunęła mu się z dłoni i rozbiła na podłodze.

— Patrzcie go, głupiej szklanki nie może utrzymać w ręce! — wrzasnął Roger Jones.

— Hej, David, nie zamierzasz chyba rozwalić tej chałupy, co? — spytał stojący za barem John Snape.

David rozejrzał się po znajomych. W niewielkim, nisko sklepionym pomieszczeniu zasnutym papierosowym dymem było tłoczno. Dawniej „Butchers” miało pomalowane na żółto ściany i surowe, prosto urządzone wnętrza. Teraz browarniany specjalista od marketingu przekształcił je w śli-czniusi pseudowiktoriański pub o ścianach wytapetowanych w kwiatki i obwieszonych lampami z brązu i fotografiami w sepii, przedstawiającymi ludzi, których nikt tu jako żywo nie znał. Bywały tu dzisiaj nawet kobiety. Co więcej, w porze niedzielnego obiadu, kiedy to powinny siedzieć w domu przygotowując posiłek. Tak się cholernie wszystko pozmieniało.

— Widziałem Ellisa — powiedział David głosem bezbarwnym jak czysta woda.

Oświadczenie skwitowały szydercze wrzaski.

— Ile już do tej pory poszło kwaterek, co?! — krzyknął Billy Evans.

— Nie, nie! Przysięgam! Tak wyraźnie jak ciebie! Dopiero co przeszedł za oknem!

— Dostałeś świra — oświadczył Roger Jones. — I dokąd to szedł za tym oknem? Tutaj?

Wpaść na szybkie małe piwko?

— Ellis Morgan — powtórzył David. — Widziałem go wyraźnie. To nie mógł być nikt inny.

Miał ten swój czerwony szalik.

Za matowymi szybkami osadzonymi w drzwiach baru zamajaczył cień mężczyzny w czapce.

Klamka szczęknęła ostro i na moment ucichło; wszystkie głowy się odwróciły. Drzwi uchyliły się powoli. Glyn Bachelor, dyrektor szkoły, wszedł ze spasionym jamnikiem Nye.

Głębokie oddechy, a potem rozległ się wybuch śmiechu.

— Aleś nas wystraszył, Glyn — powiedział John Snape.

— Na śmierć — padło uściślenie.

Stary Glyn Bachelor rozejrzał się po barze, zdumiony, że stał się przyczyną ogólnej wesołości.

John Snape nalał mu małego guinnessa, jak zwykle. I zlewki z dystrybutora do miseczki dla Nye.

— Davidowi zdawało się, że zobaczył Ellisa Morgana na dworze.

David ukląkł i zaczął zmiatać podkładką pod piwo odłamki szkła do zwiniętej w lejek gazety.

Był potężnym mężczyzną o czarnych kręconych włosach, czerwonych policzkach i intensywnie niebieskich oczach. Nosił tani szary sweter z golfem, o numer za mały i ogromnego rozmiaru dzinsy.

Jakby przez kontrast głos miał wysoki i miękki i każdy w „Butchers” potwierdziłby, że nie jest w stanie skrzywdzić muchy.

— Mogą sobie rechotać. Widziałem go tak wyraźnie, jak każdego w tym barze. Czerwony szalik... i w ogóle.

Stary Glyn Bachelor zaczął się niezgrabnie przeciskać na swoje stałe miejsce i wszyscy unosili krzesła, by go przepuścić, nie podnosząc z nich siedzeń, zupełnie jak to robią dzieci. Glyn zawsze siadywał w kącie między oknem a kominkiem; był kierownikiem szkoły i lubił mieć cały bar na oku.

Większość zgromadzonych w nim mężczyzn była kiedyś jego uczniami. Przezywali go „Chłóściarz”, ponieważ miał w zwyczaju smagać chłopców po nogach cienutką trzcinką, której używał także do wskazywania podczas wykładu.

Upływ czasu niewiele go zmienił: z kręconymi włosami i perkatym nosem nieodmiennie wyglądał jak podstarzałe dziecko. Koszulę miał nakrochmaloną, krawat w barwach hrabstwa.

Spowijały go warstwy zielonych kardiganów i brązowych tweedów w jodełkę. Chronił się w ten sposób przed wilgocią, przeraźliwie dokuczliwą w Dolinie Rhymney podczas zimowych dni.

Pociągnął łyk guinnessa i starł pianę z wąsów grzbietem dłoni.

— W takim razie to już drugi — powiedział, odchyłając się na siedzeniu, by wyciągnąć z kieszeni playersa bez filtra, rodzaj papierosów praktycznie już w tej chwili nie do zdobycia.

— Co to ma znaczyć: już drugi? — spytał Roger Jones, bryłowaty facet z krótko ostrzyżonymi włosami i kolczykiem w uchu. Na boisku obrońca doskonały, w pracy kiepski mechanik samochodowy: nawet jego obie lewe ręce miały dwie lewe ręce.

— Kevin Williams widział swojego staruszka przy Fleur-de-Lys.

— W życiu! Kiedy?

— W piątek po południu. Zaczynało się zmierzchać. Przekraczał rzekę pod wiaduktem, gdy zobaczył go idącego po drodze do Ystrad. Tylko mu mignął, więc mógł się pomylić. Ale mówi, że miał starą torbę żołnierską, tę, w której zawsze nosił kanapki.

— Poszedł za nim? — spytał David.

— Tak, ale zaraz się zatrzymał. Twierdzi, że nie chciał z siebie robić idioty, biegnąc za kimś, kto może nie był jego ojcem. Poza tym doszedł do wniosku, że jeśli to rzeczywiście on, zdecydowanie nie chciałby się z nim zobaczyć w jedenaście lat po tym, jak umarł.

David skończył zmiatać kawałki szkła do gazety i podał ją Johnowi Snape, żeby wyrzucił zawartość do stojącego za barem kosza na śmieci.

— Daj mi następne, John — powiedział.

— Co takiego? Może w papierowy kubek — zakpił barman, ale David go nie słyszał.

Poszedł do drzwi frontowych, otworzył je i stanął na wilgotnym szarym asfalcie parkingu przed barem. Rozejrzał się wkoło i zaczął nasłuchiwać. Surowe, mgliste listopadowe powietrze pachniało wilgocią, nieodłącznie od tych dolin, dymem i spalinami. Po drugiej stronie ulicy pięciu czy sześciu chłopców zabawiało się kopaniem puszek po chodniku, a jeden siedział na schodkach do pralni i palił

papierosa. Jakby to był mój dzieciak, to bym go sprął, pomyślał David. Po cholere w ogóle wychodzić z szybu, skoro człowiek zamierza palić? Ojciec chorował na płuca i David poprzysiągł, że choćby jego noga nie powstała więcej w kościele, pod tym względem będzie kultywował ewangeliczne cnoty.

Odwrócił się w drugą stronę i spojrzał w kierunku kotliny, na wysoki, posępny kolejowy wiadukt spinający brzegi Rhymney. Kiedyś jeździły po nim lory z węglem i pociągi pasażerskie, teraz był już tylko pomnikiem wiktoriańskiej myśli technicznej. Głęboka pod jego sklepieniem, o brzegach porośniętych ociekającymi wilgocią paprociami, Rhymney toczyła swe niegdyś czarne od węglowego pyłu wody, szumiąc, jakby szeptali w niej zapomniani górnicy. Kopalnie Markham,

Pengam, Aberbargoed pozamykano, a ludzie pracowali w magazynach z dywanami albo w elektronice lub, co najczęściej, żyli z zasiłku. Prawdziwy walijski górniczy dom można było zobaczyć już tylko w skansenie niedaleko Cardiff.

Ptaka zatrzepotał nerwowo.

— Ellis? — krzyknął David. — Ellis Morgan, czy to ty? Parking był pusty, a na okrzyk Davida odpowiedział tylko Roger Jones:

— Zamknij te cholerne drzwi, bo nas zamrozi! Kiedy wracał do środka, odwrócił się raz jeszcze i rzucił okiem na sklepy. Zobaczył kogoś przelotnie; kogoś w szarym płaszczu i czerwonym szalu, zmierzającego po krętej drodze biegnącej przez Maes-y-Cwmmwr. Kogoś w szarej czapce, ze skórzaną torbą przy pasku, idącego szybko, w charakterystyczny dla Ellisa Morgana sposób. David, kiedy był młodszy, nigdy nie mógł za nim nadążyć. Dawał trzy kroki, podbiegał następne trzy i w ten sposób docierał do bramy kopalni straszliwie zziębnięty.

— Ellis Morgan — wyszeptał.

I w tym samym momencie postać w szarym płaszczu i czerwonym szaliku zatrzymała się na rogu Jenkins Street, odwróciła i pomachała ręką w przyjaznym pozdrowieniu.

Za daleko i zbyt mgliście, by David mógł go na pewno rozpoznać. Jego twarz rysowała się jak niewyraźna plama i zanim David zdążył skupić na niej wzrok, ten ktoś zniknął za rogiem. Ale ktoś jeszcze poza Ellisem Morganem i po co miałby się zatrzymywać, by mu pomachać?

Wszedł do „Butchers” i cicho zamknął za sobą drzwi. Kwaterka czekała na niego na kontuarze.

Spojrzał na Glynę Bachelora, siedzącego w swoim kącie jakby w ramach fotografii. Stary nauczyciel odwzajemnił spojrzenie; twarz miał poważną, pełną zrozumienia, tak jakby dzielili wspólny sekret.

Wpół do drugiej wyszedł z pubu i wsiadł do bladoniebieskiej astry vauxhal. Zajęczała pięć czy sześć razy, zanim silnik zaskoczył. Nie służyła jej wilgoć, przydałby się nowy akumulator, na co były słabe szanse, dopóki David pracował dorywczo. Trochę jeździł bagażówką, czasem zajmował się stolarką. Kiedyś montował kuchnie Glynetha, ale teraz nikt w okolicy nie mógł sobie pozwolić na nową kuchenkę gazową, a co dopiero na zamówienie kompletu mebli, więc firma splajtowała.

Lubił pracę monterem. Robota czysta, niezła, człowiek odwiedza przyjemne domy, w których zawsze częstują herbatą. Po ukończeniu szkoły poszedł w ślady ojca i zatrudnił się w kopalni Maes-y-Dderwen. Przpracował pięć miesięcy i tydzień, kiedy ministerstwo ją zamknęło. Być górnikiem to praca na całe życie, zwykły mawiać ojciec. Dopóki jest węgiel i dzielni mężczyźni, gotowi go wydobywać, jest i praca.

Etykieta z ceną nie zdążyła się zetrzeć z pudełka na kanapki, które kupił pod ziemię, a on już stał przy bramie, patrząc, jak zamykają ją na łańcuch i jak nieruchomieją górnicze wyciągi. Tak to wyglądało. Praca na całe życie.

Oczywiście katastrofa w Maes-y-Dderwen przyśpieszyła decyzję o zamknięciu. Ludzie podawali tę datę jak swoich własnych urodzin. Piątkowy poranek 15 listopada 1982 roku. Dokładnie dwadzieścia siedem minut po dziesiątej. Potężny wybuch płonącego gazu oznajmił rozległą eksplozję w najgłębszym i najdalej położonym szybie numer 7. Jedenastu mężczyzn zasypało w zachodnim tunelu; nigdy ich nie odnaleziono. Prawie trzy tygodnie próbowano się do nich dokopać, a potem nastąpiły jeszcze trzy tąpnięcia i zapadła się niemal połowa wzgórza Hengoed razem z trzema domostwami. Krewni wyrazili zgodę, by zabronić wstępu na cały ten teren, a ziemię pobłogosławili i uznali za uświęconą mogiłę pastor od baptystów i katolicki ksiądz, jako że wśród zasypanych znajdowało się dwóch Polaków.

Zostawili pod ziemią jedenastu przyjaciół. Jedenastu synów, jedenastu ojców, jedenastu mężczyzn z Maes. Pożegnali ich stojąc w deszczu, spleceni ramionami i śpiewając psalm. Niczyje oczy nie pozostały wtedy suche.

Jechał w kierunku Fleur-de-Lys, wycieraczki klekotały, gdy minął starego Glyna Bachelora, idącego w deszczu z podniesionym kołnierzem płaszcza. Podjechał do skraju drogi, wychylił się do okna po stronie pasażera i krzyknął:

— Podwieźć pana, panie Bachelor?

— Ale co z Nye?

— Nie ma się co martwić. Na tylnym siedzeniu leży stary koc.

Glyn Bachelor z wdzięcznością wdrapał się do środka i zamknął drzwi.

— Boże święty, leje jak z cebra — uzalił się. Wyjął z kieszeni zmiętoszoną chusteczkę i wytarł twarz.

Nye zwęszywszy koc natychmiast skoczył na tylne siedzenie i pojechali dalej w lejącym deszczu, mijając sklepy, wypożyczalnie wideo, bar z indyjskim jedzeniem na wynos i wzniesione tarasowate domy. Dylan Thomas nie znał takiej Walii; znał zadziwiającą Walię, jak sam to określał, szybów kopalnianych, gór, chórów kościelnych, owiec i nierzeczywistych cylindrów.

Teraz była jeszcze dziwniejsza — z pozamykanymi kopalniami, bez tradycyjnych sklepików, jak „Jones i Porter”, gdzie kroili ser drutem i zawijali w pergamin.

— A więc myślałeś, że widzisz Ellisa Morgana, tak? — spytał stary Glyn Bachelor.

— Ociupinę przerażające, co? — David kichnął i potarł kartoflowaty nos. — Przysięgłbym, że to on. Przeszedł koło okna, a potem dostrzegłem go znowu na rogu Jenkins. Nawet mi pomachał... Ale przecież to nie mógł być on, prawda?

— Kiedyś już się coś takiego zdarzyło — powiedział stary Glyn.

— Co się zdarzyło?

— Widziano mężczyzn, którzy zmarli.

— Kiedy?

— Po wybuchu w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym w Bedwas. Zginęło dziewięciu.

Miałem zaledwie pięć lat, nie znałem żadnego, ale byli wśród nich starsi bracia i ojcowie moich kolegów. Powtórzyła się sytuacja z Maes: nie odkopano ich, okazało się to zbyt niebezpieczne.

Próbowali, dopóki nie zawaliła się połowa tej cholernej góry.

— Ale rzeczywiście ich widziano? To znaczy, mam na myśli, na przykład idących.

— Sam jednego widziałem, chociaż wtedy nie miałem pojęcia, kogo widzę. Gareth Evans, tata mojego kumpla, Williama Evansa. Do dziś mam to przed oczami. Zdarzyło się sześć lat później, w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Wyjechałem zza rogu Plas Inn na rowerze, udając spitfire'a, no wiesz: pah-pah-pah-pah z karabinu maszynowego... i szedł tam sobie w stronę Blackwood, w czapce, z chlebakiem, w starym płaszczu, i posłał mi coś w rodzaju spojrzenia, zanim zdążyłem czmychnąć. Widzę te oczy, jakby się to wydarzyło wczoraj, bo widzisz, były przeczyste.

Jakbyś patrzył w splukane deszczem szyby.

— Niech pan da spokój, panie Bachelor — powiedział David. — Nie chce mnie pan chyba wystraszyć.

— Ale to prawda. I to był na pewno Gareth Evans.

Tydzień potem poszedłem do Williama, zaproszony jak co tydzień na herbatę, i zobaczyłem zdjęcie jego ojca nad kominkiem. Biedna pani Evans nie mogła zrozumieć, dlaczego nie jem chleba z dżemem. Odmówiła sobie dżemu ze swojej racji, ale jak jej to miałem wyjaśnić? „Zdarzyła się dziwaczna rzecz, pani Evans: jakiś tydzień temu zobaczyłem pana Evansa idącego w stronę Blackwood i to tak wyraźnie, jak panią teraz widzę”. Nie mogłem czegoś takiego powiedzieć, nawet z powodu racjonowanego dżemu.

Dojechali do Pengam, gdzie mieszkała siostra starego Glyna i David zatrzymał astrę przy krawężniku. Po obu stronach ulicy wznosiły się tarasowato wąskie domy z błyszczącymi wielkimi oknami o panoramicznych szybach, osłoniętych kunsztownie upiętymi siatkowymi firankami. Zasłona we frontowym pokoju pod dziewiętnastką uchyliła się na moment i ukazała się duża żółtawa twarz.

— Nie spóźnił się pan chyba na obiad?

— Nie, jest po prostu wścibska. Usłyszała zatrzymujący się samochód.

— I co się potem stało? — zapytał David.

Glyn Bachelor był już jedną nogą na zewnątrz, a Nye skoczył na przednie siedzenie, by pójść za nim.

— Co masz na myśli? — odwrócił się z powrotem do Davida.

— Widział pan jeszcze kiedyś Garetha Evansa albo któregoś z nich?

— Słyszałem jedną czy dwie opowieści — zerknął szybko na Davida — ale nie przywiązywałem do nich zbytnej wagi.

— Jakie opowieści?

— Ależ jesteś uparty! Muszę iść na obiad.

— Panie Bachelor, ja naprawdę widziałem Ellisa Morgana.

— Pamiętasz lekcje historii? — Stary nauczyciel poklepał go po ramieniu. — Pamiętasz Owena Glyn Dwr?

David był zbity z tropu, ale Glyn Bachelor nie zamierzał mu nic więcej powiedzieć. Wsiadł z wozu, trzasnął drzwiczkami i zniknął w drzwiach dziewiętnastki, zanim David zdążył opuścić szybę i krzyknąć: „Nie rozumiem, o co panu chodzi, niech mi pan da jakąś wskazówkę!”

Pojechał więc do domu rodziców w Penpedairheol, pagórkowatej dzielnicy bungalowów, dość przygnębiającej, choć domy były tutaj schludne i czyste, świeżo odmalowane, większość z zaadaptowanymi strychemi.

Matkę, tęgą i ciepłą, spowijał fartuch w kwiatki. Pocałował ją w spocone czoło i rozejrzał się za ojcem. Siedział przed telewizorem, oglądając mecz piłki nożnej. Przerażliwie wysuszony, jak zapomniany w koszyku na jarzyny stary burak. David zastanowił się, czy nie powinien mu powiedzieć, że widział Ellisa Morgana, gdy ojciec zacharczał i zakaszłał. Lepiej nie, zdecydował. Mógłby sprowokować atak, a zresztą ojciec i tak by mu pewnie nie uwierzył.

— Gdzie pochowałaś moje stare szkolne książki, mama?

— A do czego ci potrzebne?

— Tylko ta do historii. Chciałem coś sprawdzić. Leżały w kartonowym pudełku w kącie na strychu tuż obok zbiornika na wodę. Nowoczesna matematyka. Geografia dzisiaj. I Historia Walii J.

D. Lloyd. Zielona okładka z czerwonym smokiem, w środku zaokrąglone litery: D. Davies, 38 Royce Avenue, Penpedairheol, Mid-Glamorgan, Walia, Europa, Świat, Wszechświat.

— Długo tam jeszcze będziesz, chłopcze? — krzyknął ojciec. — Cholerny przeciąg, co najmniej jakby wiał huragan. — Wybuchnął długim, potwornym kaszlem; bolesna, niszcząca fantazja na bezdech i zniszczone błony śluzowe.

David ukląkł na strychu, przyciskając dłoń do czoła w milczącej modlitwie i prośbie o wybaczenie. Przebaczone, ojcze, zapomniałem. Ojciec był swarliwy, wiecznie zirytowany, ale cierpiał na anthracosis, tkanki płuc miał zatkane i nie było jednej minuty w ciągu dnia, żeby nie miał wrażeń,

jakby w jego wnętrzu żył nieugięty szkodnik, kradnący mu powietrze, a ulgę mogło przynieść tylko zatrzymanie na zawsze oddechu.

Szybko kartkował miękki gruby papier stron Historii Walii. Dokładnie takie same — obrazki, na które patrzył w letnie popołudnia: Cadwaladr, król Gwynedd, w koronie króla Artura; Llewelyn ap Iorwerth, czekający na śmierć w celi klasztoru cystersów w Aberconway. I Owen Glyn Dwr z Gruffydd, potomek Llewelyna, panujący książę

Walii, który walczył z Anglikami pod Knighton prawie sześćset lat temu.

Owen Glyn Dwr ustanowił po wsze czasy, że każdy Walijszyk, który zginie z rąk Anglików, powróci do swego domostwa, by pożegnać najbliższych.

David pamiętał to zdanie, choć w czasach szkolnych go nie rozumiał, a może nie chciał

rozumieć — wówczas czternastolatek, oszalały na punkcie rugby i wybrzuszeń świeżej białej bluzki siedzącej obok niego dziewczyny, Gwen Griffin, dzisiaj pani Johnson, matki bliźniąt, równie potężnej, jak niegdyś jej biust.

Ale... czy naprawdę to znaczyło...? Czy naprawdę Owen Glyn Dwr ustanowił po wsze czasy, że każdy Walijszyk, który zginie z przyczyny Anglika, powróci do domu, choć przecież musiał być martwy, jak Ellis Morgan i wszyscy zasypani i straceni w Maes-y-Dderwen?

Na samą myśl o tym przeszły go ciarki, skóra głowy zaczęła swędzieć. Czy to właśnie próbował mu powiedzieć stary Glyn Bachelor? Że to prawda?

— Albo zamkniesz te cholerne drzwi, Davidzie — wrzasnął ojciec — albo zamknę je osobiście i zostawię cię tam, żebyś zapuścił korzenie!

Kiedy wracał z powrotem, zaczęło szarzeć. Dobrze wyczuwalny zapach dymu unosił się w przejmującym wilgocią powietrzu, rzędy lamp sodowych biegły jak pod sznurek po górskich zboczach. Ciemno, mrocznie i dziko musiało być tutaj w czasach Owena Glyn Dwr; teraz doliny nie rozświetlały wschodzące gwiazdy, tylko pomarańczowe światło lamp, zupełnie jak parking przed supermarketem. David zobaczył dwóch mężczyzn w czapkach idących poboczem i zaczął się zastanawiać, czy nie nadchodzą z Maes-y-Dderwen. Zerknął we wsteczne lustro, ale gdzieś znikli, może po prostu skręcili... Nie zawrócił, by ich poszukać.

No bo co, jeśli to zmarli? O co miałby ich zapytać? „Halo, chłopaki, nie jesteście przypadkiem martwi? I czy naprawdę Owen Glyn Dwr dopełnił obietnicy, że będziecie mogli się pożegnać?”

Dojechał do Maes-y-Cwmmer, przejechał przez skrzyżowanie na zielonym świetle i dalej, krętą ulicą, do rogu Jenkins Street. Zatrzymał samochód przy domu Morganów i wyłączył silnik. Zasłony w pomarańczowo-brązowe kwiaty w oknie frontowego pokoju były szczelnie zaciągnięte, ale świeciło się w środku, nie widział za to migocących odblasków telewizyjnego ekranu, rzecz dziwna o tej porze dnia, kiedy większość rodzin siedziała przy herbacie i włączonych odbiornikach.

Wygramolił się wreszcie z samochodu, otworzył furtkę z kutego żelaza, pokonał dwa niskie schodki z betonu i podszedł do frontowych drzwi. Nacisnął dzwonek i czekał. Wydawało mu się, że z wnętrza dochodzi śmiech, ale nie był tego pewien. Drzwi otworzyły się po chwili i stanęła w nich Denise, najmłodsza córka Ellisa Morgana, już nie całkiem młoda, czarnowłosa kobieta o wyraziście zarysowanych brwiach. Policzki miała zaczerwienione, jak po wypiciu drinka albo serdecznym śmiechu, a może po jednym i drugim.

— David?

— Posłuchaj, Denise — czuł się idiotycznie zażenowany — wiem, że to brzmi głupio, ale mógłbym przysiąc, że widziałem twojego ojca dzisiaj po południu. Wpadłem na kwaterekę do

„Butchers” i wiesz... zobaczyłem go przechodzącego za oknem, tak wyraźnie, jak ciebie teraz widzę.

Przysięgam ci. Potem poszedł w kierunku domu, a na rogu odwrócił się i pomachał mi.

Patrzyła na niego dłuższy moment nie odzywając się. Słyszał dochodzącą z pokoju muzykę ze starej płyty Mela Torme i kobiecy śmiech. Wreszcie powiedziała:

— Pomachał, tak?

— Właśnie, pomachał.

— W takim razie wejdz, uściśnij mu dłoń. — W oczach Denise zalśniły łzy.

David przełknął ślinę; po raz pierwszy w życiu owładnęła nim panika. Zupełnie jakby schody frontowe nagle usunęły mu się spod stóp albo jakby jechał windą bez zawiesi czy doznał nagłego zawrotu głowy.

— On tutaj jest?

Denise wzięła go pod rękę i poprowadziła przez niewielki przedpokój ozdobiony barometrem w kształcie koła sterowego i ufarbowanymi na różowo pióropuszcami traw pampasowych. Otworzyła drzwi do frontowego pokoju i zobaczył ich wszystkich, całą rodzinę Morganów: Ivora, z którym chodził do szkoły, Jamne, żonę komiwojażera produktów kosmetycznych z Bristolu, Kevina i Brangwyn, i panią Morgan, posiwiąłą, w pięknej różowo-zółtej sukni. Był też Billy Probert, sprzedawca ze sklepu ze sprzętem komputerowym w Ystrad; kiedyś pracował w Maes-y-Dderwen razem z Ellisem.

I on też tam był. Siedział w swoim ulubionym fotelu. Ellis Morgan. Zginął zasypany jedenaście lat temu i oto siedział w ulubionym fotelu wśród rodziny i przyjaciół, a wszyscy rozmawiali, śmieli się, popijali piwo z rumem i słuchali Mela Torme z odtwarzacza kompaktowego.

Podniósł wzrok i spojrzał na Davida, gdy ten wszedł do pokoju. Był dużo bledszy, znacznie bledszy niż kiedyś, jakby krew zupełnie z niego wyciekła, ale nie zmienił się za bardzo. Szczupła twarz, wklęsnięte policzki, orli nos i kwadratowa szczęka. Tylko oczy miał blade, wydawało się, że tęczyówki są zupełnie pozbawione koloru, a przecież David pamiętał, że były czarne. Uśmiechnął się

do Davida na powitanie dziwnie bezosobowym uśmiechem.

— To David — powiedziała pani Morgan. — Popatrz na niego, Ellis, zobacz, jak spotęźniał.

David przeszedł przez pokój i wyciągnął rękę. Serce waliło mu głośno, jakby ktoś uderzał w wielką poduchę kijem do krykieta.

Witaj, Davidzie — powiedział Ellis i szybko uścisnął mu dłoń. — Kawał czasu.

— Przecież nie żyjesz — oświadczył David. Całym jego ciałem targały fale mdłości. Gorsze niż gdyby siedział na małej chybotliwej łódce w przejmujący chłodem poranek, łowiąc makrele.

Chyba mnie o to nie obwiniasz, Davidzie? — Ellis odchylił się na oparcie krzesła i popatrzył na niego z wyrazem smutku i żalu.

— Nie żyjesz, przecież nie możesz być żywy. — Odwrócił się do pani Morgan; szybko spuściła oczy, jak i wszyscy pozostali. W milczeniu wpatrywali się w drinki, tylko Mel Torme pojękiwał niezamordowanie. — On nie żyje — wziął ich na świadków. Ściany niedużego pokoju dziennego napierały na niego. Zobaczył na taniej politurowanej szafce trójwymiarowy obrazek Chrystusa.

— Wiedziałaś o tym. I właśnie dlatego przyszedłeś — stwierdziła Denise. — Więc po co teraz to całe larum?

Nie przejmuj się — odezwał się Ellis z uśmiechem. Jego głos budził dziwaczne echo, zupełnie jakby mówił z innego pokoju. — Glenys o mało nie oszalała, gdy się pojawiłem w drzwiach. Prawda, kochanie? To nasze dzieci mnie zaakceptowały. Bo to pewnie normalne dla dzieci, że ojciec wraca, nawet pijany albo spóźniony, bo nie zdążył na autobus. Nawet martwy.

— No bo jesteś martwy — powtórzył David. — Na rany Chrystusa, ty nie żyjesz, Ellis.

Dajże wreszcie spokój, siadaj i napij się czegoś. Mam tylko tę jedną noc. Cmentarz na mnie czeka. Tak nam powiedziano i nie pozostaje nic innego, jak w to uwierzyć.

Denise podała Davidowi napełnioną po brzegi szklankę piwa. Spróbował upić troszeczkę, ale było ciepłe, a on się pocił. Billy Probert posunął się nieco i David przysiadł koło niego na brzeżku kanapy.

— Denise, może byś zapytała, czy ktoś chce kielbaskę w cieście! — powiedziała karcąco pani Morgan.

— Czy ktoś chciałby kielbaskę w cieście? — spytała Denise.

— Weź no te kielbaski, Denise — powiedziała pani Morgan, kiedy zobaczyła, że wszyscy potrzęsają przecząco głowami — poczęstuj nimi. I nie zapomnij o serwetkach.

David zapatrzony na Ellisa Morgana wciąż nie mógł uwierzyć, że on naprawdę tu z nimi jest.

Nie żył od tylu lat, a teraz siedział tu, rozmawiał...

— W jaki sposób wydostaliście się z kopalni? — zapytał w końcu. — Próbowali was odkopać, ale góra się osuwała i postanowili dać spokój ze względów bezpieczeństwa. Uznali, że nie ma co ryzykować żywych dla umarłych. To znaczy... zrobili, co było w ich mocy.

No i dobrze. — Ellis wzruszył ramionami. — Niewiele tak naprawdę pamiętam, tylko oderwane strzępy wydarzeń. Ktoś krzyknął: „Wybuch!”, potem jakieś tąpnięcie, trzask, jakbyś usłyszał naraz wszystkie pioruny, co zagrzmiały przez całe życie nad twoją głową, i sklepienie się zawaliło.

Wiedziałem, że mnie miażdży, Davidzie. Czułem to. I to, że przestałem oddychać. Potem było tak, jakbym zapadł w sen, a kiedy otworzyłem oczy, wstał dzień. Niezbyt jasny, raczej deszczowy. W każ-

dym razie mogłem dostrzec górniczy chodnik wiodący do wyjścia, więc zacząłem się po nim wspinać.

Nie miałem czasu dokładnie się rozglądać, ale wydawało mi się, że wydrążenia prowadzą do ogrodów działkowych i że chodnik został otwarty przez przypadek. Wyszedłem prosto w deszcz, no i jestem.

— Ale przecież zginęliście lata temu — powiedział David. Nie umiem ci na to odpowiedzieć.

Czuję się, jakbym zasnął, to wszystko.

— Zasnął?! Trudno w to uwierzyć.

Wiem — odparł Ellis poważnie. — I dlatego jestem wdzięczny, że się tu znalazłem.

— Ale mówiłeś, że masz tylko tę noc — przypomniał David.

Ellis kiwnął głową.

Napijmy się, co? — podniósł szklanekę.

— Skąd wiesz, że rzeczywiście tylko tę jedną? Może więcej? Może będziesz żył do końca?

- Nie. Powiedziano nam, że mamy jedną noc; jedną jedyną, ale przecież i tak dano nam szansę pożegnać się porządnie z tymi, których kochaliśmy. Należysz do nich, Dańdzie, i dlatego się tutaj znalazłeś, wiesz, prawda?

— Kto wam powiedział o tej jednej nocy? — dopytywał się David. Był zdumiony, przestraszony i podekscytowany zarazem. To było jednak cudowne: widzieć Ellisa Morgana znowu, rozmawiać z nim, siedzieć w kręgu jego rodziny.

To się zdarzyło, gdy chodnik się przed nami otworzył. Ogarnęła nas ciemność, tylko tak to umiem opisać. Oczywiście, było naprawdę ciemno, tam, w szybie, ale teraz ciemność jeszcze się pogłębiła. Stała się czarna jak sam węgiel. I przemówiła do mnie, jakby ktoś szeptał tuż przy moim uchu.

Dziwnym starodawnym walijskim językiem.

— Owen Glyn Dwr — wyszeptał David.

— Co powiedziałeś? — spytała ostrym tonem Glenys Morgan.

— Owen Glyn Dwr. Czytałem o nim w książce do historii. W dniu śmierci poprzysiągł, że każdemu Walijszykowi, który zginie z rąk Anglików, będzie dane wrócić, by pożegnać się z rodziną.

— Popatrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami, ale nic nie powiedziała. Ellis też się nie odezwał, choć z wyrazu jego twarzy David wyczuł, że potrafił właściwą strunę. — A co z Rogerem Jonesem?

Bilnym Evansem? I z Johnem Snape z „Butchers”? Mogliby się z tobą też pożegnać, nie? Chyba po nich poślę, żeby przynieśli trochę więcej piwa.

Podobałoby mi się, gdyby wpadli na chwilkę — uśmiechnął się Ellis i pokiwał głową. — Co ty o tym myślisz. Glenys?

Oczy pani Morgan wypełniły się łzami.

- Do licha, przestań płakać, dziewczyno! Jaki masz powód? — złążał ją Ellis.

Pociągnawszy nosem, otarła łzy.

— No bo pierwszy raz w życiu spytałeś mnie o zdanie — powiedziała.

— Przeklęty męski szowinista — zaśmiał się David.

W ten właśnie sposób, popijając, rozmawiając, splatając dłonie w pożegnalnych uściskach, rodzina i przyjaciele Ellisa Morgana spędzili w ciepłej atmosferze przedziwny wieczór, który wydawał

się trwać dłużej niż płynące godziny na to wskazywały. Przekazali Ellisowi najświeższe plotki, poinformowali o nowej obwodnicy, które pary się rozeszły, ile sklepów zamknięto, łącznie z tym w Blackwood, gdzie zawsze kupował kurtki. Ale tuż po piątej, gdy słabe światło dzienne zaczęło sączyć się przez zasłony, Ellis spojrzął w okno, a na jego twarzy odmalowały się strach, żal i wyczerpanie.

Oczy, które wydawały się tak ożywione w sztucznym oświetleniu, przybrały tępy, zaszczuty wyraz.

Policzki mu się zapadły, wargi zacisnęły mocno na zębach.

— Lepiej będzie, jeśli teraz wyjdą, Ellis — powiedziała Glenys.

Nie odpowiedział, ale skinął twierdząco głową.

David niech zostanie — wychrypiał. — Powinien być przy tobie jakiś mężczyzna, kiedy to się skończy.

Przyjaciele obejmowali Ellisa, płakali otwarcie, nie czując wstydu. Jeden po drugim wychodzili w świat, a ich kroki budziły głośnie echa w murach tarasowato położonych domów.

- No? — Ellis zwrócił się do Davida z uśmiechem. — Prze-wspaniała noc, prawda?

— Najlepsza ze wszystkich, Ellis, naprawdę najlepsza. Zegar na kominku odmierzał z hałasem minuty i w miarę jak dzień się budził, Ellis stawał się coraz bledszy, skóra się na nim kurczyła, jakby najskąpszy ze złotników rozbijał na cienki płatek i skręcał srebro w arkuszach. Zacisnął dłonie na poręczach fotela i David zobaczył, że wyschły na bezcielesne szpony ze sterczącymi jak patyki kośćmi palców i pulsującymi żyłami.

Glenys spojrzała na Davida zatrwożona, ale przycisnął palec do ust, uciszając ją i dając znak, by się nie martwiła.

Pokój wypełniło słońce, zwiastując wreszcie pogodny dzień. Broda Ellisa opadła na piersi; pierś zapadła się pod kamizelką, jak zepsuta bambusowa klatka dla ptaków, nogawki spodni obwisły, jakby wypełniały je tylko kości.

Ellis Morgan na ich oczach dosłownie kurczył się i zapadał w siebie. Przez moment wyraz szczęścia pojawił się na jego twarzy; twarzy celtyckiego świętego: pogodzonej, doskonałej, męczeńskiej.

— Boże błogosław i zachowaj Ellisa — powiedział David.

Twarz celtyckiego świętego skruszyła się jak wyschła glina i osunęła miękko w kołnierzyk koszuli. Kiedy promienie słoneczne dosięgły fotela, została na nim kupka starych ubrań i proch.

Glenys stała przy drzwiach z ręką przyciśniętą do ust, oczy jej błyszczały smutno. David podszedł i objął ją ramieniem.

— Widzieliśmy go — powiedział. — Naprawdę tu był I założę się, że cała reszta też spędziła tę jedną ostatnią noc w swoich domach.

Nie mogła mówić, ale kiwnęła głową. Zegar na kominku wybił siódmą.

Następnego popołudnia David i stary pan Bachelor szli przez ogródki działkowe, wdychając ostry zapach brukselki i pyłu węglowego. Chmury zwisały ciężko jak wyprana pościel. Nye biegał

sapiąc wśród rzędów wybujałych kartofli i ujadał na szczury wodne.

Rhymney bulgotała, jakby płynęła pośród skał. To Nye znalazł miejsce, gdzie mężczyźni z Maes-y-Dderwen wyszli na powierzchnię. Rozmokła, na poły zasypaną dziurę niedaleko brzegu rzeki, porośniętą dzikim szczawiem i pokrzywami.

— No i masz — powiedział Glyn Bachelor.

— Nic nie widzę. — David usiłował zajrzeć do środka.

— Nie chcesz chyba tam wejść?

— Nie ja — zaproponował David. — Dość mam włożenia pod ziemię.

— Jak my wszyscy, jeśli już o tym mowa — stwierdził stary Glyn Bachelor, wzruszając ramionami.

David dostrzegł w zielsku coś połyskującego jak bursztyn. Podniósł to i zmarszczył brwi.

Kawałek metalu w kształcie lilii burbońskiej, odbarwiony i poodpryskiwany ze starości. Podał go bez słowa Glynowi. Ten przyjrząwszy mu się dokładnie, potrząsnął głową.

— To może być cokolwiek. Część lampy, część korony.

— Owen Glyn Dwr nosił koronę. Pamiętam rysunek z książki do historii.

— Nie należy wierzyć we wszystko, co jest napisane w książkach do historii. A już zwłaszcza zamieszczonym tam rysunkom. No wiesz, licencja artystyczna, mój chłopcze. — Poklepał Davida uspokajająco po ramieniu.

Wracali wspinając się w górę ogródków, gdy zaczął padać ulewny deszcz. Głęboko w dziurze przy brzegu rzeki poruszył się ciemny, mroczny kształt i poniósł się niewyraźny dźwięk, którego źródłem mógł być wiatr albo ktoś mówiący łagodnym głosem.

Krople deszczu połyskiwały świeżością na pochyłych tarasowatych dachach wzdłuż Hengoed, Bargoed, Aberbargoed i Ystrad Mynach.

Tego dnia nad całą Doliną Rhymney zawisła chmura wszechogarniającego smutku, ciężka jak świeżo wyprana bielizna. Zapach dymu z węglowych palenisk gęstniał w miarę rodzenia się wieczoru, a wraz z nim napływało poczucie ulgi, dzielone przez żony i dzieci, że pozwolono wreszcie odejść tym, których kochano — że dumne serce Walii uwolniło mężczyzn z Maes, by się pożegnali.

Nieprawdopodobna historia

Hrabstwo Kerry, Irlandia

Półwysep Kerry należy do moich ulubionych miejsc w Irlandii. Krajobraz zapiera dech w piersiach, gra światła i cieni zmienia go czasem wręcz dramatycznie, nieraz w ułamku sekundy. Kerry jest pofałdowany górami i to na nim właśnie wznosi się najwyższy szczyt w Republice Irlandii — Megillicuddy's Reeks (1041

m).

Rzeki Kerry nie imponują długością, ale z powodzeniem uprawia się tu wędkarstwo. Miasta są malownicze, we wsiach spotyka się puby o niezwykle przyjaznej atmosferze. Spędzenie wspaniałego popołudnia oznacza dla mnie usiąść z kwaterką piwa i sałatką ze świeżo złowionego homara i patrzeć na wysepki i zatoczki przy półwyspie Kerry, przy czym bez znaczenia jest, czy pada, czy świeci słońce.

Nie będzie to jednak opowiadanie o czarodziejskim krajobrazie Kerry, ale o zauroczeniach tych, którzy tam mieszkają. Czyli o zupełnie innym rodzaju magii, która sprawia, że nic nie jest takie, jak w rzeczywistości wygląda. Strach w tym opowiadaniu rodzi się ze zwodzenia i kłamstwa.

NIEPRAWDOPODOBNA HISTORIA

Zanim Raymond wygrzebał się z hotelu, rozpadało się na dobre i szedł do wynajętego samochodu w ulewnym deszczu. Właściwie był już pół godziny spóźniony i szansę na złapanie w Cork ostatniego samolotu do Londynu były nader wątpliwe. Otrząsnął z wody parasol, rzucił go na tylne siedzenie, zamknął drzwiczki i zapalił silnik. Zdecydowanie nie powinien tak długo rozmawiać z Dermotem Brienem, ale chciał przecież zgarnąć te osiemnastowieczne pejzaże. Dermot tyle o nich wiedział... no i o rzadkich akwafortach Conora O'Reilly'ego.

Ruszył spod hotelu i pojechał wąską drogą prowadzącą do Kenmare. Lało tak straszliwie, że czuł się, jakby prowadził samochód w wodach morza. Co chwila przecierał chustką do nosa zaparowaną przednią szybę. Droga nie była oświetlona, czasem migały odblaskowe tarcze znaków drogowych lub połyskujące oczy przestraszonych zajęcy.

Zerknął na zegar. Powinien mieć jeszcze dwadzieścia minut w zapasie w Cork, ale musiał

zwrócić samochód i oddać walizkę na bagaż. Przycisnął mocniej pedał gazu; volvo podskakiwało na szosie z tłucznią, rozpryskując kałuże. Źle ocenił ostry zakręt w lewo, wyprowadził jakoś wóz, ale serce biło mu pospiesznie. Mniej więcej po dwudziestu minutach zobaczył przed sobą coś jasnego, trzepoczącego na wietrze. Przetarł szybę i wpatrzył się w nią intensywnie. Z początku wydawało mu się, że widzi prześcieradło, ale potem zorientował się, że to kobieta, ubrana na biało, biegnie wzdłuż drogi. Z wielkim psem u boku.

Raymond zwolnił. Kobieta miała na sobie chyba tylko przemoczoną nocną koszulę. Zastanowił

się przez chwilę, czy się nie zatrzymać i zaproponować, że ją podwiezie, ale był już spóźniony, a ona mogła mu napytać niezłego kłopotu — kobieta ubrana w nocną bieliznę, biegnąca w deszczu głęboką nocą po odludnym terenie z psem, którego wygląd zupełnie się Raymondowi nie podobał. Dostrzegł

kwiaty w jej włosach, co go tym bardziej upewniło, że nie wszystko z nią w porządku.

Zjechał na drugą stronę szosy, by ją wyminąć, a wtedy ona odwróciła się i weszła na drogę, wyciągając ramiona. Przez ułamek sekundy widział bladą ze strachu twarz.

Wcisnął hamulec, ale volvo ją uderzyło. Rozległ się głuchy łomot, jakby ktoś upuścił worek z mąką. Volvo wpadło w poślizg i Raymond kurczowo złapał kierownicę. Samochód ześliznął się do rowu, miażdżąc żywopłot.

Siedział za kierownicą, drżąc w szoku. Wreszcie zdołał otworzyć drzwiczki i wygramolić się na rozmiękłe pobocze. Deszcz siekł go w twarz, jakby wymierzał mu karę. Podniósł kołnierz płaszcza i ruszył pospiesznie, modląc się, by nie była ciężko ranna, by żyła.

Pies leżał na boku. Przednią nogę miał zgiętą pod dziwnym kątem, czaszkę zmiażdżoną.

Martwe oko patrzyło na Raymonda oskarżająco, deszcz rozmywał wyciekającą krew. Na gładkim włosie widać było świeże pręgi, wyglądały jednak raczej jak ślady częstego okrutnego bicia niż

zderzenia z samochodem.

Rozejrzał się za kobietą, ale nigdzie nie było jej widać. Poszedł wzdłuż szosy, przypatrując się żywopłotowi i nawołując:

— Halo! Jest pani tam? Jest tu ktoś?

Nie usłyszał odpowiedzi. Pobrnął mozolnie z powrotem w stronę psa, zastanawiając się, co robić. Bał się, że impet uderzenia odrzucił kobietę poza krzaki, na pole i leży tam w deszczu, ciężko ranna. Nic pozostało mu nic więcej, jak zadzwonić po policję.

Wrócił do samochodu i wziął do ręki telefon komórkowy.

— Zdarzył się wypadek. Być może kogoś zabiłem. — powiedział.

Po dwóch godzinach poszukiwań uznali, że nie ma żadnej kobiety w pobliżu. Raymond siedział zrozpaczony w samochodzie, słuchając deszczu bębniącego o dach i popijając herbatę, którą przyniosła właścicielka pobliskiego pensjonatu. Policjant zapukał w okno i Raymond opuścił szybę.

— Ani śladu żadnej kobiety, proszę pana — powiedział funkcjonariusz.

— Widziałem ją. I jestem pewien, że ją uderzyłem.

— Tak... No cóż, proszę pana, nawet jeśli biegła tu jakaś kobieta, jest już pewnie daleko. Nie sądzi pan, że to raczej w psa pan uderzył?

— Nie wiem. Być może. Wszystko zdarzyło się tak szybko...

— Mówił pan, że była ubrana w nocną koszulę, czy coś podobnego.

— To prawda. Miała też jakby wianek na głowie.

— Z kwiatów?

— Właśnie. Białych kwiatów. I chyba zielonych liści. Sierżant policji milczał przez dłuższą chwilę. Deszcz ściekał mu z daszka czapki.

— Czy coś pana zastanowiło? — spytał Raymond.

— Nie o to chodzi. Żyją tu różne istoty, jeśli pan wie, co mam na myśli. Niektóre z nami, inne obok nas, tak mówią.

— Niestety, nie wiem, o co panu chodzi.

— Cóż, mówię o paralelnych bytach. Żyją w równoległym świecie. Czasem przedostają się do naszego i wtedy możemy je widzieć.

Raymondowi przemknęło przez głowę, czy sierżant nie jest pijany.

— Powiedział pan, że kobieta biegła, tak?

— Tak. I to całkiem szybko.

— Jakby ją ktoś gonił, takie można było mieć wrażenie?

— Rzeczywiście. Ale nikogo poza nią nie widziałem.

— Nie. Bo pan nie mógł widzieć.

— Naprawdę nie wiem, do czego pan zmierza — oświadczył Raymond. — Twierdzi pan, że nie istniała?

— Ależ istniała, proszę pana, i wierzę, że pan ją widział. Po prostu nie egzystuje w tej samej rzeczywistości co pan i ja.

— Przecież pies jest rzeczywisty.

— Z psem to zupełnie co innego. No dobrze. — Policjant się wyprostował. — Wznowimy poszukiwania rano, ale wątpię, by to coś dało. Może pan tu przenocuje, rano chciałbym z panem znowu porozmawiać.

— Dobrze — zgodził się Raymond. Czuł się wyczerpany, drżał. — Czy któryś z pańskich ludzi mógłby za mnie poprowadzić? Boję się, że sam nie dam rady.

— Oczywiście, nie ma problemu.

— Jeszcze tylko jedno...

— Tak?

— Powiedział pan, że ktoś za nią biegł. Kto? Policjant popatrzył na niego wzrokiem wypranym z wszelkiego wyrazu, odwrócił się i odszedł nie odpowiadając.

Kiedy wylądowali na lotnisku w Cork, chmury całkiem zaciągnęły niebo i wiatr się wzmógł.

Zaczęło lać, nim Sarah zdążyła dojść po betonie do terminalu. Jej irlandzki znajomy, Shelagh, wciąż powtarzał, że tu zawsze pada: co kwadrans przez piętnaście minut. Zaczynała w to wierzyć. Podeszła do punktu wynajmu samochodów; kosmyki długich ciemnoblonde włosów zwisały jej jak szczurze ogony.

— Ach, panna Bryce! — Mężczyzna o włosach koloru marchewki uśmiechnął się do niej zza biurka.

— Chciała pani corsę.

— Tak, to ja — odpowiedziała, próbując zachować spokój, chociaż krople skapywały jej z

koniuszka nosa.

Przemoczona, wcale nie wyglądała tak źle, jak sobie wyobrażała: wysoka, szczupła kobieta tuż po trzydziestce, o brązowych, szeroko rozstawionych oczach i mocnym kośćcu. Równie dobrze mogła pozować dla „Vogue” jako modelka demonstrująca praktyczne ubrania w weekendowym stylu, jak być żoną wysokiej rangi oficera armii.

W rzeczywistości zajmowała się handlem antykami i była świeżo po rozwodzie z mężem artystą, uroczym, lecz chronicznie nie dochowującym jej wierności. Okazał względy jednej ze swoich modelek o ten jeden raz za dużo i w efekcie, choć tęskniła do niego, rozkoszowała się na nowo zdobytą wolnością. Ken był wprost dziecięco od niej zależny i tym samym wymuszał na niej bezgraniczne poświęcenie. Teraz podróżowała, dokąd i kiedy chciała, spotykała się z tymi, których lubiła, jadła to, co jej smakowało, i oglądała wybrany przez siebie kanał telewizji — zwłaszcza to ostatnie dawało jej niezwykle poczucie wolności, Ken bowiem, jak zaskakująco wielu artystów, był zagorzałym wielbicielem piłki nożnej.

— Czeka na panią żółty samochód na dwudziestym pierwszym miejscu parkingowym. —

Mężczyzna o włosach w kolorze marchewki wręczył Sarah kluczyki. — Życzę pani przyjemnej podróży.

Poszła szybkim krokiem, rozbryzgując kałuże i znalazła samochód, który wynajęła — mały szmaragdowy opel o metalizującym lakierze, bardzo odpowiedni jak na Irlandię. Z uczuciem ulgi wsadziła torbę do bagażnika i usadowiła się za kierownicą. Opuściła plastikową osłonę chroniącą przed słońcem, uczesała włosy patrząc w lusterko i osuszyła twarz chusteczką. Deszcz bębnił w dach i spływał po przedniej szybie krętymi strużkami.

Miała zapalić silnik, kiedy zdała sobie sprawę, że z drugiego końca parkingu obserwuje ją mężczyzna. Niezwykle wysoki, ciemnowłosy, wyglądał na Hiszpana, chociaż twarz miał bardzo bladą. Stał w ulewnym deszczu bez płaszcza i parasola, z rękami w kieszeniach i przyglądał jej się ze stoickim spokojem, jakby już ją kiedyś spotkał i usiłował sobie przypomnieć kiedy. Strumyki deszczu spływające po szybie wykrzywiały jego obraz. Przez moment miał zgarbione plecy, potem załamany tułów, wreszcie twarz mu się wydłużyła i przybrała diaboliczny wyraz. Zapaliła silnik, włączyła wycieraczki i mężczyzna znormalniał. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego tak uporczywie jej się przygląda.

Kiedy wyjeżdżała z parkingu, patrzył za jej samochodem. Spoglądała co chwila we wsteczne lusterko, żeby sprawdzić, czy nie wsiada do innego wozu, żeby ją śledzić, ale stał w miejscu i gdy okrążyła lotnisko, zniknął jej wreszcie z oczu.

Deszcz siekł nieprzerwanie, gdy przejeżdżała przez południowo-zachodnie przedmieścia Cork, mijała fabryki, rzędy tandetnych bungalowów i szeregowych domków. Znalazła w końcu główną drogę, prowadzącą do Macroom, i rozpoczęła jazdę przez wiejskie tereny; deszcz lał tak gwałtownie, że wycieraczki nie nadążały czyścić przedniej szyby i ledwie widziała, dokąd zmierza. Wreszcie, po półgodzinnej jeździe opustoszałą krętą drogą dotarła do miasteczka z kościołem otoczonym długim

kamiennym murem, na którym wisiała tabliczka z napisem „Bandon”. Zboczyła zbytnio na zachód, ładnych kilka mil z właściwego kierunku.

— Cholera jasna! — sapnęła z irytacją, zatrzymując corseę na poboczu.

Mogła oczywiście zawrócić i znaleźć właściwą drogę do Macroom, ale coś takiego nie leżało w jej naturze. Jeśli będzie dokładnie trzymać się mapy, może dalej jechać na zachód, potem powinna skierować się na pokręconą górską szosę, która ją doprowadzi do Bantry, i wreszcie skręci na północ do Kenmare, czyli tam, dokąd od początku zmierzała. Sześciu czy siedmiu aroganckich londyńskich antykwariuszy leciało razem z nią samolotem i jeśli się spóźni, będzie musiała znosić szyderstwa na temat niezorganizowanych amateerek w handlu dziełami sztuki, co to nie umiałyby opróżnić georgiańskiego nocnika, nawet gdyby przeczytały wypisaną na dnie instrukcję.

Mały chłopiec w tweedowej czapce i przemoczonym pulowerze podszedł do samochodu i zapukał w szybę. Miał bladą, piegowatą twarz o niezwykle poważnym wyrazie.

— Czy pani się zgubiła, proszę pani? — dopytywał się.

— Zdaje się, że tak — przyznała. — Szukam drogi do Bantry.

— To nie będzie trudne — oświadczył. — Proszę jechać główną ulicą aż do kościoła. Potem skręci pani na prawo i pojedzie pod wzgórze, zakręci w lewo i dotrze pani do głównej szosy. Zjazd do Bantry jest w połowie drogi.

— Dziękuję. — Podniosła szybę w oknie, zanim uświadomiła sobie, że nie powiedział jej, kiedy mniej więcej ma się spodziewać owej „połowy drogi”. No i dobrze, pomyślała, to właśnie znaczy być w Irlandii. Mówią, że Irlandczycy są z wyboru szaleni.

Padło nieprzerwanie, znalazła jednak jakoś wąski nawrót, który zaprowadził ją do wzgórza.

Wycieraczki pracowały jak szalone i Sarah widziała co nieco z dzikiego, tonącego w zieleni pejzażu: góry, głązy i zasnute welonem deszczu doliny, jakby szła przez nie procesja upiornych panien młodych.

Prowadziła następne pół godziny, stopniowo pokonując dystans dzielący ją od Bantry. Przez cały ten czas widziała tylko jeden samochód: pędzącą farmerską półciążarówkę z zaparowanymi szybami. Wyprzedziła ją z szybkością sześćdziesięciu mil i oddaliła się pełnym gazem w pióropuszu wody.

Tuż przed drugą dotarła do małej wioski, w której była poczta i dwa puby. Zaparkowała koło tego o bardziej zadbanym wyglądzie, z szyldem „Russet Buli”, i wysiadła z auta. Deszcz ściekał po stromo opadającym dachu pokrytym łupkówką i gulgotał w rynnach. Wnętrze było długie, zadymione, z kamienną podłogą i wytartymi starymi ławami z drewna. W rogu piła piwo grupa hałaśliwych, roześmianych młodych ludzi. Przy końcu sali grało w smikera dwóch ubranych w tweedowe marynarki mężczyzn o zdecydowanych, twardych twarzach terrorystów. Z taśmy płynęły jakieś żalobne celtyckie pienia — smyczki i nawiedzone głosy. Pulchna dziewczyna za barem zapytała, czego Sarah sobie życzy.

— Może kanapkę, jeśli nie jest już zbyt późno.

— Późno? — spytała dziewczyna, okazując dyskretne zdumienie, jakby nie mogła zrozumieć, co ma pora dnia do prośby, o kanapkę.

Sarah usiadła naprzeciwko hałaśliwych młodych ludzi z olbrzymią kanapką z białego chleba, przełożonego plastrami szynki, i półkwatrką guinnessa. Mężczyźni o twarzach terrorystów obejrzeli ją dokładnie, zanim wznowili grę; jeden powiedział coś do drugiego i obaj zaśmiali się złośliwie i porozumiewawczo.

Na pokrytych kremowym tynkiem ścianach pubu wisały części zagadkowych rolniczych narzędzi o poczerniałych żelaznych zębach, ze zwisającymi łańcuchami i skórzanymi paskami, wyglądające raczej na narzędzia tortur Świętej Inkwizycji, i oprawione w ramki fotografie w sepii, przedstawiające mężczyzn o wyglądzie męczenników, ubranych w czapki i starannie pozapinane surduty. Deszcz rosił uparcie okna, taśma w nie kończącym się, skomplikowanym celtyckim lamencie opiewała utraconą miłość i upływający czas i Sarah doznała uczucia, że zostanie tu na zawsze, nigdzie nie wyjedzie.

Kończyła kanapkę, gdy dostrzegła siedzącego w odległym, ponurym, mrocznym kącie mężczyznę, ledwie widocznego przez wlokące się od stołu do gry w bilarda smugi papierosowego dymu. Ciemnowłosa, z głębokimi zatokami na czole, miał wypukłe guzowate kości policzkowe, przez co wyglądał jakby się patrzyło na znaną na pustyni czaszkę młodego wołu. Z miejsca, na którym siedziała, Sarah nie mogła widzieć ukrytych w cieniu oczu, ale była pewna, że ją obserwuje. Dłoń mężczyzny spoczywała na małym, stojącym przed nim stoliku — dłoń o długich palcach, z ciężkim srebrnym pierścieniem.

Poruszyło ją głęboko, że tak bardzo przypominał człowieka, który przyglądał jej się na lotnisku w Cork. Oczywiście wiedziała, że to nie on. Nie mógł przecież dotrzeć przed nią do wsi, nawet gdyby nie pomylił drogi do Macroom... a zresztą, skąd miałby wiedzieć, że będzie tędy podróżować i właśnie tutaj się zatrzyma?

Dokończyła kanapkę zupełnie nie czując jej smaku.

— Dobrej jazdy — powiedziała barmanka i Sarah ogarnęło zażenowanie, ponieważ nie przyszło jej do głowy pożegnać się. — Być może w Irlandii spełnią się pani serdeczne pragnienia — dodała dziewczyna, zupełnie jakby mówiła coś normalnego, przyjętego, w rodzaju „do zobaczenia” albo

„proszę na siebie uważać”.

Deszcz lał jeszcze silniej i Sarah musiała biec do auta. Odjeżdżając spod „Russet Buli” zerkała co chwila w lusterko, żeby zobaczyć, czy mężczyzna jej nie śledzi. Ale drzwi pubu nie otworzyły się i wkrótce straciła je z oczu, za zakrętem w kierunku Bantry.

Zrobiło się późno, jechała więc wśród gór najszybciej, jak tylko się odważyła. Deszcz bębnił w jezdnię niemal poziomo, wiatr uderzał w samochód, jakby chciał go zdmuchnąć poza krawędź

górkiego grzbietu i przetoczyć czterysta stóp do otwierającej się poniżej doliny. Woda wylewała się ze skalnych szczelin i rozpadlin kaskadami na wrzosa. Wycieraczki ledwie nadały się do zbierania deszczu z szyby.

Dotarła do biegnącej wzdłuż wybrzeża drogi i pojechała na północ w kierunku Kenmare, mijając pola namiotowe i pensjonaty. Niebo zaczęło się nagle przejaśniać z nienaturalną wprost szybkością i Kenmare powitało ją słońcem; szosa była sucha, jakby w ogóle nie padało. Miasteczko żyło z turystów, przecinały je dwie główne ulice, zabudowane sklepami, pubami i restauracjami, pomalowanymi w żywe czerwone, zielone i żółte kolory. „O'Leary's Pub”, „O'Sullivan's Diner”,

„Shamrock Souvenirs”... Sarah prowadziła powoli, wypatrując sklepu z antykami. Nawet w tak skomercjalizowanym miejscu można było upolować antyki w dobrym stanie i rozsądnej cenie, zwłaszcza kredensy i krzesła, pochodzące z okolicznych wiejskich domów. Spodobała jej się bieliźniarka z okresu regencji, zapisała więc telefon sklepu.

Wyjechawszy z Kenmare, skierowała się na zachód wąską drogą prowadzącą na półwysep Kerry. Dotarła do wielkiej bramy hotelu „Parknasilla” i wjechała na jego teren. Popołudnie było wspaniałe, a palmy i bambusy, rosnące wzdłuż podjazdu, rodziły złudzenie, że nie jest już w Irlandii, że przeniosła się na teren kolonii, pamiętnej Mandalay. Sam hotel był wielką gotycką budowlą i rozciągał się z niego widok na połyskujące wody ujścia Kenmare z jednej, a wciąż okryte do połowy nabrzmiałymi szarymi burzowymi chmurami góry Cahah z drugiej strony.

Światło dawało niezwykle efekty. Rozszczepiało się na falach rzeki, rzucając na cypel teatralne błyski.

Sarah rozpoznała antykwariuszy z Londynu i Brighton i uśmiechnęła się do Iana Caldecotta z Surrey, eleganckiego mężczyzny o rumianej twarzy, eksperta od mebli, który nauczył ją wszystkiego o krzesłach i stolikach do gry w karty. Uniósł panamę i podszedł się przywitać.

— Sarah, kochanie, nie sądziłem, że i ty przyjedziesz. Mogliśmy przecież razem podróżować.

— Do końca nie wiedziałam, czy się wybiorę. Dopóki Fergus mi nie powiedział, że będą sprzedawać dwa krzesła Daniela Marota.

— Naprawdę? Nie ma ich w katalogu.

— Zapewne nabytki z ostatniej chwili. Pochodzą z posiadłości Ballyclavan.

— Tak... no cóż, mam nadzieję, że nie będziemy się przelicytowywać zbyt ostro...

— Zawsze możemy połączyć siły.

— Bardzo nieładnie, Sarah. — Postukał palcem po skrzydełku nosa. — Nie chcemy chyba być posądżani o aukcyjne matactwa, co?

— Jeśli krzesła okażą się niezłe, będę je chciała mieć — ostrzegła go.

Portier wziął jej bagaż i weszła do holu, żeby się zameldować. Wnętrze było tak gotyckie i wielkie, jak to zapowiadał widok budynku z zewnątrz; szeroka klatka schodowa, słoneczny hol z krzesłami o ciężkiej, bogatej tapicerce. Uśmiechnięty chłopiec hotelowy o odstających uszach zaprowadził Sarah do pokoju.

— Mam nadzieję, że się pani u nas spodoba dwa razy bardziej niż nam panią u siebie gościć — oświadczył, kiedy wręczała mu napiwek.

Wyszedł, zanim do niej dotarło, co powiedział. Właściwie nie była pewna, czy sam wiedział, co mówi.

Zrzuciła kopnięciem buty i puściła wodę do wanny. Zdjęła żakiet i odpinając guziki bluzki podeszła do okna z widokiem na rzekę i odległe góry. Dziwna była myśl, że mniej niż dwie godziny temu prowadziła przez te góry auto w nawalnym deszczu, a teraz panowała pogodna, orzeźwiająca aura. Odwiesiła bluzkę i zaczęła odpinać biustonosz, kiedy zobaczyła w ogrodzie mężczyznę, stojącego w cieniu juki. Wydawało się, że patrzy w jej okno.

Wysoki, ciemnowłosy, ubrany na czarno. Twarz miał białą jak kartka z notesu. Stał nieruchomo i Sarah nie mogłaby z całą pewnością stwierdzić, że patrzył właśnie w jej okno. Po prostu był niezwykle podobny do mężczyzny z lotniska i tego z „Russet Buli”.

Wycofała się w głąb pokoju, tak by nie mógł jej widzieć. Usiadła na brzegu łóżka i nieoczekiwanie dla samej siebie stwierdziła, że ma sucho w ustach, a serce jej wali. Nie wygłupiaj się, Sarah, pomyślała, dziesiątki mężczyzn ubiera się na czarno i tyłuż ci się przygląda, w końcu wciąż prezentujesz się nie najgorzej. Zresztą, to najprawdopodobniej zwykły zbieg okoliczności, że wszyscy trzej wyglądali tak samo. Pomijając, że absolutnie nielogiczne byłoby zakładać, że człowiek z „Russet Buli” dotarł przed nią do hotelu, to kto i po co, u licha, miałby ją śledzić? Nie była bogata. Atrakcyjna, owszem, ale przecież nie filmowej urody. Według jej rozeznania, nawet w bagnistym świecie handlarzy antykami nikogo dotąd nie oszukała, nikomu nie nastąpiła na odcisk. Sprzedała kiedyś znanemu ujeżdżaczowi koni sekretarzyk, zakładając, że to Hodson, a kiedy okazał się falsyfikatem, nabywca zagroził jej spaleniem sklepu, o ile nie zwróci pieniędzy. To była najgroźniejsza wpadka, jaka jej się przydarzyła. No i przecież oddała mu pieniądze.

Wykąpała się, umyła włosy i przebrała w lekką szarą suknię gładko wykończoną pod szyją.

Punktem pierwszym programu dnia była lampka szampana dla kupujących, połączona z oglądaniem co bardziej wartościowych przedmiotów wystawionych na sprzedaż. Zeszła na dół do baru, gdzie siedziała większość antykwariuszy, opowiadając sobie dowcipy i zaśmiewając się z nich nieco zbyt głośno, prawie wszyscy przy trzeciej już szklaneczce.

— No to powiedziałem: skoro upiera się pan, że to wazon, kimże ja jestem, by twierdzić inaczej. Na wszelki wypadek, niech się pan jednak upewni, czy ludzie wyjmują kwiatek, który pan do niego włożył, zanim zaczną sikać.

— ...chciał ścisnąć dwoma palcami nos, żeby nie kichnąć, a tymczasem okazało się, że zaakceptował najwyższą cenę za dwa siodła na słońce, parasole i drabinki.

Sarah wzięła od kelnera kieliszek szampana i zaczęła krążyć po pokoju. Znała wielu ze zgromadzonych tu antykwariuszy, ale ledwie paru skinęło jej głową, a tylko jeden podszedł się przywitać — Raymond French, interesujący się zwłaszcza obrazami psów. Był wysoki, szczupły, niezwykle silny, miał niesamowity haczykowaty nos i mówił głosem, który mógłby ciąć diamenty.

— Sarah, wyglądasz soignee jak zawsze — powiedział. — Nie wiedziałem, że to też twoja specjalność.

— Chodzi mi o krzesła.

— Ach, krzesła. Zawsze byłaś nimi zainteresowana. No cóż, sam nie wiem... Jest w nich coś takiego, że zupełnie mnie nie ekscytują.

— Podobno mają sprzedawać Daniela Marota — powiedziała Sarah półgłosem.

— Sarah, zupełnie mnie to nie wzrusza. Ale poproś, żebym ci wyszukał Stebbingsa. Nie masz nawet pojęcia, jakie piękne malował cocker spaniele.

— Raymond, nie rozumiesz. Te krzesła to nie byle co. Daniel Marot był francuskim projektantem mebli, ale jako protestanta wygnano go do Holandii. Projektował dla Wilhelma Orańskiego, a kiedy ten wstąpił na angielski tron, przyjechał z nim do Anglii i wywarł ogromny wpływ na nasze wzornictwo. Cały barok... to znaczy, mam na myśli, że dopóki się nie pojawił, angielskie krzesła były niezwykle proste w formie; u Marota są wysokie oparcia, rzeźbienia, ozdabiane frędzlami siedzenia, wygięte nóżki. Tchnął w nie tyle życia...

— Sarah, czyja wiem...? Krzesło to krzesło. Może i ma cztery nogi, ale nie ma sensu rzucać mu patyka...

— Jesteś niemożliwy — roześmiała się i w tym samym momencie zdała sobie sprawę, że ktoś przy niej stoi. Ktoś wysoki, tuż za jej ramieniem. Zrobiła półobrót w lewo i stanęła twarzą w twarz z ciemnowłosym, szczupłym mężczyzną, który przyglądał się jej, gdy stała w oknie.

Z bliska wyglądał na znacznie przystojniejszego, choć w pewien mroczny sposób; miał czarne brwi, niezwykle białą, dziobatą cerę, ostro zarysowany profil i bursztynowe oczy. Od prawego kąca ust biegła przez podbródek biaława blizna. Ubrany w głęboką czerń, rzekłbyś: pogrzebową —

koszula, garnitur, nawet krawat. Pachniał jakimś dyskretnie wabiącym zapachem, czymś staroświeckim, jakby płynem do włosów, lawendą, wonią szczelnie pozamykanych pokoi w ekskluzywnych hotelach.

— Przepraszam, że państwu przeszkadzam — odezwał się. Głos miał miękki i niski, mówił z wyraźnym irlandzkim akcentem; było to jak głaskanie wielkiego czarnego kota pod włos. — Nie mogę się powstrzymać, skoro usłyszałem nazwisko Daniela Marota.

— Zajmuje się pan meblami? — spytała Sarah, a jej serce znowu zaczęło bić pospiesznie.

— Zajmuję się... — uśmiech wypływał na jego twarz — wyszukiwaniem dla ludzi tego, czego pragną.

— Z Marotami włącznie?

— Wszystkiego, pani Bryce.

— Trochę mnie dziwi, że zna pan moje nazwisko. — Poczwała, że się czerwieni.

— Nietrudno było je odgadnąć; jest pani tu jedyną kobietą. Pozwoli pani, że się przedstawię: Seath Rider.

— Jest pan także antykwariuszem?

— W pewnym sensie. To dziwne zajęcie, zgodzi się pani, wyszukiwać obrazy i meble, zabierać je z ludzkich domów, jakby się wydzierano kawałki cudzego życia, uszczuplało czyjąś egzystencję, tak bym to ujął.

— Jeśli pan to w ten sposób przedstawia... — Nic na to nie mogła poradzić, ale przyciągała ją aura tego człowieka. Wyczuwało się ją, jakby był naładowany elektrycznie. Pomyślała, że gdyby go dotknęła, iskry wystrzeliłyby jej z koniuszków palców. Nigdy dotąd nie zareagowała tak na żadnego mężczyznę i zupełnie nie wiedziała, co ma z tym począć. Był w tym seksualizm, ale i strach. Nie wyglądał na kogoś, komu łatwo byłoby się sprzeciwić czy warto narazić.

— Są dwa krzesła Marota, widziałem je.

— Zna się pan na meblach? W jakim są stanie?

— Doskonałym, pani Bryce — odpowiedział z ledwie widocznym uśmiechem, złączywszy wskazujący palec i kciuk w kółeczko. — Tysiąc siedemset piąty lub coś koło tego. Nie za długo od czasu, gdy ujrzały światło dzienne jego projekty. Z tego, co wiem, zostały zrobione w Londynie przez Shearleya na specjalne zamówienie i przywiezione tutaj zaraz po zbudowaniu Ballyclavan.

— Przystąpi pan do licytacji? — zapytała wprost. Potrząsnął głową.

— Mnie one nie interesują, pani Bryce, choć wiem, że panią tak.

— Skąd pan wie? — Przyglądała mu się uważnie, gdy podnosił kieliszek z szampanem i pociągał łyżeczek. Nosił na palcu ciężki srebrny pierścień z wyrytą na nim twarzą bestii. Aż nieprawdopodobne, by był to tylko zbieg okoliczności, chociaż nie mogłaby przecież przysiąc, że to ten sam pierścień, który widziała u mężczyzny z „Russet Buli”.

— Obracam się tu i ówdzie — rzekł, a jej zaczął się podobać miękki irlandzki akcent. —

Wiem, kiedy ludzie pragną czegoś z całego serca i znam granice, do jakich zdolni są się posunąć, by

to uzyskać.

— Ma pan własny sklep? — zapytała.

— Niekoniecznie sklep. Raczej rodzaj targowiska wyobraźni, gdzie można kupić wszystko, co się zechce. Proszę. — Wręczył jej wizytówkę: „Seath E. Rider, Pozyskiwacz, Londyn i Dublin”. Nie było adresu, tylko numer telefonu komórkowego. — Jeśli odczuje pani nieodpartą potrzebę posiadania osiemnastowiecznego stolika na trzech nóżkach, na przykład, znajdę go dla pani i dostarczę w mgnieniu oka. Czegokolwiek takiego pani zapragnie.

— Tak... niezwykle interesujące, panie Rider. Postaram się pamiętać.

— Właśnie na to miałem nadzieję, pani Bryce. — Skinął głową, wypowiedziawszy te słowa, i wmieszał się w tłum, idąc, jakby się ślizgał, zupełnie jak papierowa figurka z dziecięcego teatrzyku.

— No i co o nim powiesz? — odezwał się Raymond. — Raczej louche, nie uważasz? I kto to jest pozyskiwacz? Nie znam takiego słowa.

— Nie mam pojęcia — odparła Sarah, usiłując wypatrzeć, gdzie zniknął Seath Rider. — Wydał mi się nawet atrakcyjny, chociaż nie budzący zaufania.

— Na tym polega kłopot z kobietami — oznajmił Raymond. — Pokaż im porządnego, wzbudzającego zaufanie mężczyznę, a nie zaszczyca go powtórным spojrzeniem. Co innego taka kreatura, od razu padają na plecy z wysoko uniesionymi nogami.

— Wiesz co, Raymond? — spojrzała na niego bacznie. — Coś mi się wydaje, że ty też uznałeś go za atrakcyjnego.

Tego wieczoru po kolacji poszła na spacer po hotelowych ogrodach. Słońce zapadało się właśnie w ujściu Kenmare, od południowego zachodu wiał lekki wietrzyk, ciepłe powietrze pachniało morzem, mewy krążyły jej nad głową. Przechodziła obok pustych o tej porze, małych, dyskretnie odosobnionych ogródków, otoczonych wysokim żywopłotem, w środku stały odlane z żelaza wiktoriańskie stoliki i krzesła, niektóre z nich były poprzewracane. Czowała się, jakby wędrowała przez ogrody z „Co Alicja zobaczyła po drugiej stronie lustra” albo weszła w któryś z rysunków Edwarda Goreya.

Pomyślała, jak bardzo ojcu podobałoby się to miejsce. Uwielbiał lekką pompę; Sarah nigdy nie zapomni, jak zabrał ją pierwszy raz na obiad do Savoya. Nie był bogaty, prowadził sklepik z zabawkami na przedmieściach południowego Londynu, ale zawsze dobrze ubrany, uprzejmy, szarmancki i Sarah ledwie doszła do siebie, gdy w wieku sześćdziesięciu jeden lat zmarł, doznawszy rozległego ataku serca.

Przysięgłaby, że słyszy rozmowy, przechodząc wśród mrocznych, odgradzonych ogródków, choć każdy z nich był pusty i mroczniał coraz bardziej, w miarę jak słońce się zniżało. Słyszała głos żarliwie spierającej się dziewczyny i mężczyzny, usiłującego do czegoś ją przekonać. Nie odkryła, gdzie by mogli być. Pewnie gdzieś za żywopłotem, a wiatr niósł głosy.

Doszła do wybrzeża, fale przyływu rozbijały się na płyciźnie o przybrzeżne skałki. Mola łączyły z terenem hotelowego parku dwie małe, porośnięte drzewami wysepki, rysujące się wyraźnie na morzu na tle nieba. Za mniej więcej dwadzieścia minut powinno się zrobić ciemno. Chmury nad górami poczerniały, na zachodzie zbierała się warstwa cumulusów, grożąc ulewą z piorunami. Jakby demon zawisł na niebie, rogaty, z rozwartymi skrzydłami, usiłujący wznieść się ponad żar zachodzącego słońca.

Myślała, że jest tutaj sama, ale kiedy weszła na molo, zobaczyła, że przed nią w tym samym kierunku co ona idzie ktoś jeszcze. Wysoki mężczyzna o posiwiałych włosach, w granatowym blezerze i szarych spodniach. Szedł szybko, ale z powodu odstępów między deskami nierównym krokiem. Przystanęła, oceniając ręką oczy, pewna, że go rozpoznaje. Było coś tak dobrze znajomego w lekkim pochyleniu pleców, sposobie, w jaki pacnął dłonią komara. Te same, znajome włosy.

Pamiętała, jak ojciec zawsze powtarzał, że można zmienić twarz, ale nie to, jakie wrażenie robi się z tyłu.

— Tata? — wyszeptała, zbyt przestraszona, by odezwać się głośno. A ponieważ szedł dalej, wykrzyknęła: — Tata!

Dotarł właśnie do końca pierwszego molo i przemierzał mały skalisty odcinek wysepki, gdzie do dyspozycji gości hotelowych stały przebieralnie i ławki, na których siadywali rodzice, obserwując pływające dzieci. Szedł dalej w stronę lasu.

— Tato! To ja, Sarah, tato! — krzyczała, przerażona i zszokowana. Zrzuciła buty i pobiegła boso po molo. Wchodził w cień drzew, gdy krzyknęła raz jeszcze: — Tato! No poczekaj minutkę!

Poczekaj na mnie!

A przecież, choć za nim biegła, wiedziała, że to nie może być on. Nie żył, więc to nie mógł być on. Ale... to był on. Przecież wyglądał tak samo. Na litość boską, nie istnieje na tej ziemi dwóch mężczyzn o takich samych włosach, chodzących nierówno w ten sam sposób i równie irytująco wymachujących dłonią, by odgonić komary!

Dotarła do przebieralni i złapała równowagę, opierając się ręką o ławkę, drugą nasunęła z powrotem na nogi pantofle. Wciąż go widziała: szedł ocienioną ścieżką, prowadzącą wśród drzew w głąb wysepki. Oddalony o jakieś sto stóp, przystanął na moment i rozejrzał się wkoło. Nie widziała wyraźnie jego twarzy, a jednak utwierdziła się w przekonaniu, że to ojciec.

— Tata! Stój! — wykrzyknęła rozpaczliwie i znowu zaczęła biec. Jej stopy kruszyły ostatnie opadłe jesienne liście.

Słyszał czy nie, odwrócił się i zniknął w lesie.

Dobiegła do zakrętu i stanęła. Widziała stąd wyraźnie na całej długości wąską, pokrytą splątanymi korzeniami ścieżkę, schodzącą do małego przesmyku między wysepkami. Woda połyskiwała poprzez

drzewa, ale nie było ani śladu mężczyzny o białych włosach. Nasłuchiwała, ale dochodził ją tylko uspokajający szum fal na kamienistej plaży i brzęk owadów w lesie. Tuż nad nią zadrżał konwulsyjnie pojedynczy liść i spadł, wirując. Nic więcej.

Stała co najmniej dwie minuty, wciąż nasłuchując, ale było oczywiste, że nikogo tutaj nie ma.

Musiała sobie to wszystko wyobrazić, chociaż wyglądał tak realnie. Pewnie zmęczyła ją podróż przez góry, a potem popołudnie spędzone na wygadywaniu głupot. Wypiła pół butelki chablis do kolacji, może to wywołało halucynacje, złudzenie, wspomnienie... czy też cokolwiek to było.

Podniosła rękę do twarzy i stwierdziła, że łzy płyną jej po policzkach. Tak bardzo pragnęła jeszcze raz zobaczyć ojca. Tak bardzo pragnęła, by żył. Trwało to sześć miesięcy, nim przyjęła jego śmierć do wiadomości, i wciąż nieoczekiwanie dla samej siebie zaczynała płakać, usłyszawszy jego ulubioną piosenkę, poczuwszy znajomy zapach tytoniu albo usłyszawszy na ulicy gwizdzącego fałszywie mężczyznę.

Odwróciła się i dosłownie podskoczyła. Nie dalej niż dziesięć stóp od niej stał Seath Rider i przyglądał jej się z rękami w kieszeniach.

— Boże, ale mnie pan wystraszył.

— Przepraszam, nie zamierzałem. Zobaczyłem, jak się pani zagłębia w las i pomyślałem, czy nie pragnie pani czyjś towarzystwa.

— Raczej nie, dziękuję panu. Zresztą i tak już wracam, robi się późno.

— Wielka szkoda. Mógłby to być przemiły spacer i nie zająłby nam więcej niż piętnaście minut.

— Jest mi zimno — powiedziała, próbując precyzyjnie się obok niego, ale złapał ją za ramię, stanowczym, choć nie szorstkim gestem.

— Popłakiwała pani sobie.

— To nic takiego, zwykłe uczulenie.

— Sądzi pani, że uwierzę?

— Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, w co pan wierzy.

— Och, niech pani da spokój — powiedział tym kojącym jakbyś głaskał kota głosem. — Nie ma co zachowywać takiej rezerwy, staram się być przyjacielski. Wiem, jak to jest, kiedy się traci kogoś drogiego. Wszyscy mówią: otrząśniesz się z tego, ale to nigdy nie następuje.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

— Skąd pan wie? — zapytała.

— Przepraszam, ale skąd wiem co?

— Skąd pan wie, dlaczego płakałam.

Spojrzał na nią jak żaden mężczyzna do tej pory. Naga-bująco, z mieszaniną pożądania i zachłanności. Miała nieprzyjemne uczucie, że doznał erekcji.

— Kręcę się tu i tam, i ówdzie — powiedział. — Rozumie pani.

— Skąd pan wiedział, dlaczego płakałam?

— No... proszę o tym nie myśleć. Po prostu intuicja. Wie pani, jacy są Irlandczycy. Zamknięci w swoim klanie, drażliwi, ckliwi, zbyt sentymentalni, szybcy do obrażania się i przeraźliwie nieskłonni, by wybaczyć. Rządzi nimi magia, tak, ale nie w, sposób, jaki wyobrażają to sobie turyści.

Żadne te wasze dobre duchy, krasnoludki, czarodziejskie kamienie z Blarney i tego typu banialuki.

Zupełnie inna magia, ot co.

Sarah czekała, czy udzieli jej dalszych wyjaśnień, ale milczał, więc zabrała ramię.

— Jestem zmęczona. Lepiej wrócę do hotelu.

— Coś pani traci, proszę mi wierzyć.

— Pewnie tak. Ale nie zawsze możemy mieć to, co chcemy, prawda?

— Och, myślę, że się pani co do tego myli. — Oczy zabłyśły mu w wieczornym świetle; wysoki, czarnowłosy, nad głową pobrzękiwała mu korona z komarów. — Zawsze możemy mieć to, czego pragniemy.

Wahała się jeszcze przez chwilę, sama nie wiedząc dlaczego, ale w końcu ruszyła w stronę ławek i przebieralni.

Ujście rzeki miało liliowe zabarwienie, właściwie liliowo-szare, woda chlupotała nieustająco.

Obejrzała się raz, ale nie dostrzegła Seatha Ridera; albo cień krył już wszystko, albo poszedł dalej. Nie rozumiała, co się właściwie stało. Ani tego, jak mogła sobie wyobrażać, że widzi ojca, ani w jaki sposób tak nieoczekiwanie zniknął. Nie rozumiała też, skąd u Seatha Ridera taka dojmująca przenikliwość co do żywionych przez nią uczuć. „Tu i tam, i ówdzie” — cóż to, do cholery, miało znaczyć?

Poszła z powrotem przez ogrody. Tym razem nie słyszała żadnych głosów, tylko śmiechy z hotelowego holu i trzask zamykanych drzwi samochodu. W środku panowało duże ożywienie, było gwarno, podeszła więc do baru, żeby sprawdzić, czy nie uda jej się wypić ostatniej szklaneczki przed snem w towarzystwie kogoś znajomego.

Aukcja była nieudana. Część najlepszych eksponatów wycofano, łącznie z obrazami Jacka Butlera Yeatsa i sir Johna Lavery'ego i szkicami w atramencie Williama Orpe-na. Ku wściekłości Iana Caldecotta wycofano także szafę na książki, której kupno zlecił mu zamożny rockowy muzyk, życzący sobie, by ozdabiała jego bibliotekę.

Sarah, o dziwo, czuła zadowolenie, że tyle pięknych rzeczy zostanie w Irlandii. Dźwięczały jej w pamięci słowa Seatha Ridera: "Jakby się wydzierzało kawałki cudzego życia". A jednak pragnęła krzesła Daniela Marota. Obejrzała je dokładnie dzisiaj rano w dziennym świetle i stwierdziła, że są doskonałe. Z wysokimi, przepięknie rzeźbionymi oparciami, z rzeźbionymi nóżkami i rozporkami, oryginalną tapicerką w wyblakłe różowe róże i z frędzlami. Tak doskonale utrzymane, że wyglądały na nowe. Przesunęła nawet dłońmi po rzeźbieniach; drewno było ciepłe i gładkie jak skóra.

W czasie licytacji siedziała w końcu pokoju konferencyjnego. Musiało być co najmniej dwustu antykwariuszy; słońce wpadało przez okna, oświetlając ich, i przypominali Sarah parafian siedzących w kościele: tu łysawa głowa, połyskująca skórą mimo starań właściciela, by kunsztownie zaczesać resztę włosów; gdzie indziej para wielkich odstających przeraźliwie czerwonych uszu; to znowu para brudnawych okularów ze śladami paluchów; a wystarczająco blisko, by odczuwać dyskomfort, czarna marynarka szczerze upstrzona łupieżem.

Prowadzący licytację był łysy, różowutki na twarzy i gładki jak kula bilardowa, nosił garnitur i okulary w drucianej oprawie. Mówił z prowincjonalnym akcentem, trudno go było zrozumieć i Iana Caldecott wpadł w prawdziwą furję, gdy przegapił z tego powodu stolik do pisania z czasów regencji.

Na końcu wniesiono krzesła Daniela Marota i ustawiono je na podium, Iana Caldecott obejrzał

się do tyłu na Sarah i zrozumiała, że będzie miała kłopot. Też je chciał dostać, i to równie rozpaczliwie jak ona, a że mógł wydać sporo pieniędzy, istniała groźba, że wysoko wywinduje cenę.

— Pozycja sto sześćdziesiąt siedem. Dwa krzesła, około tysiąc siedemset piętego, zaprojektowane przez Daniela Marota, przypisywane Josiahowi Shearley z Londynu. Cena wywoławcza trzy tysiące funtów za obydwa.

Sarah zamachała prospektem, a Iana Caldecott wznosił w tym samym momencie palec. Tym razem nie obejrzał się do tyłu.

— Trzy tysiące pięćset, czy ktoś da więcej?

Sarah znowu uniosła prospekt, a Iana Caldecott palec.

— Cztery tysiące.

Sarah zakładała, że odsprzeda je po trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt funtów sztuka, choć może było to lekko naciągane. Żeby osiągnąć jakiś zysk, powinna przestać licytować przy sześciu tysiącach. Inaczej nie pokryje ceny przelotu, hotelu i wynajęcia szmaragdowozielonej corsy. Ale naprawdę chciała je kupić. Miały wartość historyczną; po prostu były piękne. Dokumentowały ten

moment, gdy w angielskie meble wreszcie tchnięto życie.

— Cztery tysiące pięćset po raz pierwszy. Ruch prospektu i palca.

— Pięć tysięcy.

Przez salę przeszedł pomruk. Cena niemal sięgnęła rzeczywistej wartości krzesel i stało się jasne, że licytacja przerodziła się we współzawodnictwo między Sarah i Ianem Caldecottem —

doświadczonym koneserem i jego niepokorną młodą uczennicą.

— Pięć tysięcy pięćset.

Ian Caldecott zawahał się, ale przystąpił do dalszej licytacji. Sarah też.

— Sześć tysięcy po raz pierwszy. Sześć tysięcy funtów. Tym razem Sarah się zawahała. Doszli do granicy tego, co mogła wydać. Zarobię coś ekstra na szybkiej sprzedaży, pomyślała. Dopiero co kupiła w Lymington walijską komodę, która powinna przynieść sześćset pięćdziesiąt funtów, nawet nie odrestaurowana, no i miała dwa obrazy Thompsona Hobbsa, które zamierzała odnowić, ale i tak powinny dać czterysta, pięćset funtów.

— Sześć tysięcy po raz trzeci — powiedział prowadzący aukcję, ale Sarah zamachała prospektem.

Ian Caldecott po raz pierwszy od początku licytacji odwrócił się i spojrzał na nią. Chciała się do niego uśmiechnąć, ale furia na jego twarzy sprawiła, że uśmiech zamarł, zanim się zrodził.

— Sześć tysięcy pięćset. Siedem.

Wiedziała, że przekroczyła wszelki limit. Jeśli wylicytuje jeszcze coś więcej, nigdy nie odzyska wyłożonych pieniędzy i nic już nie kupi w Parknasilla, by choć trochę zredukować straty. Mimo to zamachała prospektem.

— Siedem tysięcy pięćset. Czy ktoś da więcej? Siedem tysięcy pięćset wylicytowane przez panią Bryce.

Są moje, pomyślała w przyływie triumfu. Moje! Ian Caldecott uniósł palec.

— Osiem — powiedział licytator.

Wszyscy obejrzeni się na Sarah i o mało nie wybuchnęła płaczem. I tak już podjęła zbyt wielkie ryzyko; koniecznie chciała pokazać Caldecottowi, że jest w stanie pobić go jego własną bronią, ale przecież nie popełni finansowego samobójstwa w imię dwóch krzesel.

— Osiem tysięcy funtów wylicytowane przez pana Caldecotta. Sprzedane za osiem tysięcy.

Sarah wstała i wyszła z pokoju konferencyjnego, nie oglądając się za siebie. Wyszła na zewnątrz, w słońce błyszczące na wodzie i szelest juk. Po raz pierwszy od siedmiu lat odczuła pokusę, by zapalić.

Po raz pierwszy od trzech pożałowała, że nie ma z nią Kena, że nie może z nim porozmawiać. Przy wszystkich jego wadach i humorach, zawsze potrafił ją podnieść na duchu i sprawić, że się śmiała. Oparła się o balustradę, zza której rozciągał się widok na ujście rzeki, wiatr dmuchał jej w twarz. Usłyszała ciche kroki, na płytach chodnika pojawił się czyjś cień i o poręcz obok niej oparł się Seath Rider, jak zwykle ubrany na czarno.

— Kolejny piękny dzień — zauważył. — Według legendy można stąd zauważyć Atlantyde, jeśli pogoda sprzyja; podobno odbija się na niebie.

Sarah nie odezwała się do niego, ale przeczesła dłonią włosy.

— Ma pani ponurą minę — stwierdził Seath Rider. — Założę się, że krzesła panią ominęły.

— Tak, panie Rider. Ominęły mnie te przeklęte krzesła. Poszły za osiem tysięcy, a ja nie mogłam sobie na tyle pozwolić.

— Ogromna szkoda. To przepiękne krzesła. Obydwa.

— Bóg jeden wie, w jaki sposób Ian ma zamiar odzyskać pieniądze. Są warte zaledwie sześć.

— Może nie chodziło mu o odzyskanie pieniędzy. Może prostu nie chciał, żeby to pani je miała. Wie pani, jacy są niektórzy antykwariusze: jak pies ogrodnika. Szczególnie, gdy w grę wchodzi kobieta. Przewrażliwieni na punkcie kobiet, większość z nich, a zwłaszcza podstarzali koneserzy.

— Pakuję się i jadę do domu, chociaż nic jeszcze nie kupiłam.

— Nie wolno pani w ten sposób myśleć — z uśmiechem potrząsnął głową. — Nic dobrego z tego nie wynika, jeśli człowiek się podda.

Milczała. Zresztą nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Stała chwilę, a potem zostawiła go przy barierce i wróciła do hotelu. W holu spotkała Iana Caldecotta. Oczy mu lśniły, sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.

— Nieźle mi upuściłaś grosza, Sarah — oświadczył. — Pozwól, że ci postawię kieliszek szampana.

— Prawdziwy z ciebie bydlak, stary i głupi — odparła. — Trzeba się było zgodzić nie brać udziału w licytacji i podzieliłibyśmy się zyskiem. Wiedziałaś, jak bardzo chciałam je mieć. A tak oboje zostajemy z niczym.

— Tylko sobie przypomnij, kto cię wszystkiego nauczył.

— Nie zapomniałam i pewnie nigdy nie zapomnę. Nauczyłam się jednej rzeczy: uczeń nie powinien ufać nauczycielowi. Zwłaszcza zazdrosnemu nauczycielowi.

Poszła na górę i wszedłszy do pokoju, cisnęła prospekt na stół. Świeciło słońce, ogrody za oknem rozświetlała gra światła i cieni, nawet góry rysowały się czysto. Seath Rider wciąż stał oparty o barierkę, ale nie spoglądał na wodę; obserwował Sarah. Nie wiedziała, czy z poważnym wyrazem

twarzy, czy z uśmiechem; był za daleko. Stała nieco za zasłoną, by nie mógł jej widzieć, i zaczęła się zastanawiać, kim właściwie jest ten człowiek i dlaczego tak się nią interesuje. Może zachowuje się w ten sposób wobec wszystkich kobiet, które spotyka. Ale przecież nie słyszała, żeby rozmawiał z jakąkolwiek kobietą jak z nią, ani nie widziała, by wpatrywał się w okna innych kobiet.

Zaczynała przeczuwać, że w jakiś niewytłumaczalny sposób są ze sobą związani — że ich przyszłe losy zostały ze sobą splątane. Nemesis, mroczny cień, obietnica niespodziewanego.

Mężczyzna ze snów.

Godzinę później podeszła znowu do okna; był tam i obserwował ją.

Następnego dnia powietrze było świeższe i chłodniejsze, ubrała się więc w dżinsy i zrobiony wężykiem sweter. Wyruszyła po śniadaniu i dojechawszy do Sneem, niewielkiej wsi, usiadła w pubie

„U O'Sullivanów" nad szklaneczką guinnessa, żeby napisać pocztówki do przyjaciół. Potem podjęła podróż na zachód; przemierzała pola i góry, zostawiając po lewej połyskujące ujście Kenmare i wreszcie bładozielone wody Oceanu Atlantyckiego, niewzruszenie wyrzucającego na plażę wodorosty. Dotarła do miasteczka o nazwie Carhicvean, zaparkowała przy głównej ulicy i zaczęła szukać sklepu z antykami. Wyszukała niezły klęcznik z wyściełanym siedzeniem i chińską gablotkę, którą kupiła za niecałe czterysta funtów, stolik z Sutherland, oryginalny Jennens i Bettridge, inkrustowane macicą perłową i ozdobione pozłacanymi kwiatami.

Miała właśnie wyjść z ostatniego sklepu, kiedy wydało jej się, że widzi Kena idącego ulicą w stronę pubu. Nie mógł to być on, niemniej mężczyzna nosił ten sam płócienny błękitny kitel, w którym Ken malował, te same okropne brązowe codzienne buty, miał nawet taką samą strzechę brązowych włosów. Sarah odwróciła się do właścicielki sklepu.

— Czy widziała pani kiedykolwiek kogoś, kto umarł? — zapytała.

— Cóż, niezwykle pytanie — odpowiedziała kobieta, policzki jej poróżowiały, była wzburzona. — Tak, mamę i tatę w trumnach i wujka Joe.

— Ale nie kogoś, kto umarł, spacerującego po ulicy? Albo kogoś, kogo nie powinno być w danym miejscu, żywego czy martwego?

Kobieta spojrzała na nią dziwnie, lekko wytrzeszczając oczy.

— Nie sądzę. A gdyby, uciekałabym na kilometr — stwierdziła, wycierając dłonie małym ręczniczkiem.

— Przepraszam — powiedziała Sarah. — Dam pani znać, kiedy zaaranżuję wysyłkę.

Szła z ociąganiem ulicą. Popołudnie było wietrzne, przesuwające się chmury odbijały się w szybach domów, jakby mijała telewizyjne ekrany z tym samym obrazem. Pomalowany na ciemnoczerwony jak wątroba kolor pub ozdabiały stylizowane liście koniczyny.

Weszła do środka. Samotny smutny mężczyzna o siwych, ostrzyżonych na jeża włosach i zapadniętych policzkach przecierał szkła okularów. Wyglądał jak gorszy brat Samuela Becketta.

— Czy jest już otwarte? — spytała Sarah.

Odwrócił się i zamrugał oczami, jakby przenigdy nie spodziewał się klienta tak wczesnym popołudniem.

— Oczywiście, że otwarte. Inaczej by pani przecież nie mogła wejść.

Sarah odwróciła się do drzwi.

— Nie mogłabym wejść... no tak...

— Cicho tu, bo we wtorki nie ma zbyt wielkiego ruchu. Czy chciałaby się pani czegoś napić?

— Tak, poproszę guinnessa.

Odwróciła się i był tam. Siedział w trójkątnym snopie słonecznych promieni, dłoń ze srebrnym sygnetem spoczywała na blacie stołu, światło rozszczepiało się w stojącej przed nim szklaneczce whiskey. Wzięła piwo, podeszła do niego i przysunęła sobie krzesło.

— Coś się tutaj dzieje — powiedziała, zanim zdążył się odezwać. — Coś, czego nie rozumiem.

Myślałam, że widzę mojego byłego męża, jak tu wchodzi, a okazuje się, że to pan.

— Nie musiała tu pani wstępować — oświadczył.

— Nie, nie musiałam. Ale wstąpiłam. Nie rozumiem, jak to możliwe, by wyglądał pan jak Ken.

Ani tego, skąd miałby pan wiedzieć, jak on wygląda. Ale to pan, prawda? Zeszłego wieczoru był pan moim ojcem. Ma pan jakiś dziwny talent. W odgadywaniu, czego potrzebuję, czego pragnę. Co to jest? Hipnoza? Coś w tym rodzaju? A może jestem tak cholernie łatwa do rozszyfrowania, że obywa się pan bez hipnozy? Czy to jakaś sztuczka? O co chodzi? Czego pan chce?

— Dlaczego pani się tak irytuje, kiedy jedyna rzecz, jakiej chcę, to zadowolić panią? —

spojrzał smutno.

— Jak? Śledząc mnie? Sprawiając, że myślę...

— Proszę, pani Bryce. Niczego nie sprawiam. Wszelkie pani myśli i pragnienia zależą wyłącznie od pani.

— Tak czy owak, jutro natychmiast z rana wyjeżdżam. Nie dostałam krzesel Daniela Marota, ale kupiłam dość, żeby pokryć wydatki.

— Piję za to, pani Bryce — wzniosł szklaneczkę.

I chociaż zupełnie go nie rozumiała i uważała za dziwaka, a nawet ją przerażał, Sarah także uniosła szklanę.

W jej pokoju w Parknasilla czekały na nią dwa krzesła. Weszła i zobaczyła je: stały jedno przy drugim, lekko ku sobie skierowane, jakby dopiero co siedziało na nich dwoje ludzi rozmawiając ze sobą. Podeszła nie dowierzając i dotknęła ich; były rzeczywiste. Solidne, rzeźbione, z wysokimi oparciami, podpórki wygięte kapryśnie, jakby żyły własnym życiem. Zawsze ją zdumiewało, jak niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że meble — jak obrazy, rzeźby czy muzyka — muszą najpierw zaistnieć w czyjejs wyobraźni i że trzeba to wyobrażenie upostaciować, aby inni mogli je widzieć, dotykać. Tak, nawet siadać.

Usadowiła się na łóżku i zapatrzyła na nie. Ian Caldecott nie poczuł aż takiej skruchy, żeby je oddać, tego była pewna. A gdyby, nie zataszczyłby ich do jej pokoju, to jasne. Natychmiast po sprzedaniu miały być zapakowane do skrzyń i wysłane do Londynu.

Ogarnęło ją dziwne przeczucie, że Seath Rider maczał w tym palce. Nic jej o tym nie było oczywiście wiadomo, ale to zupełnie w jego stylu. Nie sterroryzował chyba Iana Caldecotta... a może zrobił coś jeszcze gorszego? Złapała za słuchawkę i poprosiła recepcję, żeby ją połączono z pokojem pana Caldecotta.

— Przepraszam, pani Bryce, czy mogłaby pani powtórzyć nazwisko?

— Caldecott. Ian Caldecott. Nie znam numeru pokoju, to antykwariusz.

— Powiedziała pani: Caldecott? Nikt taki nie jest u nas zameldowany.

— Ależ tak. Widziałam go dzisiaj rano.

— Jest pani pewna, że tu mieszkał, może po prostu przyszedł tylko na aukcję?

— Oczywiście, że jestem pewna. Mówił mi nawet, jak bardzo podoba mu się pokój. Proszę mnie połączyć z licytatorami, może oni będą wiedzieli, gdzie go znajdzie.

Czekała co najmniej pięć minut, wysłuchując w kółko melodyjki w telefonie, wreszcie odezwał się kulturalny głos:

— O'Shaughnessy i Drum. Drum przy aparacie.

— Och, dzień dobry, panie Drum. Bryce z tej strony.

— Dzień dobry, pani Bryce. Czym mogę pani służyć? Pozwoli sobie pani pogratulować krzesel? Prawdziwa okazja, musi pani przyznać.

— Przecież nie mnie się dostały, Ian Caldecott mnie przelicytował.

— Przepraszam...?

— Zostałam przelicytowana przez Iana Caldecotta. A teraz krzesła pojawiły się w moim pokoju.

— Powiedziała pani, że chciałyby mieć szansę popodziwiać je choć przez chwilę, zanim zostaną wysłane.

— Panie Drum... — była tak zmieszana, że ledwie mogła mówić — to jakaś omyłka. Ja nie... ja przecież nie...

— Przepraszam, pani Bryce, czyżbyśmy nie zrozumieli pani instrukcji? Jeśli życzy sobie pani, by zostały natychmiast zapakowane, z przyjemnością to zrobimy.

— Ależ to nie są moje krzesła, panie Drum! Kupił je pan Caldecott!

Przez moment trwała niezręczna cisza. W końcu usłyszała:

— Dokumenty mówią coś innego, pani Bryce. Było dwóch poważnych licytatorów, to prawda, i jednym z nich jest pani, ale drugim pan James McGuinness. Skończył licytować przy pięciu i pół tysiącach i poszły pod młotek na rzecz pani.

— Chyba oszalałam. Albo ja, albo pan. A co z Ianem Caldecottem?

Znowu cisza. Jeszcze dłuższa niż przedtem. Wreszcie padło:

— Bardzo mi przykro, pani Bryce, naprawdę źle się czuję zmuszony negować słowa tak znamienitej klientki jak pani, ale z tego, co mi wiadomo, nie było nikogo takiego na aukcji, nigdy zresztą nie słyszałem o takim antykwariuszu. Jedyne Caldecott, o jakim wiem, ilustrował książki dla dzieci. Randolph Caldecott. Umarł ponad sto lat temu.

— Nigdy nie słyszał pan o Ianie Caldecocie?

— Nie, pani Bryce, nigdy.

Opuściła słuchawkę. Dobiegał ją słabo głos Druma powtarzającego: halo? halo? — jakby komar brzęczał zamknięty w pudełku po zapalkach. Widziała Druma, jak rozmawiał z Ianem Caldecottem, ścisnął mu dłoń. Teraz twierdził, że nigdy o nim nawet nie słyszał. „Halo! Halo!” — brzmiało nalegająco, więc przerwała połączenie.

Podeszła do krzeseł i stanęła między nimi, kładąc na każdym rękę. Były piękne, niemal magicznie, i zdaje się, że jakimś przedziwnym sposobem należały do niej. Ale jakim? I co się stało z Ianem Caldecottem? Z dużą przesadą mogłaby założyć, że poczuł się winny i przekazał jej krzesła w akcie dobrej woli. Gesty spontanicznej szczodrości nigdy nie leżały w jego naturze. Sama była świadkiem, jak przez pół godziny odradzał innej antykwariuszce kupno krzeseł z trzcinowymi siedzeniami z okresu regencji, dowodząc, że są „najoczywiściej fałszywe”, a potem kupił je za połowę tego, co rzeczywiście były warte.

Wciąż przy nich stała, gdy rozległo się szybkie ostre pukanie do drzwi. Poszła otworzyć, spodziewając się pokojówki. Zobaczyła Seatha Ridera, bladego i podekscytowanego. Wkroczył do środka, zanim zdołała go powstrzymać, i pomaszerował prosto do krzeseł, ale ich nie dotknął.

— No i są! Bardzo piękne, prawda? Jest pani z nich zadowolona?

— Tak, są piękne. Ale nie należą do mnie. Odwrócił się i popatrzył na nią, jakby nie wierzył własnym uszom.

— Licytowała pani twardo i uczciwie. I zapłaciła pani za nie.

— Ian Caldecott mnie przelicytował.

— Ian Caldecott? A któż to znowu taki?

— Doskonale pan wie, któż to taki. Boże święty, mówi pan zupełnie jak cała reszta!

— Nie ma żadnego Iana Caldecotta. — Podeszedł do niej, minę miał niezwykle poważną, niemal tragiczną. — Nigdy nie było. Kupiła pani te krzesła. Niech pani spojrzy do książeczki czekowej, skoro chce pani dowodu.

Sarah wzięła torebkę, otworzyła ją i wyjęła portfel od Gucciego, który Ken podarował jej na urodziny, sprzedawszy w Oswald Gallery na Bond Street dwa obrazy. Chyba wtedy pierwszy raz miał

swoje własne pieniądze. Na grzbieciku książeczki czekowej zobaczyła swoje własne pismo, własny fioletowy atrament: O'Shaughnessy i Drum, 5500£, krzesła D.M.

— To nie ja pisałam! — głos jej się załamał. Podeszła do Seatha Ridera i zamachała mu książeczką przed nosem. — Nie pisałam tego!

— Niech pani to odda do grafologa, skoro pani sobie życzy — oświadczył, wzruszając ramionami. — Wywindowała pani licytację wysoko, a potem wyjęła książeczkę czekową. Tak pewna siebie, jak żadna znana mi kobieta; powiedziałbym: królowa wśród antykwariuszy.

— Coś się stało, tak?

— Stało? Co pani ma na myśli?

— Coś się stało z Ianem Caldecottem... przekupił go pan albo postraszył, czy coś w tym rodzaju. Nie dałby mi tych krzeseł ot tak sobie!

— Nie ma żadnego Iana Caldecotta — powtórzył Seath Rider. — Nigdy nie było.

— Nie rozumiem pana. W ogóle nic z tego nie rozumiem.

— Ależ to bardzo proste, zwłaszcza jeśli się zna irlandzkie legendy. Zawsze było tu pełno magii z rodzaju tej, jaką ludzie uwielbiają przekształcać w historii o karłach, czarodziejkach i temu podobne bzdury. Ale jest tu także inny świat, pani Bryce, zawsze był, wypełniony ludźmi. Tuatha de Danann, bohaterowie wprost ze starożytnych czasów, którzy zniknęli innym z oczu. Zniknęli!

— Dalej nic nie rozumiem.

— Zrozumie pani, jeśli zda sobie sprawę, że bramy niewidzialnego królestwa nigdy nie zostały szczelnie zamknięte i są tacy, którym dane jest przenosić się z jednego świata do drugiego, mają przyjaciół, nawet kochanków w obu rzeczywistościach. Fiannowie mieli tę zdolność. Byli wspaniałymi wyćwiczonymi wojownikami. Jeden z nich, Iollan, wyjawiał serdeczne pragnienie, by posiadać najpiękniejszą istotę, jaką kiedykolwiek widziano, baśniową Fair Breast. Spełniono jego życzenie i odtąd wystarczyło, by wyszeptał jej imię, a pojawiała się przy nim, nieważne, gdzie przebywała, gotowa zrobić wszystko, czego zapragnął. Za przyjemność, którą mu dawała, chciała tylko jednego: wierności.

— Co pan... o czym pan, do cholery, mi tu opowiada? — spytała. — Chcę się dowiedzieć, co się przytrafiło Ianowi Caldecottowi, a nie wysłuchiwać idiotycznych czarodziejskich bajd!

— To właśnie usiłuję pani wyjaśnić — oświadczył Seath Rider. — Iollan zakochał się w zwykłej śmiertelnicy, poślubił ją i uczynił brzemienną bliźniętami. Gdy Fair Breast to odkryła, zamieniła żonę Iollana w sukę i oddała człowiekowi, który nienawidził psów; chłostał ją i głodził.

„Wrócę jej ludzką postać, jeśli zostaniesz ze mną na zawsze w niewidzialnym królestwie”, powiedziała do Iollana. Cóż więc miał, biedaczysko, zrobić innego, jak tylko się zgodzić...? Niestety, była jedna trudność: jego synowie zrodzili się jako psy i mieli pozostać nimi do końca dni swoich.

— No dobrze — powiedziała Sarah — może mi pan wreszcie wyjaśni, co to wszystko znaczy.

Po co mi pan to opowiada. I co z Ianem Caldecottem.

Seath Rider podszedł do okna, popatrzył na ogród, na ujście rzeki, ozdobione pióropuszem chmur góry.

— Zawsze może pani dostać to, czego pragnie, pani Bryce, tak jak Iollan. Tylko że ktoś musi za to zapłacić. Taka magiczna wersja prawa Newtona, w ten sposób bym to ujął. Akcja wywołuje reakcję. Owa reakcja nie musi dotyczyć bezpośrednio pani, ale zawsze jest ktoś, kogo dotyka.

Milczała, czekając, co powie, chociaż już to przeczuwała; zacisnęła pięści, serce biło jej szybko.

— Gdyby istniał mężczyzna o nazwisku Caldecott — powiedział Seath Rider i odwrócił się od okna — przelicytowałby panią i zabrał te krzesła. Ale teraz jest tak, że nigdy nie istniał, Ian Caldecott nigdy się nie narodził, nie dorósł, nie studiował na uniwersytecie, nie zaczął działać jako antykwariusz. W całej południowej Francji nie znajdzie pani ani jednej jego fotografii, ani śladu w dokumentach żadnej szkoły, nic w policyjnej kartotece, żadnej legitymacji ubezpieczeniowej. Nikt go nie pamięta, gdy był małym berbeciem. Nie odnajdzie pani kobiety, która pocałowałaby go po raz

pierwszy na prywatce. Wyparował, pani Bryce, nigdy go nie było.

— Zamordował go pan — stwierdziła. Była w szoku, drżała.

— Ależ skądże! Nie można zamordować kogoś, kto nigdy nie istniał.

— To znaczy... Boże święty, naprawdę nie wiem, co pan zrobił! Co pan zrobił?

— Wymazałem go, to chyba najwłaściwsze słowo. Nie całkowicie, jeśli pani za mną nadaża.

Nikt nie jest władny stworzyć ani zniszczyć całkowicie materii. Ale z pewnością tutaj go nie ma, na tym rzecz polega, i nigdy nie było. Nigdy.

— Z powodu dwóch krzesel? Dwóch głupich krzesel?

— Przecież powiedziała pani, że serdecznie ich pragnie. — Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Wręcz wyglądał na zmartwionego. — Jakie to ma dla pani znaczenie, czy on kiedykolwiek istniał czy nie? Bo dla niego żadnego. Ani dla jego rodziny: nigdy go nie widzieli. Każdego dnia zabija się ludzi.

Zostają zastrzeleni, utopieni, powaleni na przejściu dla pieszych, bo akurat zamiast się rozglądać, myśleli o tym, co zjeść przy popołudniowej herbacie. Czy kiedykolwiek pani się tym martwiła? Nie, więc dlaczego martwi się pani Ianem Caldecottem? Ma pani krzesła i wszystko gra.

— Nie ogarniam tego. — Musiała usiąść. — Wymazał pan całe jego życie tylko dlatego, że chciał pan, abym miała te krzesła?

— No nie, pani Bryce. Chciała pani, nie ja. Jestem tylko pozyskiwaczem, nie kolekcjonerem.

Taka była cena, to prawda. I tylko w taki sposób dało się to zrobić.

— W jaki? Jak może pan przekreślić całkowicie czyjąś egzystencję?

Seath Rider ogarnął szerokim gestem okryte szarymi burzowymi chmurami góry i błyszczące w słońcu wody Kenmare.

— Skoro żąda pani, bym to prosto wyjaśnił, pani Bryce, są światy widzialne i niewidzialne, a tutaj, w Irlandii, bramy między nimi pozostają otwarte dla tych, którzy wiedzą, jak je przekroczyć.

Zgadza się, to ja obserwowałem panią na lotnisku, ja siedziałem w „Russet Bull” i ja stałem patrząc w hotelowe okno.

— Zamierzam je zwrócić — oświadczyła Sarah.

— Komu? Przecież nie Ianowi Caldecottowi, bo nie ma takowego. Nie jego rodzinie, bo nie mają o kimś takim pojęcia. Są pani, pani Bryce. Wylicytowane, zapłacone... Pani.

— A co pan będzie z tego miał? — zapytała.

— Dostanę prowizję, pani Bryce — uśmiechnął się szczerze i bezpretensjonalnie. — Proszę się o to nie martwić.

Niespodziewanie pocałował ją w policzek. Nie zaznała dotąd takiego pocałunku: delikatny a zarazem stanowczy i niesamowicie lubieżny, wyraźnie odkrywający przed nią, czego chce Seath Rider. A jednocześnie niesłychanie erotyczny.

Wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi, ona zaś stała wyprostowana, z rozszerzonymi oczami, lewą ręką obejmując łokieć prawej, zwisającej bezwładnie wzdłuż ciała, zeszywniała jak kobieta, która dopiero co była świadkiem poważnego wypadku drogowego.

W nocy śniła o ojcu. Siedziała mu na kolanach, a on czytał na głos. Czowała zapach tytoniu, wody kolońskiej, starej tweedowej marynarki. Przez okna biblioteki widać było niebo; miało jasnioletowy kolor, przesuwane się po nim chmury wyglądały jak wycięte z kartonu. Sarah czuła się bezpieczna, a mimo to rósł w niej powoli dokuczliwy strach, że gdy ojciec do końca historii, wydarzy się coś strasznego, błagała go więc, by nie kończył czytać.

Nigdy przedtem nie słyszała takiego opowiadania. „Ludzie-brzytwy nadchodzą z nastaniem zmroku i szperają po domu, nawołując się i podśpiewując. Wszyscy wiedzą, że to oni, i nikt nie śmie uchylić drzwi. Mają brzytwy zamiast palców i na plecach. Brzytwy we wnętrzu dłoni. Gdy raz cię wezmą w swe objęcia, spłyniesz krwią, zanim się zorientujesz. Mają brzytwy pośród zębów i chcą cię ucałować”.

Złapała kłujące tweedowe wyłogi marynarki — ze strachu i w poszukiwaniu schronienia.

Wtulona w ciepło kamizelki słyszała uspokajające dudnienie jego głosu. Nie wiedziała, dlaczego próbował ją aż tak przestraszyć. Ludzie-brzytwy! Widziała, jak pełzną po korytarzach, w plecach mają osadzone ostrza, i nikt nie śmie ich dotknąć, choćby opróżniali szuflady z kosztowności, choćby gwałcili córkę na przesiąkniętym krwią łożu. Słyszała, że ktoś krzyczy, czuła, że skacze na łóżku.

Rozbudzona gwałtownie, stwierdziła, że kopie piętami w materac i wydaje dziwaczne gardłowe okrzyki. Leżąc spocona na plecach, chwyciła ciężko powietrze, a potem wzięła dziesięć głębokich oddechów.

To tylko sen, powiedziała sobie. Sen. Idiotyczny, przerażający sen. Księżyc świecił wysoko na niebie, jego światło wdzierało się przez zasłony i oświetlało dwa krzesła. Podparła się na łokciu i zapatrzyła na nie. Było po trzeciej rano, czuła się wyczerpana i wytrącona z równowagi. To nie ona je kupiła, dobrze to pamiętała. Kupił je ktoś inny. Nazywał się...

Nazywał się...

Nie mogła sobie przypomnieć. Mogła przywołać jego twarz, ale nie nazwisko, Ian Jakiśtam. Ian Coldwell. Ian Cottesmore. Coś w tym rodzaju. Wspomnienie o nim błąkało jak zapomniana na słońcu fotografia. Spojrzała znowu na krzesła: Seath Rider to dla niej zrobił: dał to, czego pragnęła.

Wygrzebała się z łóżka i poszła do łazienki spryskać twarz wodą. Zobaczyła się w lustrze i pomyślała, że wygląda inaczej. Nie starzej, właśnie inaczej. Kiedy się z kimś dzieli życie, patrzy się na jego twarz zamiast w lustro. Widzi się swój uśmiech w czyimś uśmiechu; widzi się wzbierający w swoim wnętrzu gniew, zanim jeszcze wybuchnie. Widzi się sarkazm; widzi się miłość. Kiedy się mieszka samemu, trzeba polegać na lustrze, pokrytym z tyłu srebrną farbą, a żadna tafla, choćby pokryta od tyłu srebrem, nigdy nie powie prawdy. Ojciec powiedział jej kiedyś: „Lustra są dobre do jednego: przyłożone do ust zmarłego człowieka pozwalają zyskać pewność, że nie żyje naprawdę”.

Wtedy też ją strasznie przestraszył...

Nagle przypomniała sobie, jak zobaczyła ojca na wysepce — im dłużej na ten temat myślała, tym bardziej była przekonana, że to nie wyobraźnia, że Seath Rider wywołał jego ducha. Może zrobił

to, by wzbudzić pokusę, zaintrygować ją. Pokazać, co jest zdolny zrobić. Może krzesła to tylko coś na rozgrzewkę, żeby ją podrażnić.

Skoro mógł manipulować przeszłością tak, by przekreślić życie mężczyzny, który tylko kupił

krzesła, tego Iana jakiegoś tam, czy nie był w stanie zmienić wydarzeń i dać jej to, czego pragnęła znacznie bardziej? Zaprzeczyć czasowi i temu, co się stało, i sprawić, by ojciec nie umarł?.

Wiedziała, że to bluźniercza myśl, a jednak chciała go zobaczyć żywego. Nie pragnęła iluzji, gry światła... gdyby tylko Seath Rider mógł go jej wrócić tak materialnie, jak oddał jej krzesła....

Położyła się z powrotem do łóżka. Dochodziła czwarta i żałowała, że to nie rano. Była zbyt zmęczona, żeby czytać, i zbyt podekscytowana, żeby spać. Oczywiście, w końcu jednak zasnęła, tuż po piątej, i obudziła się dobrze po ósmej. Mówiła przez sen, wypowiadając dziwne, bełkotliwe zdania, raz czy dwa krzyknęła i łzy pociekły jej po policzkach.

Na zewnątrz natknęła się na Seatha Ridera. Poranek był mglisty, tak mglisty, że przejmował

wilgocią, jakby padało, ale Seath Rider zareagował na pogorszenie pogody tylko podniesieniem kołnierzyka marynarki.

— Dobrze pani spała? — zapytał.

— Nie. Wciąż się przejmowałam tymi cholernymi krzesłami.

— Przyzwyczai się pani do nich. To tylko obłaskawiony sprzęt domowy.

— Prawdę mówiąc, przejmowałam się panem. Tym, co pan jeszcze jest zdolny zrobić.

— Jeszcze zdolny zrobić? — Odwrócił głowę, spoglądając na nią z przesadnym zdziwieniem.

— No nie, co pani ma na myśli?

— Tak się tylko zastanawiałam, co pan może... poza sprawieniem, żeby znikł człowiek, a mnie się

dostały krzesła...

— Nigdy nie zadowolisz kobiety, tak to się mówi?

— Nie o to chodzi... mój ojciec, tam na wyspie... czy pan miał z tym coś wspólnego?

— Pani ojciec nie żyje.

— Mężczyzna, który kupił krzesła, żył kiedyś.

— Nie sugeruje pani chyba, że mam władzę nad życiem i śmiercią? — Otarł dłonią wilgoć z twarzy.

— Bo nie mam. Mogę dać pani wyłącznie to, czego pani sama chce.

Stała tuż przy nim, obserwując go. Bała się go, bała się konsekwencji wynikających z ich spotkania, a jednak pragnienie tłumiło strach.

— Przypuśćmy, że chcę mojego ojca. Popatrzył na nią wymownie.

— Przypuśćmy, że to moje serdeczne pragnienie.

— W takim razie, mamy do czynienia z pozyskiwaniem — oświadczył. — Co oczywiście będzie panią kosztować.

— Ale jest możliwe? Naprawdę możliwe?

— Nie mówiłem, czy jest czy nie jest. Tylko że będzie panią kosztować.

— Ile? — zapytała.

— Powiedziałbym: więcej niż pani może dać.

— Ile? Dostanie pan wszystko, czego pan zażąda.

— Nie sędzę. Naciąga mnie pani.

— Panie Rider, jeśli zwróci mi pan ojca, przysięgam na moje życie, że nie cofnę danego słowa, niezależnie od tego, o co pan mnie poprosi.

— O to, czego Fair Breast zażądała od Iollana: wierności.

— O to, żebym z panem spała, tak?

— Ależ nic podobnego, chyba że pani sama będzie chciała. Mówię o oddaniu, i tylko o tym.

— Chyba nie rozumiem.

— Ojciec nie nauczył pani, czym jest wierność? Trwać przy kimś na dobre i złe, w szczęściu i nieszczęściu, być zawsze lojalnym?

Sarah zmieszała się. Woląca nie myśleć, czego Seath Rider od niej oczekuje. A jednak zgodziła się.

— Dobrze, niech będzie wierność, jeśli to ma być ceną za wrócenie mi ojca.

— Po wsze czasy?

— Tak, skoro to ma być tak określone.

— No cóż, świetnie, to pani tego chce. — Wzruszył ramionami.

Sarah czekała. W końcu spytała:

— To już wszystko? Tylko tyle?

— A czego więcej pani oczekuje? Błyskawicy i gromu? — Deszcz zaczął padać i krople wody skapywały mu z koniuszka nosa i spływały po policzkach, jakby płakał.

— Ale on wróci?

— Musi pani poczekać i sama pani zobaczy. Może mnie pani pocałować, jeśli pani chce.

Dłuższy czas stała patrząc na niego w nasilającym się deszczu. Wreszcie dała krok do przodu, położyła mu dłonie na ramionach i pocałowała w usta.

— Tak... jesteś wyjątkowa — powiedział. — Absolutnie wyjątkowa.

Miała zamiar odwrócić się i odejść, gdy nagle zdała sobie sprawę, że nie może się powstrzymać, by go znów nie pocałować. Wilgotne od deszczu usta dotknęły drugie wilgotne od deszczu usta, leciutko, ledwie musnęły, a przecież wystarczyło, by przymknęła powieki.

Spojrzała mu prosto w oczy i nagle uderzyła ją myśl, że sama nie wie, co by z nich chciała wyczytać.

— Dziękuję — wyszeptała, a potem poszła prosto do hotelu.

Po południu chmury zaczęły się strzępić i deszcz ustał. Sarah wybrała się na spacer po ogrodzie i doszła aż do wysepek. Spotkała po drodze dwoje czy troje hotelowych gości, wymienili powitania

— ale ani śladu ojca. Owładnęło nią podejrzenie, że Seath Rider nabrał ją na tę całą gadkę o wierności i dawaniu ludziom czego pragną. Irlandzki blagier, i tyle.

Około trzeciej pojechała do Kenmare, zajrzeć do sklepów. Kupiła dwa piękne lniane obrusy, komplet srebrnych łyżek i omal nie skusiła się na sekretarzyk z orzecha, uznała jednak, że już dość wydała na krzesła Daniela Marota. O piątej poczuła głód, weszła więc do restauracji O'Leary'ego na małego guinnessa i kanapkę z krewetkami. Wewnątrz mieścił się bar, a naprzeciwko niego duża, przestronna restauracja z lustrami w pozłacanych ramach i staroświeckimi obrotowymi wentylatorami u sufitu. Już miała wejść do baru, ponieważ wydał jej się przytulniejszy i było tam zdecydowanie weselej,

gdy zauważyła w restauracji siedzącego tyłem do wejścia mężczyznę. Starszego mężczyznę w zielonej tweedowej marynarce. Obok niego na blacie stołu leżała fajka i kapciuch.

Poczuła mrówki wzdłuż kręgosłupa. Oczywiście, to nie mógł być on. Nie w zatłoczonej restauracji w Kenmare.

Nie, to nie może być on.

Miała nadzieję, modliła się, by Seath Rider wypełnił obietnicę, ale w głębi serca nie wierzyła, że to możliwe. Umarli nie wracają do domu. I to po roku...

Mimo to ruszyła przez restaurację, okrążając stoliki i stanęła tuż za nim. Na moment zamknęła oczy. Co by ją bardziej zdenerwowało: gdyby okazało się, że to nie on czy właśnie że on. Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia mężczyzny.

Odwrócił się i to był on.

Żadne z nich się nie odezwało. Ojciec odsunął krzesło, wstał i wziął ją w ramiona. Przez długi, bardzo długi czas stało tych dwoje pośrodku restauracji ściskając się, łzy ciekły im po twarzach. Parę osób zerknęło na nich, parę się uśmiechnęło, ale w Irlandii okazywanie serdeczności nie jest niczym wstydlivym i nie dziwi tam, nawet jeśli ktoś zapłacze słuchając żalonych pieśni.

Sarah, kochana — odezwał się w końcu ojciec. — Me miałem pojęcia, że tak za tobą tęsknię.

— Och, tato, ja też za tobą tęskniłam.

Usiedli, splatając ręce na obrusie w czerwoną kratkę. Ledwie mogła uwierzyć oczom, tak młodo i dobrze wyglądał. Przecież on umarł, pomyślała, a mnie przychodzi do głowy, że dobrze wygląda.

Zupełnie jak w tych okropnych żydowskich dowcipach o mężu, co to umarł podczas wakacji na Florydzie, a krewni cmokają w domu pogrzebowym, że tak świetnie się prezentuje. Zdała sobie sprawę, że śmieje się z własnej głupoty, ale i dlatego, że przyjemnie go mieć z powrotem.

Jak ci się wiedzie? — spytał ojciec. — Inaczej wyglądasz. Zmieniłaś uczesanie. Jak tam ten twój próżniak?

— Ken? Rozwiedliśmy się.

Przykro mi to słyszeć. W gruncie rzeczy lubiłem biedaka.

— Tato, tak się cieszę, że wróciłeś. Mama straci mowę, kiedy cię przyprowadzę do domu.

A ona jak się miewa? — ojciec spuścił oczy. — Ciężko to przeżywała?

Sarah z zaciśniętym gardłem kiwnęła głową.

— Uszczęśliwisz ją wracając. Znowu będziemy rodziną, wrócą niedzielne lunche, spacerzy i w ogóle

wszystko.

Me zrobię tego, Sarah, nie wrócę — powiedział ojciec nie podnosząc wzroku.

— Ale przecież żyjesz. Byłeś martwy, ale teraz żyjesz. Przecież możesz wrócić!

Kobieta zajmująca miejsce przy sąsiednim stoliku rzuciła jej osobliwe spojrzenie, ale zaraz odwróciła oczy i podjęła rozmowę o tym, jak się robi dżem.

Fizycznie mogłoby to być możliwe, kochanie, ale prowadzę teraz inne życie, zupełnie różne od poprzedniego. Inne życie, inni przyjaciele, którzy mnie potrzebują, ludzie, którzy na mnie polegają...

Mógłbym wrócić, ale mówiąc prawdę... — Ścisnął mocno jej dłoń, łzy wypełniły mu oczy. — Sarah, kocham cię z całego serca, ale życie, jakie wiodłem z tobą i mamą, skończyło się i żeby nie wiem jak tego pragnąć, nie powtórzy się. Przebywam w całkiem innym świecie: miłości i spełnienia. Po prostu nie chcę wrócić.

Kelnerka przyniosła kanapkę, ale Sarah odsunęła ją na bok. Nie byłaby w stanie niczego zjeść.

— Jakie masz plany? — zapytała ojca. — Długo chcesz tu zostać?

Tylko tyle, żeby ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham i pożegnać się. Nie dano mi przedtem takiej szansy.

— Nie możesz odejść — zaczęła go błagać. — Sprowadziłam cię tu, tato, bo tak bardzo cię potrzebuję... a mama nawet bardziej.

Jest mi ogromnie przykro, kochanie. Naprawdę — obdarzył ją przeraźliwie smutnym uśmiechem. — Ale czas na mnie. Tak wiele tam zostawiłem... — Wstał i nie widziała już jego twarzy; oślepiło ją słońce wpadające przez okno do restauracji. — Kocham cię, Sarah, i życzę ci szczęścia. —

Odwrócił się i wyszedł.

Siedziała samotnie, patrząc, jak przesuwa się za oknem, zupełnie jakby się w nim odbijał, jakby nie był realny, i znika. Wiedziała, że nie ma sensu biec za nim, błagać, by został. „Mógłbym wrócić, ale po prostu nie chcę”. Czy nie tak to dosadnie ujął?

— Coś nie tak z pani kanapką? — spytała z przejęciem kelnerka, podchodząc do Sarah.

— Nie, w porządku — odparła Sarah potrząsając głową i usiłując wykrzesać z siebie trochę ożywienia. — To ze mną jest coś nie tak.

— Cóż, proszę się nie martwić, kochana. Nie policzę za nią, skoro pani nie odpowiada.

Nie była w stanie się odezwać. Łzy zalały jej oczy, zakryła twarz dłońmi i szlochała głęboko.

— Co się stało? — Kelnerka usiadła obok i objęła ją ramieniem. — Mogę pani jakoś pomóc?

— Nie, nikt mi nie może pomóc.

Kobieta tuliła ją i uciszała, a ona siedząc na drewnianym giętym krześle dała upust niekontrolowanemu żalowi, najwięszemu, jaki czuła po śmierci ojca.

Wróciła z Kenmare wieczorem. Seath Rider czekał w barze przy kieliszku wódki. Wyglądał mroczniej niż kiedykolwiek; zdenerwowany i niezadowolony.

— No? — zapytał. — O co tym razem chodzi?

Usiadła naprzeciwko niego na wielkiej wyściełanej sofie. Sonny Loony, barman, podszedł i spytał, czego się napije.

— Wytrawnego białego wina. Proszę o bardzo zimne. Sonny zerknął na Seatha Ridera spode łba, jakby mówił: jeśli jej choć włos spadnie z głowy, będziesz miał ze mną do czynienia.

Odpowiedziało mu posępne spojrzenie czarnych oczu.

— Spotkaliście się z ojcem, tak?

— Właśnie. Pojechałam do Kenmare i był tam.

— Bo tam jest. Jakbym nie wiedział.

Sarah przycisnęła rękę do ust, żeby powstrzymać szloch. Rozejrzała się po holu usiłując nie dopuścić, by jej oczy wypełniły się łzami.

— Wiedział pan, prawda? — zdołała w końcu zapytać.

— Nie do końca. Ale to przecież zupełnie naturalne.

Proszę zapytać dwudziestolatka, czy chciałby mieć znowu szesnaście lat, a nie podejmie tematu.

Czterdziestolatek zapytany, czy chciałby mieć dwadzieścia siedem lat, odpowie nie, choćby przepelniała go zawiść o młodszych, A sześćdziesięciolatek pytany o to, czy chce mieć czterdzieści pięć lat, wyszydzi panią. Rozwijamy się. Zmieniamy. A po śmierci czeka na nas niewidzialne królestwo, to samo, do którego mają wstęp Fiannowie, pełne światła, nadziei, niebiańskiego wdzięku.

Ostrzegałam panią, pani Bryce, ale i wołała pani nie słuchać tego, co mówię. Zmarli nigdy do nas nie wracają. Odchodzą, zostawiają nas.

— Tego nie wiedziałam — stwierdziła Sarah, zdobywając się na ile tylko mogła godności.

— Więc już pani wie. Spełniłem pani serdeczne życzenie, ale okazało się, że pani pragnień nie odwzajemniono. To się stale zdarza, niech mi pani wierzy.

Sonny przyniósł jej wino. Pociągnęła łyżeczkę i poczuła wdzięczność; nie zdawała sobie sprawy, jak jest spragniona. I głodna.

— Może przecież pani zjeść ze mną — zaproponował Seath Rider.

— Nie, dziękuję. Zamierzam się wykąpać i umyć włosy. Jutro z samego rana wyjeżdżam.

— Przepraszam panią bardzo, chyba nie rozumiem.

— Powiedziałam: jutro z samego rana wyjeżdżam. Lecę z powrotem do Londynu.

Seath Rider wyprostował się na krześle, kościsty, posępny, twarz miał bladą jak księżyc.

— Zaraz, o ile się nie mylę, zawarła pani ze mną umowę. Przrzekła mi pani wierność. Na całe życie. Po co więc mówić o powrocie do Londynu?

— Wierność nie oznacza spędzenia reszty życia w Irlandii. — O mało się nie roześmiała.

— Pewnie nie. Ale oznacza przebywanie w moim pobliżu, a skoro jestem Irlandczykiem i mam zamiar pozostać w Irlandii, bez względu na liczne tego niedogodności, pani też tu zamieszka.

— To niedorzeczne. Muszę wrócić do Londynu na lunch. Mam umówione spotkanie z kimś z Sotheby's.

— Widziała się pani z ojcem? — spytał unosząc pusty kieliszek, by zamówić jeszcze jedną wódkę.

— Owszem.

— Zrobiłem zatem, co do mnie należało. Wypełniłem pani serdeczne życzenie: najpierw krzesła, potem ojciec.

— Panie Rider! — zaprotestowała. — Jestem niezwykle wdzięczna za krzesła, ale mój ojciec odszedł tam, dokąd odchodzą wszyscy zmarli i zostałam z pustymi rękami.

— Przrzekła pani wierność. Ja wypełniłem moją część umowy, prawda? Nic mi było do tego, czy pani ojciec będzie chciał tu zostać.

— Panie Rider, to niedorzeczne.

— A było niedorzeczne, gdy stała pani na deszczu błagając, żebym wrócił jej ojca? — Zacisnęła

mocno dłoń na jej ręce. — Było?

Popatrzyła na niego zimno. Po chwili cofnęła dłoń i oparł acz powrotem o krzesło. Serce jej waliło jak rześisty deszcz bębni o dachy.

— Najlepiej będzie, jeśli pójdę do pokoju się spakować. Na jego twarzy pojawił się lekceważący

wyraz, jakby było mu wszystko jedno, co jej się podoba robić. Wyszła z baru i szybkim krokiem przecięła hol. Czuła głębokie zaniepokojenie, nie tylko z powodu tego, co się zdarzyło w Kenmare, ale i dlatego że Seath Rider tak mocno nalegał, by dotrzymała obietnicy. Wiedziała, jaką ma władzę i bała się, że ją zatrzyma, nie licząc się z tym, w jaki sposób.

Zaczęła pośpiesznie wspinać się na schody i omal nie zderzyła z mężczyzną, znoszącym na dół

torbę podróżną. Podniosła wzrok i powiedziała automatycznie „przepraszam”, zanim dotarło do niej, że to Ken, jej były mąż. Włosy miał dużo dłuższe niż kiedyś, nosił zmiętą niebieską marynarkę z płótna. Wyglądał świetnie, szeroka celtycka twarz była opalona tak, że nawet brwi mu pojaśniały.

— Ken! Co ty tu na litość boską robisz?

— Przepraszam cię, Sarah. — Zarumienił się. — Próbowałem wyjechać, zanim mnie zobaczysz.

— Ale co robisz tutaj? Myślałam, że wciąż siedzisz we Francji.

— Wróciłem przed tygodniem i postanowiłem zrobić to, o czym myślałem od dawna: odnaleźć cię.

— Przyjechałeś za mną aż tutaj?

— Słuchaj... — rozejrzał się dokoła — gdzie moglibyśmy porozmawiać?

Poszli na górę do hotelowej biblioteki imienia George'a Bernarda Shawa; ogromnej, ponurej i zupełnie pustej. Sarah usiadła na kanapie, a Ken przysunął sobie krzesło.

— Widziałam cię w Carhicvean, jak wchodziłeś do pubu — powiedziała. — Myślałam...

doszłam do wniosku, że to był ktoś inny, a to jednak ty.

— Śledziłem cię, bo chciałem się z tobą zobaczyć. Czekał tam na ciebie ten twój chłopak, więc się wycofałem.

— Śledziłeś? Dlaczego?

— Wiem, to głupie. Chciałem się przekonać, czy jest jakaś szansa na to, żebyśmy znowu byli razem. Zmieniłem się, Sarah. Rozpamiętywałem, kiedy zaczęło się między nami psuć i ile w tym mojej winy. Pracowałem... malowałem, naprawdę się zmieniłem.

— Och, Ken! — Chwyciła go za rękę.

— Właśnie dlatego cię śledziłem... żeby się przekonać, czy możemy jeszcze raz spróbować.

Ale kiedy zobaczyłem cię z twoim chłopakiem, zrozumiałem, że za długo czekałem. Widziałem was na tarasie, tete-a-tete, i wtedy zdecydowałem spakować się i dać ci spokój. Wciąż cię kocham, Sarah, i zawsze będę, ale nie zamierzam stawać ci na drodze.

— Dlaczego nie próbowałaś ze mną porozmawiać? Seath Rider nie jest moim chłopakiem!

Nawet nie znajomym! Poznałam go w czasie aukcji. Pomógł mi kupić dwa krzesła Daniela Marota, trochę pogawędziliśmy i to wszystko.

— Widziałem, jak go całowałaś.

— No bo... obiecał mi oddać przysługę, byłam mu wdzięczna.

— Aha. I co to za przysługa?

— Słuchaj... tylko nie zaczynaj z zazdrością. Pamiętaj, że jesteś moim byłym mężem.

— Przepraszam.

— Chcesz zaraz wyjechać? — spytała, zerknąwszy na zegarek.

— Tak, muszę tylko zapłacić za hotel.

— Daj mi pięć minut na wrzucenie rzeczy do torby i jadę z tobą.

— Serio? — Oczy mu zabłyśły. — Razem do Londynu?

— Razem. Będiesz mi mógł po drodze opowiedzieć, co teraz robisz i jak bardzo się zmieniłeś.

Zawahał się na moment, potem skinął głową.

— Niech tak będzie — powiedział. — Widzimy się na dole za pięć minut. — Pochylił się i pocałował ją w policzek.

Żadne z nich nie zauważyło bladej twarzy kogoś zagląającego przez drzwi do biblioteki ani wyciągniętego mrocznego cienia, który przemknął po suficie.

Minął co najmniej kwadrans, a Ken wciąż czekał w hotelowym holu. Czekalby oczywiście i dłużej, gdyby nie groziło im, że spóźnią się na ostatni lot na Heathrow. Przechadzał się niespokojnie, popatrując na obrazy wiszące na ścianach, wreszcie podszedł do recepcji i zapytał, czy może skorzystać z telefonu.

— Jaki jest numer pani Bryce?

— Pani Bryce? — Recepcjonista przesunął palec po liście gości. — Nikt o tym nazwisku się u nas nie zatrzymał... och, przepraszam, jest Bryce. Ale pan, nie pani.

— To ja. Właśnie się wymeldowałem. Może podała inne nazwisko.

— Proszę zapytać portiera. Ma znakomitą pamięć do twarzy, wystarczy opisać, jak ta pani wygląda.

Ken podszedł do portiera, układającego na stoliku wieczorne gazety.

— Szukam kobiety, która wynajęła tu pokój dwa dni temu. Blondynka, trzydzieści cztery lata.

Niezwykłe elegancko ubrana. Przyjechała na aukcję antyków.

Portier zastanowił się, a potem powoli potrząsnął głową.

— Nikt tutaj nie odpowiada temu opisowi, proszę pana. Nie pojawił się nikt taki co najmniej od tygodnia, może dwóch, a już z pewnością nie na aukcję.

— Przepraszam, ale tak. To moja była żona. Dwadzieścia minut temu rozmawiałem z nią w bibliotece.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział portier. — Na ogół pamiętam wszystkie twarze, ale tym razem muszę się poddać.

Ken wrócił do holu. Odczekał jeszcze pół godziny, ale potem wstał i podniósł torbę podróżną.

Recepcjonista uśmiechnął się do niego współczująco.

Powinien był wiedzieć, że Sarah do niego nie wróci. Poszła do swojego pokoju i pewnie wszystko jej się przypomniało: kłótnie, rzucanie rondlami i talerzami, jak flirtował na wszystkich przyjęciach z młodymi dziewczynami. Właściwie trudno mieć do niej pretensję. Tylko że... okazała tyle entuzjazmu, mówiąc, że z nim pojedzie.

Wyszedł z hotelu i skierował się na parking. Wieczór był ciemny, mżyło. Przemierzył połowę drogi, gdy zobaczył stojącego przy płocie wysokiego, ubranego na czarno mężczyznę. Tego samego, z którym rozmawiała Sarah... i całowała. Mężczyzna, który obiecał wyświadczyć jej przysługę.

— Więc opuszcza nas pan — odezwał się nieznajomy, gdy Ken go mijał. Głos miał przyjemny i miękki jakby się głaskało kocie futro.

— Tak — odparł Ken. — Wracam do Londynu. — Zawahał się. — Czy mógłby pan przekazać pani Bryce, kiedy ją pan zobaczy, że nie posądzam jej o złą wolę i wszystko rozumiem.

— Tak? Wydaje się panu, że pan rozumie?

— Przepraszam, ale o co panu chodzi? — Ken spojrzał na niego zdziwiony.

— Rozumie pan tyle co nic.

— Dalej nie wiem, o co panu właściwie chodzi.

— O to, że pani Bryce przyrzekła wierność, ale nie dotrzymała tego. I o to, że jej dochowa.

Zostanie w Irlandii, choć nie w Irlandii i choćby ktoś wypatrzył sobie oczy, nigdy jej nie znajdzie.

— O czym pan do licha mówi? Nie jest pan chyba pijany? I gdzie ona jest?

— Tutaj, przecież panu powiedziałem.

— W takim razie chcę się z nią zobaczyć. Natychmiast. — Postawił torbę podróżną na ziemi.

— Ależ oczywiście — oznajmił Seath Rider. — Może pan na nią patrzeć teraz i już zawsze.

Skoro takie pańskie serdeczne pragnienie.

Ken otwierał usta, by odpowiedzieć, kiedy poczuł mocne uderzenie w podstawę czaszki. Opadł

na kolana, głowa pękała mu z bólu. Seath Rider mówił coś do niego, ale Ken słyszał tylko dudniące echo, jakby ktoś przemawiał z drugiego końca długiego kanału. Wyciągnął ręce, by powstrzymać upadek, i został już tak na czworakach, próbując zrozumieć, co się z nim dzieje. Mózg mu się kurczył, twarz ściągała. Czuł, jak mu się zmniejsza klatka piersiowa, nogi robią cieńsze. Chciał się odezwać, ale nie mógł; miał wrażenie, że szczęki mu się zrosły.

Całe ciało mu się kurczyło. Nigdy w życiu nie doznał takiego bólu. Krzyknął głośno, ale z zeszywniałej, zasuplonej krtani wydobyło się zduszone wycie.

Był nagi, drżał na deszczu, zdolność myślenia straszliwie mu się zmniejszyła, stopami drapał

chodnik. Stracił poczucie tego, kim jest i co właściwie robi. Spojrzał na Seatha Ridera i nie czuł nic poza strachem.

— No, no — powiedział Seath Rider. — Grzeczne stworzenie. Pójdziemy zobaczyć, co robi Sarah.

Sarah zeszła na dół ze spakowaną torbą, ale nie było ani śladu Kena. Podeszła do kontuaru recepcji i zapytała, czy ktoś go widział. Recepcjonista potrząsnął głową.

— Nie, pani Bryce, nikogo tu nie było.

— Może wrócił do pokoju. Mógłby mi pan podać numer?

— Jest pani Bryce, no ale to wiemy. — Recepcjonista przeglądał hotelową księgę. — Nie zameldował się żaden pan Bryce.

— Na pewno? Mówił, że mieszkał tu przez cały weekend.

— Proszę samej sprawdzić, jeśli pani chce. Przeglądała wpisy, gdy wszedł Seath Rider z moręgowatym psem na krótkiej smyczy.

— Ach, jest pani gotowa — odezwał się.

— Gdzie Ken? — spytała w popłochu.

— Ken? — Jego głos brzmiał niewinnie; zbyt niewinnie.

— Mój były mąż. Był tutaj. Rozmawiałam z nim. Chcę wiedzieć, co pan z nim zrobił.

— No nie. Dlaczego miałbym coś z nim robić? I cóż by to panią miało obchodzić? To mnie ślubowała pani wierność. — Moręgowaty pies próbował podskoczyć, ale Seath Rider uderzył go szybko po pysku grzbietem dłoni. — Doprawdy nie można tym kundlom pobłażać.

Pies pokornie się podporządkował i zwinął z tyłu za nogami Seatha Ridera.

— Możemy wychodzić — oświadczył Seath Rider. — Zatoszczyłem się o pani rachunek.

— Nigdzie nie wychodzę — odparła Sarah. — Jadę do Cork, a potem lecę do... — urwała.

Dokądś leciała, to wie, tylko dokąd? — Ja muszę... wrócić do matki — mówiła zrozpaczona. — Mam swoje sprawy, sklep...

— Nigdzie pani nie jedzie, pani Bryce, chyba że ze mną. — Ściągnął smycz tak krótko, że pies zaczął się dusić; ledwie łapał powietrze. — Pani matka nie pamięta pani. Nie istnieje pani w jej świadomości. Nigdy pani nie chodziła do szkoły, nie dorastała. Sarah Thompson? Nigdy nie słyszeliś-

my o Sarah Thompson. Ani o Sarah Bryce, skoro tak się miała nazywać po wyjściu za mąż. Nie ma o pani najmniejszej wzmianki: ani o chrzcie, ani w szkolnej gazetce czy lokalnej gazecie. Znikła pani, a zobaczyć można panią tylko tutaj.

— Nie rozumiem, przecież to ten sam hotel — rozejrzała się wokół.

— Nie ma czegoś takiego jak ten sam hotel, pani Bryce. — Przyłożył dłonie do twarzy, jakby imitował przesłonę aparatu fotograficznego. — Są tysiące „Parknasill”, po jednym dla każdego kto tu przyjechał, tak jak są miliony Irlandii, jedna po drugiej. W Irlandii bramy pozostały otwarte, pani Bryce, i ludzie wciąż przez nie przechodzą.

— Usiłuje mi pan powiedzieć, że jestem tutaj, ale w innej przestrzeni?

— Tak, pani Bryce. — Skinął głową. — Będzie tu pani szczęśliwa. Zobaczy pani rzeczy, o jakich się pani nie śniło, porozmawia z ludźmi, którzy rozpalą pani wyobraźnię. Nie wątpię też, że pani miłość do mnie będzie rosła i staniemy się całością.

Wziął ją pod ramię i wyprowadził w noc. Wciąż mżyło, ale w hotelowych światłach deszcz zamienił się w lśniący czarodziejski pył. Pies szczeknął piskliwie i Seath Rider uderzył go znowu po pysku, mocno i szybko.

— Zachowuj się jak należy, ty kundlu.

Raymond French poszedł do jej pokoju, żeby się pożegnać. Drzwi były otwarte, pokojówka ściągała pościel z łóżka. Ku jego zdumieniu krzesła Daniela Marota wciąż tam stały. Nie do wyobrażenia, że wyjechała nie dopilnowawszy pakowania i wysyłki.

— Nie widziała pani przypadkiem osoby, która zajmowała ten pokój? — zapytał dziewczynę.

Potrząsnęła przecząco głową.

Raymond wszedł do środka i rozejrzał się. Szafy były puste, żadnych kosmetyków w łazience.

Jedynym śladem czyjejś obecności była zgięta na pół, zostawiona w popielniczce wizytówka.

Nie znalazł Sarah również w holu na dole. Szedł w kierunku recepcji, zapytać o nią, gdy natknął się na Dermota Briena.

— Dermot! Marzyłem, żeby cię zobaczyć. Miałeś mi podać nazwisko faceta z Dublina, który kupił te pejzaże.

Kiedy wreszcie skończyli rozmawiać, zrobiło się późno, deszcz zgęstniał i musiał się pospieszyć, jeśli chciał złapać ostatni samolot do Londynu.

A poza tym, zupełnie zapomniał o Sarah. Jakby nigdy nie istniała.

Deszcz ustał następnego ranka, a niebo było niebiesciutkie jak oczy dziecka. Po plaży u wybrzeży zatoki Ballinks-kelligs, omywanej wodami Atlantyku, spacerowali mężczyzna i kobieta. On wysoki, ciemnowłosey, ubrany na czarno. Ona nosiła suknię z cienkiego płótna ozdobioną koronkami z Kerry i wianek z kwiatów dzikich roślin na włosach. Suknia wlokła się po mokrym połyskującym piasku, ale nie zwracała na to uwagi. A może było jej wszystko jedno.

— Uwielbiam tutejsze poranki — powiedział mężczyzna, zatrzymując się i ocieniając dłońmi oczy, by popatrzeć na morze. — Pachnie świeżością. Jakby świat narodził się na nowo.

Kobieta nie odpowiadając poszła dalej. Dogonił ją i objął ramieniem.

— Nie możesz usychać z tęsknoty za tym, co było. Tamto życie umarło, nie widzisz tego?

Właśnie to usiłował ci powiedzieć ojciec: nie ma sensu wracać. Ta ucieczka ostatniej nocy... Istne szaleństwo, no i przypomnij sobie, co spotkało mojego biednego psa. Nawiasem mówiąc, ja wypełniłem warunki umowy i oczekuję od ciebie tego samego.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Na jej twarzy malowały się gorycz i uraza.

— Nic mi nie dałeś — powiedziała. — Nic. I ja też nie jestem ci nic winna.

Spojrzał z niedowierzaniem, jakby te słowa straszliwie go uraziły. Ale zaraz się rozchmurzył.

— Nieważne, to tylko początek. Z czasem przekonasz się, ile ci mogę dać. Trochę dziwne, ale i czarodziejskie życie. Spotkasz ludzi wszelkiego rodzaju: bogatych i pięknych, ale także odzianych w łachmany i dziwniejszych niż wędrowni druciarze. Pokażę ci, czym jest magia. Prawdziwa magia.

Wędrowaniem bez troski o czas i miejsce. Nauczę cię żywić się krwią i pajakami albo oddechem dziecka. Nauczę cię, jak zdobyć każdego mężczyznę, którego zapragniesz, i ukraść go jego czasowi, jak ja wykradłem ciebie.

Zza skałek wyszedł mężczyzna, spacerujący po plaży z psem. Pies rzucał się i ujadał na morze, a kiedy zobaczył ich dwoje, podbiegł truchtem, przystanął w bliskiej odległości, przekrzywił głowę i zaskomlał przeraźliwie.

— Chodź tutaj! Wracaj! — nawoływał mężczyzna. — Co cię opętało?!

Podchodził coraz bliżej i bliżej. Kobieta wyciągnęła powoli rękę, ale mężczyzna przeszedł obok niej, mijając ją dosłownie o cale. Nawet na nią nie spojrział. Odwróciła się, jakby chciała go zawołać, ale zamiast tego popatrzyła znowu na swego mrocznego towarzysza.

— On mnie nie widział — powiedziała przerażona drżącym głosem. — Nie widział mnie!

Jej towarzysz zaczął się śmiać. Odszedł, śmiejąc się i potrząsając głową.

Zaczął się odpływ. Upokorzona, stała dalej na plaży.

Raymond zdążył na południowy lot do Londynu. Irlandzka policja raz jeszcze dokładnie przeszukała rowy i zarośla wzdłuż drogi Kenmare, ale nie znalazła ciała kobiety. Zadzwonili do pensjonatu, w którym się zatrzymał, i powiedzieli Raymondowi, że może wyjechać.

Siedział w samolocie popijając wódkę z tonikiem, gdy przyszło mu do głowy, że czegoś szukał

tuż przed odjazdem z „Parknasilli”. Przypominał sobie niejasno, że rozglądał się po cudzym pokoju, ale czym i po co — nie potrafiłby powiedzieć, nawet za cenę życia. Chodziło chyba o jakieś krzesła, ale też nie dałby głowy.

Trochę później, kiedy chciał wyjąć pióro, natknął się w kieszeni marynarki na zgiętą wizytówkę. „Seath E. Rider, Pozyskiwacz, Londyn i Dublin”.

Regularnie rozwiązywał krzyżówki z „The Daily Telegraph”, mimo to nie przyszło mu do głowy, że Seath E. Rider to anagram Heart's Desire — serdeczne życzenie.

Duszająca Kate

Sacramento, Kalifornia

Sacramento jest stolicą Kalifornii położone nad brzegami rzek Sacramento wyznacza centralny punkt stanu: leży w połowie drogi między złotonośnymi złożami Sierra Nevada i San Francisco, w miejscu, gdzie linia kolei żelaznej po raz pierwszy przecięła Central Valley.

Czasy się zmieniają i dzisiaj większość populacji i bogactwa stanu Kalifornia skupia się na jego południu.

Życie ludzi, których miało by stolicą, toczy się z dala od Sacramento, co nie zmienia faktu, że jest to historyczne miasto, świadczące o przeszłości Kalifornii, o wszystkich kobietach i mężczyznach wędrujących przez góry, by się tu osiedlić.

Pęd do samouniżenia to kolejny sposób, w jaki przejawia się strach. Zetknięcie się z tym właśnie w Sacramento. Będzie to historia człowieka; igrającego ze śmiercią w poszukiwaniu przyjemności. Opowieść o wysoce niebezpiecznej obsesji, o której jeszcze do niedawna nie odważano się mówić publicznie. Dopiero tragiczna śmierć wielu znanych osobistości przywiodła na łamy prasy ten temat, a tym samym stał się powszechnie znany.

DUSZĄCA KATE

Są faceci, którzy lubią żyć, jakby balansowali na linie; bardzo cienkiej linie. Nigdy tego nie rozumiałem. Bo nie rozumiałem potrzeby życia w strachu. Zawsze mi się wydawało, że sam fakt, iż się istnieje, dostatecznie podrażnia końcówki nerwów; wystarczy obudzić się u boku ukochanej kobiety, iść powolutku w pełni lata rozgrzaną ulicą.

Któż chciałby żyć, balansując na linie? Sprawdzać raz po raz, czy istotnie jest śmiertelny, jakby nie dowierzając, że żyje naprawdę.

Być może ma to coś wspólnego ze spermatogenezą. Być może brak tym facetom pewności siebie, a ich plemniki drżą z unieruchomionymi ogonkami, niezdolne do wnikięcia w jajo... Ale nie wierzę w to, za cholere nie wierzę, po prostu nie mogę wierzyć, bo sam należę do rodzaju spermatozoa, a chcę żyć, podczas gdy tyłu innych facetów odeszło, zwyczajnie zniknęło, jak rozprasa się tłum w scenie zbiorowej z niemego filmu z 1912 roku, jak odeszli nieznani żołnierze frontu zachodniego po użyciu musztardowego gazu.

Miałem jednak przyjaciela, który nie umiał żyć inaczej, jak balansując na linie. Więcej, jakby stał na krawędzi przepaści z palcami nóg wystającymi w powietrze, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć — a upadek był tylko kwestią przypadku. Mój przyjaciel, Jamie Ford, odkrył, co to znaczy dusić się.

Dokładnie tak to określał: „Idę się poddusić, stary, do zobaczenia na fizie”. I nic nie mogłem zrobić. No bo co mogłem zrobić? Obydwaj byliśmy wtedy uczniami, chodziliśmy do Sherman Oaks Senior High. Dwaj przyjaciele, którzy zawarli braterstwo krwi; nacięliśmy nasze kciuki i zmieszaliśmy życiodajne płyny.

Znałem go jak nikogo na świecie. Wiedziałem, że po lewej stronie jego głowy biegnie cienka blizna, której nigdy nie porosną szczeciniaste blond włosy. Wiedziałem, że ma szaroniebieskie oczy.

Umiałem te same piosenki co on, dzieliłem wszystkie jego wspomnienia. W jego pokoju poruszałem się równie swobodnie jak on sam. Wiedziałem, gdzie trzyma komiksy, a gdzie „Pixa” i „Adama”.

Znałem nawet postać, która żyła w jego wyobraźni. Wymyślił ją, gdy miał trzy lata i nazwał

Dusząca Kate.

Zdradził mi, że chodziło o poduszkę. Pachniała czystością, była mięciutka, zawsze czuł pokusę, by zanurzyć w niej twarz i już więcej nie złapać oddechu. Nigdy więcej. Miał takie wspomnienie: matka pochyła się nad łóżeczkiem z twarzą ściągniętą przerażeniem i mówi: „Nie, nie, Jamie! Nie, kochanie! Przecież się udusisz, kotku!”

Zabrała mu jego cudowną poduszkę, ale i tak znalazł sposób, żeby się powstrzymać od oddychania. Owijał ciasno głowę kocykiem, przykrywając i nos, i usta. Kiedy skończył jedenaście lat, matka zastała go na podłodze w kuchni z plastikową torbą nasadzoną na głowę, jego twarz oblepiały napisy reklamowe.

Doktor Kennedy stwierdził, że miał wielkie szczęście — jeszcze trzydzieści sekund, a by nie żył. Uduszony.

Matka zapamiętała, że z nią walczył. Desperacko; jakby chciał umrzeć. Zapamiętała, że jego penis był w stanie pełnej erekcji.

Była bardzo ładna. Jeszcze teraz mogę przywołać jej obraz. Drobna, o szaroniebieskich jak u Jamiego oczach, tylko że troszeczkę smutnych. Nosila kowbojskie koszule w niebieskie kratki, co uwielbiałem, ponieważ miała pełne piersi i gdy nachylała się nad moim talerzem, by mi posmarować masłem kolbę kukurydzy, mogłem zobaczyć jej stanik.

Dorastaliśmy stopniowo, jeden po drugim, aż pewnego dnia byliśmy zdolni do ejakulacji. W

każdym razie większość z nas, a ci, którzy tego jeszcze nie zaznali, udawali, że już się stało. „Pewno, wczoraj strzeliłem z pół kwarty. Poleciało aż za okno i wylądowało na kocie. Wyglądał, jakby się dobrał do śmietanki, ha-ha-ha!”

Właśnie wtedy Jamie zaczął się „podduszać”. Jezus, na samo to słowo robi mi się zimno i łapią mnie dreszcze. Gdybym był dorosły, powstrzymałbym go. Siłą, a potem nalegał, żeby się poddał

terapii. Ale dziecko myśli inaczej: dzieciak jest niedoświadczony, odrobinę zwariowany, wierzy w mity i legendy, najdziwaczniejsze zabobony; miotany hormonami, obawą, nadziejami, cierpiący z powodu pryszczki i wiecznie zakłopotany.

A zresztą, co miałem zrobić? Zapukać do drzwi dyrektora, stanąć naprzeciwko tej wysuszonej, pożłobionej zmarszczkami twarzy i powiedzieć: „Przepraszam, panie Marshall, ale mój przyjaciel Jamie stale się wieszka, trzepiąc przy tym konia”?

Ponieważ dokładnie właśnie to robił. W czasie przerw zamykał się w łazience przy pracowniach przedmiotów ścisłych, gdzie rzadko kto zachodził. Zdejmował z siebie ubranie. Zasupywał wilgotny po zajęciach sportowych ręcznik jak lasso, przywiązywał go do wieszaka na ubranie na drzwiach i przekładał głowę przez pętlę. Robił pół obrotu całym ciałem i stopy unosiły mu się ponad podłogę.

Dosłownie wieszkał sam siebie, fujara mu sztywniała i tryskał nasieniem po ścianach.

Nie zjawił się kiedyś po przerwie na czas w klasie, więc popędziłem do szkolnej łazienki, gdzie go znalazłem. Skomlał, twarz miał szarą, palce wciśnięte pod ręcznik, ciasno oplatający zabarwioną na

szkarłatno, posiniaczoną szyję. Niezdolny sam się uwolnić, pobladły i drżący, uda miał spryskane spermą. Przeciąłem ręcznik scyzorykiem i ułożyłem Jamiego na podłodze. Wyglądał jak Chrystus zdjęty z krzyża — wychudzony, poddany torturze, pragnący spokoju i odpuszczenia. Nigdy nie zapomnę, jak straszliwe dreszcze nim wstrząsały.

Ilekoć po tym wydarzeniu informował mnie, że idzie się poddusić, szedłem za nim po cichutku i czekałem na zewnątrz kabiny, a on wieszał się na ręczniku i masturbował. Ledwie mogłem to znieść.

Zduszone charkoty, zdławione westchnienia rozkoszy, dźwięk uderzających o drzwi nagich pięt; ale byłem już na tyle dorosły, by rozumieć, że jeśli spróbuję go powstrzymać, wynajdzie sobie inne miejsce, gdzie nie będzie mnie w pobliżu w razie potrzeby. Może miał zamiar zabić się któregoś dnia, ale dopóki byłem blisko niego, nie mogłem na to pozwolić. Przysięgłem to sobie solennie.

W jakiś osobliwy sposób, nie mający nic wspólnego z homoseksualizmem, kochałem go. Był bardzo ładny, niebezpieczny, żył na krawędzi przepaści — najniezwyklejszy z chłopaków. Zapytał raz, czy chcę, żeby mnie possał, ot tak, dla sprawdzenia, jak to jest, ale odmówiłem. Miałem wrażenie, że chodzi mu tylko o to, by wypełnić sobie moim penisem usta, tak aby ledwie oddychać.

Przerażał mnie. Zdawałem sobie sprawę, że kiedyś musi sam siebie zabić. Być może właśnie dlatego tak bardzo go kochałem.

Odbieraliśmy świadectwa maturalne, grała szkolna orkiestra, słońce rzucało jasne plamy na trawnik, kiedy zorientowałem się, że go nie widzę. Pierwsi maturzyści podchodzili do podium, żeby odebrać dyplomy, głos dyrektora rósł, odbijał się echem o ściany sali gimnastycznej, a we mnie rosła panika. Jeśli za mniej więcej półtorej minuty nie stanę na podium, rodzice powieszą mnie za uszy. Ale jeśli Jamie naprawdę się powiesi, tylko dlatego że wezmę udział w tej pompie i nie zdołam go na czas uratować, dzień odbierania matur stanie się dniem śmierci i winy — nie ten jeden raz; do końca życia, w każdą rocznicę.

Pobiegłem do łazienki, toga uderzała mnie po nogach. Z łomotem otwierałem drzwi kolejnych kabin, ale nie było go tam.

Umarł, na pewno umarł. Właśnie tego ostatniego dnia, ostatniej chwili, kiedy jeszcze za niego odpowiadałem.

Wpadłem

do

pokoju

klubowego

starszych

uczniów

i

zobaczyłem

go

pośród

pastelowoniebieskich ścian, plakatów z samolotami i wizerunków Czcigodnych Zmarłych. Leżał na wykładzinie dywanowej, kompletnie nagi, z głową okręconą taśmą klejącą Saran Wrap jak surrealistyczna mumia. Oczy miał wytrzeszczone. Próbował złapać powietrze. Znowu złapać powietrze. Taśma zawilgotniała od oddechu i potu. A na nim siedziała Laurel Fay, cheerleaderka, z zadartą spódnicą, piersiami wyskakującymi z rozpiętej bluzki, ramiona miała uniesione, nakręcała na palce pasma rudawo-żółtych włosów i szarpała je. Przymknęła oczy w ekstazie, co mnie specjalnie nie zdziwiło, bo widziałem, jak wygląda pała Jamiego, gdy się „podduszał” — wielka, leciutko zakrzywiona i twarda jak róg dzikiego zwierzęcia.

Laurel Fay odkręciła się, spojrzała na mnie i zaczęła: „Idź do dia...” — kiedy przeszedłszy przez pokój, ściągnąłem ją z niego. Upadła niezręcznie i zobaczyłem rudawe włosy i nabrzmiałą różowość między pulchnymi udami. Obraz utkwił mi w mózgu jak malowidło Matisse'a. Kłójące się ze sobą kolory. Erotyczne i niesmaczne. Zaczęła mnie lżyć w przedziwny sposób i bardzo gwałtownie:

— Judasz! Judasz, pieprzony Iskariota! Nic nie rozumiesz! Ty popieprzony Judaszu! On tego chce! Potrzebuje! Spierdalaj, ty i cała reszta! Tu się życie spotyka ze śmiercią. I śmierć z życiem.

Zdarłem Saran Wrap z głowy Jamiego, z jego nosa, ust. Chwycił haust powietrza przeraźliwie storturowanym gardłem, a potem zaniósł się kaszlem, wypluwając pasemka flegmy i nie strawione kawałeczki chrupek ryżowych.

Laurel usiadła, opierając się plecami o kanapę. Rzuciła mi przelotne, pogardliwie jadowite spojrzenie.

— Jest moim przyjacielem — powiedziałem, starając się mówić całkowicie opanowanym głosem.
— Moim najlepszym przyjacielem, a ty o mało nie zajeździłaś go na śmierć.

— Chyba o to właśnie mu chodziło — odparła. Zapięła stanik i wsunęła w niego piersi.

Oplotłem Jamiego ramionami. Jego pierś wznosiła się i opadała, wznosiła się i opadała jak u wyczerpanego pływaka, który wie, że nie zdoła dotrzeć do brzegu, ale nie przychodzi mu do głowy żaden powód, by przestać płynąć. Powieki mu drżały, z kącika ust spływała podbarwiona krwią ślina.

— Znowu się zabawiałaś z Duszą Kate — powiedziałem, przykładając mu chusteczkę higieniczną do ust i wycierając zimny pot z czoła.

Spróbował się uśmiechnąć, ale tylko zakaszłał.

— Każdy chce mieć kogoś, kogo kocha — wydyszał. Trzymałem go w ramionach wiedząc, że będę za nim bardzo tęsknił, i czując ogromną ulgę, że nie będę musiał brać udziału w „podduszaniu”.

Że kończy się mój obowiązek sprawowania nad nim opieki. Jeśli jutro się udusi, będę czuł się podle, będzie mi go diabelnie brakowało, ale już nie poczuję się za to odpowiedzialny.

Nie spotkałem go przez następnych siedem lat. Po skończeniu dziennikarstwa na UCLA, pracowałem jedenaście miesięcy jako wolny strzelec, zanim wylądowałem za biurkiem w

„Sacramento Bee”. Pewnego piekielnie gorącego sierpniowego poranka Dave Brokerage, wydawca gazety, usadowiwszy się na brzegu mojego biurka, zapytał:

— Co wiesz o „Golden Horses” przy autostradzie numer osiemdziesiąt?

— Niewiele — wzruszyłem ramionami. — Tyle że nie jest to miejsce, gdzie mógłbyś zaprosić własną matkę. Dlaczego pytasz?

— Poinformowano mnie, że od niedawna okupują go niewiarygodne tłumy, szczególnie w piątkowe wieczory — powiedział, zdejmując okulary w drucianych oprawkach.

— Mają strip-tease, prawda? Może wynaleźli jakąś ekstra specjalną dziewczynę.

— Mój informator wspominał o czymś innym. Sugerował, że dają na scenie dość niekonwencjonalny show. „Odgrywają coś naprawdę zбочzonego”, tak dokładnie brzmiały jego słowa.

Popatrzyłem na nie dokończony artykuł na ekranie komputera. Burmistrz komplementuje ogrody ozdobne. W przeciwieństwie do większości młodych reporterów mojej generacji byłem dumny ze swoich optymistycznych relacji z życia miasta. Moi rówieśnicy mieli ambicję zostać nieprzejednanymi demaskatorskimi dziennikarzami: odsłaniać korupcję biurokracji, eksponować brutalność policji. Ale ja wiedziałem, dlaczego sprzedaje się gazeta taka jak „Sacramento Bee”. Z powodu konstruktywnych, pogodnych, podnoszących samopoczucie artykułów, naszpikowanych prawidłowo napisanymi nazwiskami mieszkańców. Mimo to byłem zadowolony, że Dave mnie wybrał.

Najwyraźniej ufał mi; wiedział, że rzetelnie przedstawię fakty.

— Jutro jest piątek — powiedział Dave. — Spróbuj tam się wkręcić. Nie będzie łatwo. Z tego, co mi mój informator powiedział, ich ochroniarze zrobili się sakramencko wrażliwi. Pogadaj z facetem, który się nazywa Wolf Bodell, i powiedz mu, że przysłała cię Presley. Weź ze sobą co najmniej ze dwie i pół stowy w gotówce, no i postaraj się wyglądać na zбочeńca.

— To znaczy jak? — zapytałem go.

— No nie wiem... — odparł — ale na pewno nie tak jak w tej chwili. Zбочeńcy nie mają schludnie przystrzyżonych włosów i porządnych mieszczkańskich ciuchów na sobie. Bo ja wiem... Po prostu spróbuj nadać sobie podejrzany wygląd. Cwaniacki. Fałszywy.

— Aha. — Pokiwałem głową. — No dobrze.

„Golden Horses” mieścił się w pobielonym budynku z dachem krytym gontami, położonym o ćwierć mili na południe od autostrady numer osiemdziesiąt, na płaskim rozgrzanym skrawku ziemi niczyjej między zachodnimi obrzeżami Sacramento a Davis. Ledwie wierzyłem własnym oczom, kiedy tuż po zachodzie słońca zajechałem sfatygowanym metaliczno-brązowym LTD na główny parking. Tłoczyły na nim setki pojazdów rozmaitej wielkości i marek: cadillaki, dziipy, półciężarówki, BMW, winnebagosy —jedne zniszczone, inne błyszczące nowością. Jakąkolwiek atrakcję oferowały „Golden Horses”, najwyraźniej poruszała zadziwiająco szeroki krąg ludzi, w różnym wieku, o różnym statusie materialnym i pochodzeniu.

Jechałem po zakurzonej, pokrytej koleinami drodze wewnętrznej parkingu, gdy zatrzymał mnie machnięciem chorągiewki olbrzymi mężczyzna w białym stetsonie i źle dopasowanym czarnym garniturze, trzymający radiotelefon.

— Bry wieczór, przyjacielu, dokąd to się jedzie? — dopytywał się.

Miał świńskie, przekrwione oczka, pachniał mocno whis-key i gumą do żucia.

— Przysyła mnie Presley.

— Presley? Masz na myśli Elvisa?

— Nie. Mam się skontaktować z Wolfem Bodellem.

Gapił się na mnie dłuższy czas z ręką zaciśniętą na opuszczonej szybie okiennej mojego auta, zupełnie jakby czuł się na siłach wyrwać jednym szarpnięciem całe drzwi. Wreszcie uniósł głowę i wrzasnął:

— Wolf! Ten facet mówi, że przysłał go Presley!

Nie słyszałem odpowiedzi, ale musiała potwierdzać moją wersję, ponieważ mężczyzna walnął

otwartą dłonią w dach wozu.

— Proszę zaparkować obok opuncji, najbliżej jak się da. Wygramoliłem się z auta. Noc była ciepła, niebo miało kolor jeżynowej galaretki. Czuło się zapach pustyni, spalin samochodowych i podniecenia. Strużka pojazdów, co najmniej dwadzieścia, może trzydzieści, spływała z autostrady migając kierunkowskazami. Wiatr niósł ogłuszający ciężki rock and roli, ZZ Top, czy coś w tym rodzaju, muzyka brzmiąca jakby się słuchało przejeżdżającego pociągu towarowego albo przechodzących tysięcy ludzi.

Na pokrytej dachówką kalenicy tańczyły dwa neonowe konie. Pełno było błyszczących świateł, dymu, ludzi niemal skamlących z oczekiwania. Poszedłem drewnianą werandą do drzwi frontowych, gdzie sześciu czy siedmiu muskularnych facetów w czarnych garniturach i ciemnych okularach lustrowało każdego, kto wchodził. Jeden z nich wyciągnął palec i szturchnął mnie prosto w pierś.

— Masz pan bilet wstępu?

— Jestem od Presleya. Mówił, że mam rozmawiać z Wolfem Bodellem.

Szczupły mężczyzna w niebieskim jedwabnym garniturze wynurzył się z kręgu szkarłatnego światła i papierosowego dymu. Zniszczona twarz miała żółtawoszary odcień, chore dziąsła wysoko odsłaniały zęby i miało się wrażenie, że za chwilę wszystkie mu wypadną. Utykał nieznacznie, lewe ramię musiał mieć zranione lub niewładne, ponieważ cały czas podtrzymywał je prawym.

— To ja — powiedział z akcentem wyraźnie wskazującym, że pochodzi z Nebraski.

— Presley mnie przysła — powtórzyłem, ale bez zbytniej pewności siebie.

— Aha, Presley. No to w porządku. A jak długo go pan zna?

— Dłużej niżbym chciał przyznać — uśmiechnąłem się szeroko.

— No to w porządku — stwierdził Wolf Bodell, kiwając głową. — Skoro znasz Presleya, wszystko w porządku. Ale i tak musisz zapłacić dwie i pół stówki za przedstawienie.

Przeliczyłem gotówkę, która dostałem za pokwitowaniem od Dave'a Brokerage'a. Wolf Bodell przyglądał mi się beznamiętnie, w ogóle nie patrząc na pieniądze.

— Widziałeś to już przedtem? — zapytał. Potrząsnąłem przecząco głową.

— To cię czeka prawdziwa uczta, człowieku. Widowisko nad widowiskami. Nigdy, aż do ostatniego dnia twojego życia, nie zapomnisz tego, co tu zobaczysz.

— To się chyba cieszy dużą popularnością — zauważyłem, wskazując skinieniem napływający nieprzerwanie tłum.

— Zapytałbym: co się najlepiej sprzedaje na naszej pięknej planecie? A ty byś odpowiedział: seks.

— Wolf Bodell zachichotał piskliwie. — I cudze cierpienie. Właśnie to byś odpowiedział.

Fascynacja kopulacją. I autodestrukcją. Śmierć, seks, strach i cała przyjemność, która z tego płynie.

Tak, mój przyjacielu. Schadenfreude do n-tej potęgi. — Przykuśtykał bliżej i wziął mnie pod ramię.

— Pozwól, że ci coś powiem — oświadczył prowadząc mnie przez „Golden Horses”, wśród dymu, upiornych świateł i przyprawiającego o zawrót głowy rock and rolla. — Nastąpiłem na minę w Wietnamie i wyrzuciło mnie do góry razem z gównami. Wisiałem na drzewie zaplątany we własne jelita. Nie do uwierzenia, prawda? Kumple mnie zdjęli i jakoś mnie odratowano, ale wciąż chce mi się wrzeszczeć, kiedy idę do kibla. Czegoś się wtedy nauczyłem. Moi przyjaciele śmieli się, kiedy wylatywałem w powietrze; śmieli się widząc mnie dyndającego na drzewie. Z zadowolenia, że to nie oni. Otarli się o śmierć, ale ich nie dotknęła. Żeby mnie ktoś wtedy sfilmował na tym pieprzonym drzewku! Byłbym teraz milionerem. Ludzie uwielbiają patrzeć na śmierć. Kochają to. Dlatego Jamie Ford jest tak cholernie popularny.

Zatrzymałem się w miejscu i wielki brodaty mężczyzna w czerwonej koszuli w kratkę wpadł na mnie, rozlewając piwo.

— No i co, ty kutasie... —przerwał, zobaczywszy Wolfa Bodella. — Chrzanić to, co? W końcu to tylko piwo.

— Jamie Ford? — zapytałem.

Wolf Bodell zdjął ciemne okulary. Jedno oko miał szklane; patrzyło gdzieś ponad moim ramieniem.

— Zgadza się, Jamie Ford. Presley ci nie powiedział? Jamie Ford robi to od lat. Jest jedyny i wyjątkowy. Chyba dlatego tu przyszedłeś, co?

Spojrzałem na środek sali, na parkiet „Golden Horses”. Przez większość wieczorów grał tu zespół country; pary tańczyły do tej muzyki albo gawędziły niefrasobliwie; kierowcy ciężarówek rozbijali sobie na głowach krzesła. Ale nie dzisiaj. W błyskach żółtych i czerwonych świateł, poprzez pasma papierosowego dymu zobaczyłem ponurą długą sylwetkę szubienicy.

Jamie Ford. Powinienem zgadnąć. „Ludzie uwielbiają patrzeć na śmierć. Kochają to”. A któż mógł im pokazać śmierć bardziej wyraziście niż on?

Wolf Bodell podprowadził mnie do baru.

— Czego się napijesz? — spytał.

— Wszystko jedno.

— Nie możesz spojrzeć w twarz Wielkiego Kosiarza

pijąc byle drinka — zachichotał. — Leland, daj no mu nie rozrzedzonego jacka danielsa i pabsta na popitkę.

Wyjąłem portfel, ale Wolf Bodell potrząsnął ręką na znak, że nie życzy sobie, abym płacił.

— Przyjaciele Presleya są moimi przyjaciółmi. I przyjaciółmi śmierci. Wszyscy umieramy, mój drogi. Wszyscy! Dlaczego więc jesteście dla siebie źli? Po co kraść kobiecie torebkę, skoro oboje, złodziej i okradana, siedzą ramię w ramię w tym samym autobusie, zmierzającym do głębokiej otchłani? Umrzyj i daj innym umrzeć. Oto moja dewiza.

Barmanka o dużym biuście wręczyła mi drinki. Twarz ze śladami po ospie miała pokrytą jasnym pudrem, nosiła welwetowy żakiet z baskinką w kolorze przytłumionej czerwieni. Musiała być kiedyś bardzo piękna, ale teraz nie widziałem w jej twarzy nic poza cierpieniem. Oczy, które nie mogły skupić na niczym spojrzenia, nie całkiem prosty nos. Konsekwencja wypadku, a może ofiara smirnoffa lub gwałtowności męża, kto wie? Cienia radości, to pewne. Nawet nadziei. Odwróciłem się od baru, a ona zawołała za mną:

— Nie bądź taki strasznie nietowarzyski, kochany!

— Wiesz, jaki masz problem? — Wolf Bodell szturchnął mnie w łokieć, śmiejąc się otwarcie.

— Jesteś cholernie grzecznutki. Wszyscy przyjaciele Presleya są cholernie grzecznutcy. Pewnie nie grasz w pokera, co? Uwielbiam grać w pokera z takimi ludźmi. Są jak jagnięta przeznaczone na rzeź, zawsze to powtarzam.

Przechylił szklaneczkę z Jackiem Danielsem, zrobiłem to samo i zakaszlałem. Pstryknął

palcami, dając znak, by podano nam dwa następne, światła przygasły, zanim zdążyłem zaprotestować, i ze wzmacniaczy rozległy się nieskładnie grzmiące fanfary. Szczupły rudowłosa mężczyzna w szkarłatnym, ozdobionym świecidełkami stroju kowbojskim wszedł w krąg światła rzucanego przez reflektor i dramatycznym gestem uniósł ramię, prosząc o ciszę.

— Panie, panowie — zaczął. — Dzisiejszej nocy, wyłącznie dla waszej ekscytacji, dla podrażnienia waszych nerwów, „Golden Horses” proponują przedstawienie nad przedstawieniami.

Zobaczycie uśmiech samego Belzebuba, zobaczycie, jak drwi śmiertelny! Zobaczycie mężczyznę, który szuka rozkoszy ocierając się o śmierć.

Jeszcze raz, właśnie dla waszej przyjemności, choć i własnej satysfakcji seksualnej, Jamie Ford, Wielki Pętlarz, zaryzykuje odejście w niepamięć. Li-te-ral-nie powiesi się na tej oto szubienicy, zbudowanej na wzór urządzenia, na którym powieszono w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku Charlesa J. Guiteau, zabójcę prezydenta Garfielda.

Za chwilę pojawi się przed wami: człowiek, który z niekłamaną przyjemnością zagląda śmierci w oczy; mężczyzna, który podpisał dobrowolnie w obecności prawnika wszelkie dokumenty zwalniające „Golden Horses” z jakiegokolwiek odpowiedzialności, gdyby sprawy źle się potoczyły.

Muszę was jednak ostrzec: to, co się rozegra przed waszymi oczami, jest przeznaczone wyłącznie dla dorosłych i bardziej szokujące niż wszystko, co do tej pory widzieliście lub zobaczycie.

Jeśli więc ktoś z państwa się rozmyślił i chce zwrotu pieniędzy, niech uda się po nie natychmiast.

Bo oto, panie, panowie, zbliża się on: Władca Konopnego Sznura, Wielki Pętlarz... Ja-a-a-mie Ford!

Z głośników ponownie rozległy się wrzaskliwe fanfary, ale prawie nikt nie klaskał. Rozejrzałem się po „Golden Horses”; ludzie siedzieli w napięciu pośród papierosowego dymu, ich uwagę całkowicie przyciągała szubienica ustawiona na parkiecie. Patrzyli pełnym winy, zahipnotyzowanym wzrokiem... podejrzewam, że ja także. Zupełnie jakby przejeżdżali obok miejsca, gdzie wydarzył się wypadek drogowy — przerażeni i zafascynowani. Wampiry, tak by nas określił personel pogotowia ratunkowego.

— Proszę. — Wolf Bodell szturchnął mnie w łokieć i wręczył szklaneczkę z whiskey. —

Show, co się zowie. Powiedziałbym: najlepszy w całym kraju.

— Ty to zainspirowałeś? — spytałem.

— Jestem menedżerem, to lepiej oddaje sedno rzeczy.

— W jaki sposób dbasz o sprawy człowieka, który się wiesz?

— O wszystko można zadbać na tej stworzonej przez Boga planecie. — Przechylił szklaneczkę z alkoholem. — Nie myślisz chyba, że cokolwiek się dzieje przypadkiem. Jest ktoś, kto chce coś zrobić, i są inni, którzy chcą go zobaczyć. I to cała prawda. Sztuka polega na doprowadzeniu do spotkania w tym samym miejscu i czasie ekshibicjonisty i oglądacza i na osiągnięciu zysku. W ten sposób menedżer dba o twoje sprawy... Powiem ci coś. Zostałem urodzony i wychowany dla jarmarków. Taki był mój dziadek, taki był ojciec, założyciel Wędrownego Cyrku Dziwolągów Bodella. Kiedy miałem trzy lata, zaprowadzono mnie do księcia Randiana, Człowieka Gąsienicy, który nie miał rąk ani nóg i poruszał się kurcząc ciało. Śniłem o nim koszmary przez całe lata i dotąd go pamiętam. Dotąd, człowieku. Oczywiście, to już przeszłość: monstra, kobiety z brodą, to dawno minęło. Zawsze jednak natkniesz się na kogoś takiego jak Jamie Ford, kto nie przystaje do żadnych naszych standardów. Jarmarczni zabawiacze, choć nie ma już jarmarków. Noszą w sobie diabelstwo i nie zaspokojoną potrzebę. Co więcej, ludzie wciąż pragną ich oglądać. Godne ubolewania, prawda?

Nie ma na całym bożym świecie nic bardziej fascynującego niż patrzenie na cudzą śmierć. Z

wyjątkiem patrzenia na cudzą dobrowolną śmierć. Jak na przykład oglądanie podpalających samych siebie buddyjskich mnichów. Widziałem to raz czy dwa. Możesz sobie wyobrazić, że robisz coś takiego dobrowolnie? Bo ja za cholereę. — Kichnął i wytarł nos grzbietem dłoni. — Tak samo jak nie mogę pojąć, dlaczego Jamie się wiesz. I nie chrzań mi o euforii. Wiem tylko, że dopóki on chce to robić, a ludzie oglądać, żal by było marnować tyle dobrej psychozy.

W tym momencie wśród papierosowego dymu pojawił się Jamie, mój szkolny przyjaciel. Dużo chudszy, jakby zszarzał, w jego oczach nie widziałem już żywych chochlików; patrzył martwym wzrokiem.

Proste, przetłuszczone blond włosy sięgały mu niemal do ramion, na głowie miał zawiązaną ciasno czarno-żółtą chustkę. Wyblakła czarna peleryna, która go spowijała, wlokła się po podłodze, a kiedy dał krok do przodu i jej poły rozchyliły się nieco, dostrzegłem chude, nagie nogi i zdałem sobie sprawę, że pod okryciem jest nagi jak nowo narodzone niemowlę.

— A teraz...! — wykrzyknął mężczyzna w świecącym kowbojskim ubraniu — specjalna atrakcja! Dla wzmożenia państwa przyjemności... zachwycająca asystentka pana Forda... Dusząca Kate!

Znowu nierówne fanfary, a po nich bezładne „ju-hu!” i lubieżne gwizdy. Na scenę weszła w tanecznych podskokach wysoka kobieta o bladej skórze, naga, jeśli nie brać pod uwagę czarnych spiczastych butów, cienkiego nabijanego cekinami czarnego paska i chwiejących się na głowie czarnych strusich piór. Zawirowała i światła reflektorów zaślniły na połyskującej skórze. Ogromne piersi przewalały się jak dwa białe wieloryby, taplające się w łagodnej fali przyływu. Brzuch miała zaokrąglony, zupełnie nie napięty. Figura kobiety, która pije za dużo, je zbyt wiele hamburgerów i chipsów i spędza zbyt dużo czasu na oglądaniu telewizji. Uniosła ramiona, rozdając pocałunki w powietrzu i wtedy ją rozpoznałem: Laurel Fay, cheerleaderka z Sher-man Oaks Senior High.

Czerstwa, otluszczona, zdegenerowana siostra obiecującej piękności.

O mało nie uroniłem łzy, wiercie mi. Ale przypomniałem sobie, jak mnie przeklinała w dniu rozdania matur, gdy przyłapałem ją poruszającą się na nim, omal już uduszonym.

„Judaszu! Judasz, pieprzony Iskariota! Nic nie rozumiesz! Ty popieprzony Judaszu! On tego chce! Potrzebuje! Spierdalaj, ty i cała reszta! Tu się życie spotyka ze śmiercią. I śmierć z życiem”.

Jamie okrążał szubienicę, mierzył ją oczami, chwycił mocno i potrząsał, jakby się upewniał, czy jest dobrze osadzona. Z głośników stereo płynęło: „Tie a Yellow Ribbon Round the Old Oak Tree”.

Nie była to dokładna kopia szubienicy, na której powieszono Charlesa J. Guiteau, jak o tym zapewniał mistrz ceremonii. W prawdziwej szubienicy zapadnia znajduje się na wysokości przewyższającej dwukrotnie wzrost człowieka, którego mają wieszać. Kiedy się otwiera, delikwent ma wszelkie szanse na natychmiastowe złamanie karku. Ale tego modelu nie obliczono na szybkie odebranie życia z mocy prawa. Miał służyć powolnemu zaciskaniu pętli.

Kiedy patrzyłem na Jamiego wypróbowującego szubienicę, poczułem spazmatyczny lęk, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyłem. Odwróciłem się do Wolfa Bodella i spytałem:

— Jest tu jakiś telefon?

— Oczywiście, tuż przy kiblu. Ale nie zabaw za długo... wygląda na to, że zaraz się zabierze do rzeczy.

Przeciskałem się przez szumiący zahipnotyzowany tłum. Jamie musiał chyba mnie zauważyć, bo przestał potrząsać szubienicą i popatrzył w półmrok spowijający audytorium, ocieniając wzniesioną dłońią oczy przed blaskiem reflektorów. Skryłem się za olbrzymim facetem o czerwonej twarzy, ubranym w wymięty wizytowy garnitur, a potem przepychałem dalej do telefonu, garbiąc ramiona i odwracając twarz od gilotyny.

Dotarłem do budki, zamknąłem składane drzwi i wrzuciłem do aparatu dziesięć centów. Telefon dzwonił i dzwonił, zanim wreszcie ktoś zdecydował się podnieść słuchawkę.

— Bryce.

— Szeryf Bryce? Tu Gerry z „Bee”. Na pana miejscu przyjechałbym natychmiast do „Golden Horses”. I może być panu potrzebne wsparcie.

— Dopiero co zacząłem jeść kolację. To nie może poczekać?

— Nie, chyba że chce pan tu mieć trupa.

Szeryf Bryce wymamrotał coś niezrozumiale, ale nie dopytywałem się, co takiego. Zacząłem się z powrotem przeciskać do baru, na którym Wolf Bodell ustawił dla mnie trzecią szklaneczkę jacka danielsa. Właściwie byłem już lekko wstawiony, ale nie przyjął odmowy.

— Nie możesz na trzeźwo spojrzeć w twarz Wielkiego Kosiarza — powtórzył raz jeszcze.

Laurel Fay puszyła się i wykręcała piruety wokół Jamiego, a on wszedł na kozioł stojący tuż pod stryczkiem. Kozioł był tak skonstruowany, że jego nogi składały się, gdy się szarpnęło za zwalniający mechanizm sznur, i człowiek zawisał sześć czy siedem cali nad podłogą. Jamie sprawdził

też stryczek: pociągnął delikatnie sznur, by się przekonać, czy dostatecznie luźno chodzi. Z głośników płynęło teraz „Stand By Your Man”. Jamie rozpiął stójkę peleryny — zobaczyłem szyję, zniekształconą śladami po ciasno zaciskającym się sznurze, pokrytą ohydnyymi czerwonymi i fioletowymi siniakami. Tętnica szyjna pulsowała poznaczona sinymi węzłami, jabłko Adama przecinały połyskujące pręgi.

Wzniósł uroczystym gestem stryczek ponad głowę; powiedziałbyś: król koronujący sam siebie.

Wydało mi się, że dostrzegam cień uśmiešku przyczajony na jego wargach, ale może się myliłem.

Laurel Fay, wcielenie Duszącej Kate, ułożyła pokryte czerwoną szminką usta w przesadne „O”, jej piersi podskakiwały z lekkim opóźnieniem w takt jej kroków.

— Serce staje w gardle, nie? — uśmiechnął się do mnie Wolf Bodell. — Dają mu trzy do jednego, że przeżyje. Tym samym, wysycha moje źródło utrzymania.

„Stand By Your Man” przerwały nieoczekiwanie długie, grzmiące werble. Jamie stał

wyprostowany wśród spiralnych kłębow papierosowego dymu, z pętlą na szyi, zapatrzony w dal.

Wypatrywałem potu na jego twarzy, ale była sucha i blada, miała niemal święty wyraz. Zastanawiałem się, nad czym myśli, ale być może w ogóle nie myślał. Naprawdę chciał umrzeć? Czy odwrotnie, był

śmiertelnie przerażony?

— Panie, panowie... trzymajcie się! — wrzasnął mistrz ceremonii.

Jamie zacisnął dłoń na mechanizmie opuszczającym kozioł. Werble przedłużały się. Właściwie słyhać było je już tak długo, że zacząłem wątpić, czy naprawdę to robi. Może nerwy go zawiodły.

Może o ten jeden raz za dużo stanął na kozle i spojrzał w twarz Stwórcy.

Ściągnął jednak lewą ręką pelerynę; ześliznęła się z jego ramion, odsłaniając go całkowicie.

Czerwone usta Laurel Fay wydawały bezgłośnie „O”. Usadowiła się na brzegu kozła i zaczęła pieścić kościste, pokryte bliznami nogi Jamiego, na przemian uśmiechając się do niego i pokazując widowni zaokrąglone usta.

Penis Jamiego zwisał ciężki i ciemny między udami. Laurel Fay przesunęła ramiona ku górze i objęła dłońmi mosznę. Ścisnęła i pocierała penis, aż zaczął leciutko nabrzmiwać. Werble wciąż się

rozlegały, ale całkiem niepotrzebnie. I tak wszyscy w „Golden Horses” patrzyli na Jamiego jak zahipnotyzowani — uchylone wargi, rozszerzone oczy błagały: zrób to, nie, nie rób tego; twarze wyrażały strach i fascynację zarazem.

Nagle stwierdziłem, że przepycham się w stronę podium wykrzykując:

— Jamie! To ja, Gerry! Jamie!!!

— Co z tobą, stary! — Wolf Bodell złapał mnie za łokieć. — Nie przeszkadzaj mu się skoncentrować.

— Jamie! — wydzierałem się.

Przedarłem się przez tłum i stanąłem naprzeciw szubienicy. Laurel popatrzyła na mnie, z początku tylko ze złością, potem z błyskiem rozpoznania w oczach.

— To ty? — powiedziała rozmazanym głosem. Spojrzała na Jamiego, ja także. Uśmiechał się do mnie bolesnym uśmiechem świętego. Władca Konopnego Sznura, Wielki Pętlarz.

— Jamie — odezwałem się najgłośniejszym głosem, jak mogłem, żeby usłyszał mnie mimo werbli i niecierpliwych gwizdów tłumu — to już skończone. Najwyższy czas zejść na dół. Nie musisz już tego dłużej robić.

— Te, facet, zajmij się swoim tyłkiem i spierdalaj stąd — rozdarł się ktoś na mnie, a tłum wyraził aprobatę rykiem i tupaniem.

Jamie patrzył na mnie, ale wcale nie byłem pewien, czy mnie rozpoznaje. Wolałbym wiedzieć, że nie. Bo nieoczekiwanie, bez żadnych wstępnych gestów, pociągnął za sznur zwalniający mechanizm kozła i konstrukcja zapadła się z wdzierającym się w uszy „bang”. Jamie opadł o jakieś trzy stopy, potem zatrzymał z szarpnięciem, a pętla zaczęła się zaciskać na jego szyi. Kołysał się w powietrzu, obracał, przebierając nogami; ręce przycisnął do gardła. Wydawał przerażające zduszone charkoty, a kiedy przekreślił się w moim kierunku i zobaczyłem jego twarz, ciepła gorzka fala podeszła mi do gardła. Był sinofioletowy — ciemnym dojrzałym fioletem oberżyny — i na przemian otwierał i zamykał usta w desperackim wysiłku złapania oddechu.

Rzuciłem się do przodu, ale Wolf Bodell powstrzymał mnie, chwytając za ramię.

— Nie możesz mu pomóc, mój drogi. Nie możesz. Musi to zrobić. Uratujesz go dzisiaj, ponowi próbę jutro.

Jamie wciąż kręcił się na sznurze, a tłum skowyczał ze zgrozy. „Nie, nie nie!” — krzyczała jakaś kobieta i: „Ode-tnijcie go, na litość boską, odetnijcie” — wtórował jej jakiś mężczyzna.

W „Golden Horses” wyczuwało się atmosferę strachu i obrzydzenia, zaprawionego ohydłą podskórną fascynacją. Jakbyś znalazł się w ciepłym wezbranym morzu ze zdrażliwym lodowatym prądem dennym.

Jamie rzeźił i kopał. Kiedy przestawał się kręcić, Laurel popychała go, wprawiając znów w ruch obrotowy. Oczy wyszły mu na wierzch, widziałem napuchniętą sinofioletową tkankę oczodołów, szarpał pętlę wokół szyi tak gwałtownie, że oderwał sobie paznokieć.

A jednak... w końcu Laurel zatrzymała go i wszyscy zobaczyliśmy jego penis w imponującej erekcji. Jądra miał zwarte i nabrzmiące, członek twardy, poznaczony żyłami, twardy jak róg jelenia.

Laurel stanęła naprzeciwko niego i zaczęła całować po bladym brzuchu, zostawiając ślady szminki. Potem odstąpiła o krok i uklękła co najmniej sześć cali od wzniesionego penisa Jamiego, otwierając szeroko usta.

— Matko Najświętsza — powiedział jakiś mężczyzna i nie zabrzmiało to bluźnierczo, nawet tutaj, nawet gdy byliśmy świadkami powolnego i zamierzonego odbierania sobie życia przez uduszenie.

Przez śmiertelnie długą sekundę nic się nie działo. Potem ciało Jamiego wygięło się w łuk.

Przestał szarpać pętlę, ale ręce dalej trzymał przy szyi; naprężone palce sprawiały wrażenie palców kościotrupa. Złapał chrapliwy, urywany oddech, potem jeszcze jeden. Z wytężenia gałka prawego oka dosłownie wyszła mu na wierzch i wisiała na policzku; pozbawiona wszelkiego wyrazu źrenica patrzyła w dół na Laurel.

Zadrżał nieprzyjemnie, konwulsyjnie, główka penisa nabrzmiała jeszcze bardziej i eksplodował

hojnie spermą w szeroko otwarte usta Duszącej Kate. Nigdy nie widziałem, żeby jakiś mężczyzna doszedł do orgazmu, wyrzucając z siebie tyle spermy — rozprysła się po wargach i policzkach Duszącej Kate, kropelki zawisły na rzęsach i przylgnęły do żalobnie czarnych strusich piór.

Nie dotknęła go ani razu. Doszedł do szczytu, bo brakowało mu tlenu; konał; tańczył ze śmiercią. Odwróciła się, unosząc w górę ramiona i skłoniła głowę w czarnych piórach, twarz jej wciąż połyskiwała od spermy.

Opuszczono Jamiego powoli na podłogę. Znalazł się przy nim oczywiście Wolf Bodell i mężczyzna z przetłuszczonymi rzadkimi włosami, papierosem wetkniętym między wargi i zniszczoną lekarską torbą. Dusząca Kate stała nieco z boku, owinięta w brudnawy dziecięco różowy szlafrok z frotte i wycierała twarz chusteczką higieniczną. Wydawała się nie więcej przejęta tym, co zrobiła, niż biegacz, który właśnie ukończył bieg na pięćset metrów w niezbyt olśniewającym czasie.

Nie wiadomo dlaczego spojrzałem na zegarek. Wróciłem sztywnym krokiem do baru i zamówiłem łamiącym się głosem:

— Jack daniels, bez wody i lodu.

Próbowałem przechylić szklaneczkę tak, by nie rozlać whisky, kiedy rozległ się łomot gwałtownie otwieranych drzwi i znany mi głos wykrzyknął:

— Policja! Obława! Nie ruszać się z miejsc! Odwróciłem się i spojrzałem na Wolfa Bodella.

Patrzył na mnie. Nie miałem pojęcia, czy podejrzewa, że to ja dałem cynk szeryfowi, ale akurat w tej chwili zupełnie o to nie dbałem. Ktoś obok powiedział: „Oddycha... chyba mu się udało” i tylko to mnie obchodziło. To i zyskanie pewności, że Jamie już nigdy więcej nie spróbuje się powiesić.

Podszedłem do Duszącej Kate.

— Cześć, Laurel — odezwałem się.

Powoli skierowała na mnie wzrok, wciąż osuszając prawy policzek zmiętą chusteczką.

— Cześć, ty szcurze — odpowiedziała.

Oczywiście, nie doszło do procesu. Władze okręgowi zamknęły „Golden Horses”; jedenaście miesięcy później zaczęły znowu działać jako „Old Placer Rib Shack” i ponownie zostały zamknięte, kiedy stwierdzono u gości liczne zatrucia.

Jamie zgodził się poddać co najmniej trzyletniej terapii w centrum psychiatrycznym

„Fruitridge” dla ciężkich przypadków w Sacramento, unikając w ten sposób więzienia.

Rodzice Laurel Fay zapłacili za nią kaucję i wynajęli w Sacramento oślizłego adwokata, który roztoczył przed prokuratorem okręgowym wizję tak długiego, kosztownego i skomplikowanego procesu, że ten uznał w rezultacie dalsze zajmowanie się sprawą za sprzeczne z interesem publicznym.

Dostałem od Laurel przesyłkę. Trzydzieści srebrnych dziesięciocentówek i pocztówkę z reprodukcją ostatniej wieczerzy, na której wy rysowana długopisem strzałka wskazywała Judasza z Kariotu.

W pierwszym tygodniu września wybrałem się odwiedzić Jamiego. Z terakotowych donic na podwórzu centrum psychiatrycznego „Fruitridge” wyrastały pióropusze palm, ubrane w żółte stroje pielęgniarki pojawiały się i znikwały, uśmiechając się miło i kulturalnie.

Dotarłem chłodnym, pomalowanym na biało korytarzem do pomalowanego na biało pokoju Jamiego. Siedział na prostym drewnianym krześle, zapatrzony w ścianę. Był ubrany w coś, co przypominało kimono judoków, tyle że bez pasa. Włosy mu pojaśniały, nosił je teraz krótko obcięte.

Prawe oko tkwiło na powrót w oczodole, ale dziwnie zezowało i zupełnie nie wiedziałem, kiedy Jamie na mnie patrzy. Skórę miał nienormalnie białą i gładką, ale być może był to efekt uboczny działania leków, które mu podawano.

Przez dłuższy czas rozprawiał o trik traku, twierdząc, że rozgrywa mecze w wyobraźni. Głos miał bezbarwny, pozbawiony wszelkiej ekspresji, wręcz życia. Jakby się wsłuchiwało w monotonie cieknący strumyczek wody. W ogóle nie mówił o szkole, starych dobrych czasach ani też o

„podduszaniu”. Nie zapytał o Duszącą Kate. Wyszedłem smutny, widząc go w tym stanie, ale także zadowolony, że ostatecznie udało mi się go uratować.

Dwa lata później o wpół do trzeciej nad ranem, kiedy mój metabolizm spadł niemal do zera i śniłem o śmierci, zadzwonił telefon. Wymacałem nie otwierając oczu słuchawkę, podniosłem ją, upuściłem, wreszcie wziąłem do ręki na powrót.

— Obudziłem cię? — zapytał ktoś ochryplym, ledwie słyszalnym głosem.

— Kto mówi? — chciałem wiedzieć.

— Obudziłem cię? Nie zamierzałem cię budzić. Zapaliłem lampkę nocną. Na stoliku przy łóżku leżał zegarek, egzemplarz Specimen Days in America z pozaginаныmi rogami, stała oprawiona w ramki fotografia rodziców i szklanka wody.

— Gerry, jesteś tam? — Chwila ciszy, potem kasznięcie. — Gerry? Potrzebuję twojej pomocy.

Bardzo.

— Akurat w tej chwili?

— Zdarzył się wypadek, Gerry. Naprawdę cię potrzebuję.

— Co za wypadek? — Poczułem zimne ciarki na plecach

— Musisz mi pomóc. Tym razem naprawdę musisz m: pomóc.

Zaparkowałem przy hotelu „Fort” i wysiadłem z samo chodu. Na ulicach Sacramento panowała kompletna pustka Hotel „Fort” mieścił się w starym pięciopiętrowym budynku, farba odpadała płatami z pomalowanej na brązowe fasady, rachityczny neon mrugał, wyświetlając napis OR1 HOT.

W budynku obok była chińska restauracja z wymalowanym na szybie okna połyskującym smokiem.

W hotelu dawało się wyczuć zapach środka dezynfekującego i wymiocin. W recepcji siedział

z dumiejąco schludny młody, przystojny mężczyzna z dobrze ostrzyżonym włosami. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i czytał „Europa za sześćdziesiąt dolarów na dzień”.

— Pięćset trzy — odpowiedział, nawet na mnie nie spojrzawszy, kiedy zapytałem o numer pokoju Jamiego.

Podszedłem do windy.

— Nie działa — poinformował, wciąż nie podnoszą oczu.

Pokonałem pięć kondygnacji schodów jak pięć kręgów czyścica. Zza pozamykanych drzwi dobiegał pomruk telewizorów, niewyraźne strzępy rozmów, nieprzyjemny zapach wystającego jedzenia.

Poszedłem długim, wąskim, wyłożonym linoleum korytarzem do numeru pięćset trzy. Przez moment stałem przy drzwiach i nadśluchiwałem. Wydawało mi się, że ze środka dochodzi niezbyt głośna

marszowa muzyka. Zapukałem.

— Jamie? Jesteś tam? To ja.

Długo czekałem, zanim otworzył. Łańcuch, zamki, zasuw. Wreszcie drzwi się uchyliły i usłyszałem.

— Wchodź prędko.

Zawahałem się chwilę, ale jednak wszedłem. Pokój oświetlała tylko lampa bez abażura, rzucająca ostre, wyraziste cienie. W powietrzu unosił się wstrętny zapach — moczu i zepsucia. W

przeciwległym końcu pokoju stała sofa, zarzucona brudnymi czerwonymi kocami. Po mojej lewej ręce leżał przewrócony fotel, ukazujący poszarpane wnętrze.

Jamie stał zupełnie nagi. Nie rozpoznałbym go, gdybym nie wiedział, że to on, tak był

wychudzony. Jego ciało pokrywały blizny, wokół oczu miał czerwone obwódki, włosy zmierzwione, sterczące w nieporządnym kępkach. Na szyi wisiał mu stryczek z cienkiego nylonowego sznura, tak długiego, że zwinął go w luźne pasma i przewiesił sobie przez lewe ramię jak kelner serwetkę.

— Myślałem, że cię wyleczyli — powiedziałem.

— To niemożliwe — odparł z dziwacznym uśmiechem. — Taki po prostu jestem.

— Mówiłeś, że się wydarzył wypadek. Jaki?

Podszedł powłócząc nogami do sof. Rzuciwszy mi przelotne spojrzenie, ściągnął obrzydliwie brudne koce. Nie od razu dotarło do mnie to, co zobaczyłem. Białe, zaokrąglone kształty...

Podszedłem bliżej i rozpoznałem Duszącą Kate. Leżała w czarnych koronkowych rajstopach bez kroku, z jej sromu wystawał koniec wielkiego niebieskiego wibratora z plastiku. Brzuch rozlewał jej się na boki. Piersi miała posiniaczone, brodawki sine jak śliwki. Patrzyła nieruchomo w fałdę koca leżącego o cale od jej nosa. Twarz miała przeraźliwie białą; tak białą, że omal niebieskawą. Jej szyję oplatał cienki sznurek, w węźle tkwił złamany ołówek. Najwyraźniej obracano nim tak długo zaciskając pętlę, aż się udusiła.

— Nie żyje — odezwał się Jamie. Zakryłem ją kocem.

— Wiesz, że teraz już nie jestem w stanie cię uratować — powiedziałem. — Bóg mi świadkiem, próbowałem. Ale teraz to już niemożliwe.

— Przecież właśnie tego chciała — oznajmił rzeczowym tonem. — Omawialiśmy to tygodniami. Obracałem ołówkiem, a ona dochodziła, obracałem, ona dochodziła i znowu... — urwał.

— Żałuję, że to nie ja, tylko ta sztuczna zabawka. Ale dzisiaj to jedyny sposób, w jaki mogę te zrobić.

— Dzwonię po gliny.

— Jasne. — Przeciągnął palcami po sznurze zapętlonym wokół szyi. — Chyba musisz.

— Masz tu telefon?

— N-nie. Na końcu korytarza jest automat.

— Musisz iść ze mną — powiedziałem, drżąc, jakbym umierał z zimna; zrozumiałem, że jestem w szoku. — Nie zostawię cię tutaj samego.

— Dobra. — Kiwnął głową na zgodę. Pomyślawszy przez chwilę, wręczył mi koniec sznura.

— Masz, to mnie powstrzyma od ucieczki.

Wyszliśmy na korytarz, Jamie szedł z przodu, powłócząc nogami.

— Dobrze się czujesz? — zapytałem go.

— W porządku, jak zawsze — zapewnił unosząc rękę. Myślałem nad tym, co powiem policji, tymczasem dotarliśmy do zakrętu i zobaczyłem ziejący szyb windy. Ciemne wiejące przeciągiem drzwi donikąd. Ktoś zaklinował drzwi z rozsuwanej żelaznej kraty poplamionym farbą trzonkiem oskarda. Nic dziwnego, że portier uznał windę za zepsutą. W tym momencie pojąłem, co Jamie chce zrobić, ale sekunda, w której może mogłem go powstrzymać — minek. Jak większość ludzi na świecie robię wszystko, by żyć w zetknięciu z kimś, kto czyni dokładnie odwrotnie, a wszyscy okazujemy fatalne w skutkach niedowierzanie.

Jamie wbiegł — rzuciwszy się jak sprinter — wprost w otwór szybu windy i opadł w dół nie krzyknawszy; w ogóle nie usłyszałem żadnego dźwięku. Runął i zniknął, jakbym oglądał sztuczkę prestidigitatora.

Sznur, który trzymałem, rozwijał się i zniknął w szybie, aż nagle naprężył się z szarpnięciem. O

mało nie wyrwał mi ramienia z barku. Potykając się, chwiejnym krokiem podszedłem do windy i łapiąc się za kratę, przyciskając do niej, stanąłem na krawędzi szybu. Wsparty plecami o żelazne drzwi, wychyliłem się ostrożnie i spojrzałem w dół. Z trudem chwytając powietrze, okryty potem, powtarzałem szeptem:

— Boże, pomóż mi, proszę, Boże, pomóż mi.

Trzydzieści stóp pode mną w niosącym echo, wietrznym półmroku szybu windy wisiał Jamie z pętlą zaciśniętą na szyi. Ramiona rozłożył szeroko, palce stóp miał obciążone jak u baletnicy. Głowę odrzucił do tyłu w ekstazie. Sznur zachrząścił, potem zapadła cisza, znów chrząst i cisza.

Otworzył oczy i spojrzał na mnie triumfalnie, twarz miał poszarzałą z braku tlenu. Zrobił to.

Zrobił mi to po tych wszystkich latach. Martwiłem się o niego, opiekowałem się nim, przyrzekłem go

uratować, a on posłużył się mną, by się ostatni raz powiesić.

Próbował coś powiedzieć, wyszydzić mnie, ale pętla zbyt mocno ścisnęła mu krtań. Kołysał się i widziałem, jak jego penis się podnosi, pulsuje za każdym uderzeniem serca. Oczy wyszły mu na wierzch. Język wysunął się między wargi, napuchnięty i szary.

Miałem do wyboru: albo trzymać koniec sznura i powiesić go, albo odejść. W tym wypadku opadłby szybem winy cztery piętra w dół.

Trzymałem kurczowo sznur i nagle doznałem olśnienia. Kim jest zbawca, w dłuższej perspektywie? Kim jest oddany przyjaciel? Nie czynimy nic poza odwlekaniem nieuniknionego. Nie jesteśmy niczym więcej jak czekającymi oprawcami.

Jakże byłem obłudny. Tak się o niego martwiłem, tak się nim opiekowałem.. W rzeczywistości przedłużałem tylko jego agonię.

Powiniennem był pozwolić mu się powiesić w szkole. A jeszcze lepiej —jego matka powinna była mu pozwolić udusić się własną poduszką.

Trzydzieści stóp pode mną Jamie okręcał się na sznurze, aż wreszcie wydał wysoki piskliwy okrzyk, jakiego nigdy przedtem ani potem nie słyszałem. Pełen żalu i smutku, ekstatyczny i męczeński. Nasienie trysnęło, a potem jeszcze raz i jeszcze jeden i opadło w głąb szybu.

Wychyliwszy się, powiedziałem:

— Bądź przeklęty, Jamie.

Nie wiem, czy mnie słyszał.

Potem pozwoliłem mu odejść.

Wnikający duch

Nowy Jork

Manitou — pierwsze opowiadanie horroru, jakie napisałem, mówiło o tym, jak Misquamacus, legendarny szaman Indian, usiłował powrócić ze świata umarłych, aby dokonać zemsty na białym człowieku. Powrócił w formie szkaradnego guza na szyi młodej dziewczyny, Karen Tandy, która omal nie przypłaciła tego życiem.

Misquamacus pojawił się także w *Zemście Manitou* i *Pogrzebie*, gdzie usiłował odnowić dawny religijny rytuał, *Taniec Duchów*, za którego pomocą zdesperowani Indianie Ameryki Północnej chcieli odeprzeć łupież-

czych osadników.

Teraz Misquamacus wraca raz jeszcze, posługując się zaklęciem przekazanym przez czejeńskich

czarowników, używanym gdy chciano pomóc tym, którzy nie mogli dotrzeć do Krainy Wiecznych Łowów.

Akcja rozgrywa się w Nowym Jorku, dzisiejszym i dawnym, gdy nie był niczym więcej jak skalistą dziką wysepką.

Strach ma tu wiele aspektów, ale najbardziej przerażającym jest nienawiść i nieokiełznana chęć zemsty.

WNIKAJĄCY DUCH

— Panie Erskine, czy mogłabym z panem zamienić kilka słów? — zapytała przedszkolanka.

Czekałem w holu, żeby zabrać Lucy do domu, i natychmiast poczułem się winny. Idiotyczne, ale w taki właśnie sposób wciąż reaguję na nauczycieli. A już zwłaszcza na panią Eisenheim, opiekunkę Lucy, szczupłą, dominującą kobietę o drapieżnym wyglądzie. Młoda kobieta w szarej garsonce, bardzo atrakcyjna, jeśli ktoś lubi szczupłe dominujące dziewczyny o drapieżnym wyglądzie.

Łatwo mi przyszło wyobrazić ją sobie w czarnym pasie i pończochach, łajającą mnie głośno, że zapomniałem wyszorować wannę.

Szedłem za panią Eisenheim do biura, a wszyscy obdarzali mnie współczującymi uśmiechami.

Wszyscy, czyli zgromadzone w holu żony lekarzy, adwokatów i audytorów z Wall Street. Byłem mężczyzną dysponującym czasem w porze lunchu i pojawiałem się regularnie w Lennox Nursery School, z początku więc panie odnosiły się do mnie z głęboką podejrzliwością, zwłaszcza że nie umiałem się elegancko ubrać. Brązowy skórzany żakiet nie był według nich czymś całkiem na miejscu. Po pewnym czasie uznały jednak, że nie jestem człowiekiem przegranym ani pedofilem i dopuściły mnie nawet do ploteczek i sekretów. Po pół roku byłem już traktowany jak ktoś w rodzaju honorowej matki.

Pani Eisenheim zaprowadziła mnie długim, wypastowanym korytarzem, odbijającym echem nasze kroki, do małego, dusznego pokoiku, którego ściany ozdabiałały mapy, wykresy i reprodukcja przedstawiające George'a Washingtona podczas przeprawy przez Potomac. Z okna rozciągał się widok na wyasfaltowany plac zabaw, otoczony płotem z drucianej siatki, oplecionym pozwijanymi żółto-szarymi liśćmi.

— Proszę, niech pan zamknie drzwi.

— Czy coś się stało? — zapytałem.

— Niestety, tak. Próbowałam się do pana dodzwonić, ale pana nie zastałam. Wydarzył się dzisiaj wypadek w czasie zajęć wolnych i musieliśmy odseparować Lucy od reszty klasy.

— Wypadek? Co za wypadek? Przecież ona ma dopiero cztery latka, na litość boską! —

zareagowałem natychmiast, zarazem histerycznie i obronnie, jak przystało na nadopiekuńczego ojca

małeńkiego, najukochańszego skarbu.

— Chodzi o bójkę... tak to nazwijmy, na placu zabaw. Dwoje małeńkich dzieci doznało poważnych urazów.

— To znaczy?

— Jedno ma zwichniętą nogę w kostce, drugie głęboko rozcięte kolano.

— Chce mi pani wmówić, że Lucy to zrobiła?

— Są świadkowie, panie Erskine, i to nie tylko dzieci. Także pani Woolcott widziała, co się stało — ściągnęła wymownie wargi.

— No właśnie, co się stało? Doprawdy, pani Eisenheim, raczej trudno mi w to uwierzyć. Lucy ma najłagodniejszy charakter spośród wszystkich dzieci, jakie znam. Mówimy o małej dziewczynce, która nie skrzywdziłaby muchy.

— Cóż, panie Erskine, przyznaję, że do tej pory mieliśmy o Lucy podobne zdanie. Dzisiejszy wyczyn zupełnie do niej nie pasuje, niemniej chyba pan rozumie, że musieliśmy przedsięwziąć pewne kroki.

— To znaczy co, wziąć ją pod klucz?!

— Proszę się nie denerwować, panie Erskine, Lucy nie siedziała pod kluczem. Po prostu przebywała z dala od innych dzieci, a jedna z naszych praktykantek czytała jej na głos.

— I co jej przeczytała? „Nie musisz odpowiadać, ale cokolwiek powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie w sądzie”? Życzę sobie natychmiast zobaczyć Lucy, oczywiście, jeśli pani nie ma nic przeciwko temu, panie Eisenheim. Nie do wiary, żeby traktować czteroletnie dziecko jak zatwardziałego kryminalistę, bo dwoje dzieci nie zdołało utrzymać równowagi podczas zabawy na przedszkolnym podwórzu!

— Panie Erskine! — Nauczycielka uderzyła otwartą dłonią w blat biurka. — Nie ma mowy o traceniu równowagi, jak się pan wyraził. Trudno nawet nazwać to bójką! Lucy rzuciła Janice Muldrew przez podwórze prosto na płot, a Laurence'a Cullena niemal wcisnęła w mur. Zwaliła siedmioro innych dzieci, zanim pani Woolcott zdołała ją okiełznać.

Patrzyłem na nią i zupełnie nie wiedziałem, co mógłbym powiedzieć.

— Nikt nie stracił równowagi, panie Erskine! To był dziki, zamierzony atak, akt niezwykłego okrucieństwa. Muszę pana prosić o zasięgnięcie porady psychiatry, zanim pozwolimy Lucy spędzić następny dzień w towarzystwie dzieci.

— Przerzuciła Janice Muldrew przez podwórko? — powtórzyłem jej słowa. — Czy to ta duża, gruba dziewczynka z rudymi warkoczami? Nie mylę się?

— Janice rzeczywiście ma rudawe włosy, tak. I rzeczywiście waży trochę za dużo.

— Trochę za dużo? Czy pani zdaje sobie sprawę z jej rozmiarów? Ja sam pewnie bym jej nie uniósł nad ziemię, a co dopiero podrzucił. Spodziewa się pani, że uwierzę, aby Lucy tego dokonała?

— Przeleciała pięć albo sześć stóp. Są świadkowie.

— Świadkowie. Tego że małeńka, szczupluteńka Lucy przerzuciła tę beczkę tłuszczu na odległość pięciu czy sześciu stóp?

— Wolno panu mówić, co się panu żywnie podoba. Niemniej Lucy może do nas wrócić dopiero po przedstawieniu opinii psychiatry.

Lucy siedziała w małeńkiej salce na tyłach budynku. Wyglądała krucho i bezbronne, była blada, oczy miała zaczerwienione od płaczu. Młoda praktykantka o blond włosach siedziała koło niej, czytając opowiadanie o dziewczynie, która zakochawszy się w niedźwiedziu, dobrowolnie przemieniała się stopniowo w niedźwiedzicę.

— Popatrz, Lucy — powiedziała, zamykając książkę. — Tata przyszedł.

Lucy zsunęła się z krzesła i podeszła do mnie powoli. Próbowwała się powstrzymać, ale w końcu wykrzywiła twarz, szlochając boleśnie. Podniosłem ją i objąłem mocno.

— No już, skarbie. Tata jest z tobą. Wszystko będzie dobrze.

— Nie chciałam — łkała. — Nie chciałam.

— Oczywiście, skarbie. Wiem, że nie chciałaś. No już, cicho, mała. Pojedziemy do domu do mamusi, tak?

— Jest roztrzęsiona — odezwała się praktykantka. — Robiłam, co mogłam, żeby ją pocieszyć.

— Co to za opowiadanie pani jej czytała?

— Och, to stara legenda Nawahów. Robimy wszystko, żeby rozbudzić w dzieciach zainteresowanie dla rdzennej kultury Ameryki.

— Wolałbym, abyście nie eksperymentowali na moim dziecku, zgoda?

— Przykro mi, że pan tak to odbiera. — Była zdumiona. — Według nas to wzbogaca dzieci.

Nie zamierzałem wdawać się z nią w spór. Moje spotkania z rdzenną kulturą Ameryki okazały się niebezpieczne, często przerażające, wręcz tragiczne, ale za długo by było o tym opowiadać, a zresztą wątpię, czy by mi uwierzyła. Sprawiała wrażenie typowej abiturientki świetnego college[^]: nasycona prawdami moralnymi i całkowicie pozbawiona doświadczenia. Ciekawe, jak by zareagowała, gdyby stanęła przed Jaszczurem-z-Drzew albo zgarbionym, mrocznym kształtem Aktunowihio ściągającego ludzi do Krainy Wiecznych Łowów.

Wyszedłem ze szkoły z Lucy wtuloną w moje ramiona. Wieść o wydarzeniach na placu zabaw

musiała się już rozejść, ponieważ wszystkie mojedotyczasowe przyjaciółki spoglądały akurat na kogoś innego albo szperały w torebkach, albo miały kłopoty z soczewkami kontaktowymi. Szybko przekonujesz się, kto nie należy do przyjaciół, kiedy twój dzieciak wpada w kłopoty.

Stadko szpaków upstrzyło mój nowy biały samochód, zaparkowany pod drzewem. Można by pomyśleć, że jadły na lunch sałatę. Wpuściłem Lucy na tylne siedzenie, upewniłem się, że jest przypięta pasami i pojechałem do domu. Był oddalony zaledwie o dziewięć przecznic, ale posiadanie samochodu wciąż miało dla mnie urok nowości i gotów byłem pogodzić się ze wszystkimi niedogodnościami wynikającymi z siedzenia za kierownicą tylko dla przyjemności korzystania z klimatyzacji, słuchania płynącej z odtwarzacza CD muzyki soul, no i paplania mojego najdroższego czarodziejskiego skarbu o tym, co robiła w przedszkolu.

Tylko że dzisiaj skarb nie paplał. Nie powiedziała nawet słówka. Siedziała zapatrzona w okno, z głową smutnie przechyloną na jedno ramię i na nic się zdało moje zagadywanie. Nie wiadomo dlaczego, wciąż przypominało mi się opowiadanie, które czytała jej praktykantka. „Stopniowo dziewczyna się przeobrażała. Zęby jej się wydłużały, paznokcie zmieniały w pazury, a potem całe ciało zaczęło się pokrywać gęstym czarnym włosem”.

Zerknąłem we wsteczne lusterko. Pierwszy raz pełniłem rolę ojca, ale jak dotąd wszystko było proste. Pusty brzusek — trzeba dziecko nakarmić. Pełna pieluszka — trzeba ją zmienić. Uczyłem ją wymawiać „r” i usiłowałem wpoić proste równanie: tata + mama + skarb = radość. Nie chciałem sprawiać wrażenia ckliwie sentymentalnego, ale poślubienie Karen i narodziny Lucy przyniosły mi wreszcie poczucie spełnienia. Jakbym do czterdziestki siedział w ponurym pokoju i nagle Bóg otworzył jego drzwi, sprawił, że zalało go słońce i zapytał: „Coś ty robił tyle lat w tym ponurym miejscu, Harry? Życie czekało za drzwiami”.

Dojechaliśmy do naszego apartamentu przy E 86 i udało mi się zaparkować w miejscu zdolnym pomieścić wózek z obwarzankami. Bez przesady zasłużyłem sobie na miano Nadzwyczajnego Erskine, którym kiedyś się posługiwałem. Wyniosłem Lucy z samochodu i wszedłem na stopnie domu. Kiedy stanęliśmy przed drzwiami, powiedziała:

— Postaw mnie na ziemię, tatusiu. Nie chcę, żebyś mnie dłużej nosił.

— Oczywiście, co tylko sobie życzysz — zapewniłem. Popatrzyła na mnie poważnie wielkimi ciemnymi oczami.

Trudno by ją było określić mianem ślicznej małej dziewczynki. Nie przypominała Shirley Tempie. Czarne proste włosy miała obcięte na pazia, była delikatnie zbudowana, jak Karen, niemal zwiewna. Zawsze uważałem, że jest zbyt blada, jak zresztą większość miejskich dzieci. I zawsze miałem wrażenie, że mogę jej złamać nadgarstek lub zrobić jakąś krzywdę, kiedy ją trzymałem, tak szczupłe miała ramiona i nogi.

— Posłuchaj — zacząłem — mama na pewno zapyta, co ci się przytrafiło. Co jej powiesz?

— Ja nie chciałam — wyszeptwała. Pojedyncza łza spłynęła po jej lewym policzku i spadła na kołnierzyk niebieskiej bluzeczki w kratkę. — Powiedziałam im, że są wszyscy bardzo źli, bo to

prawda, a wtedy się rozzłościli i musiałam się ich pozbyć.

— Powiedziałaś im, że są źli? Dlaczego, skarbie?

— Muldrewsowie, Cullensowie, wszyscy oni są źli. Zabijają dzieci.

— Zabijają dzieci? — Strzepnąłem kolejną łzę z jej policzka. — Kto ci coś takiego powiedział?

Pociągnęła nosem, a po chwili uniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

— To mistai. Oni nigdy nie kłamią.

— Mistai? — Poczulem ból, jakbym przełykał wielką, przeraźliwie zimną bryłę lodu. — Mistai ci to powiedzieli? Co o nich wiesz?

Nagle wybuchnęła płaczem i przylgnęła do mnie. Nie mogłem nic na to poradzić, otworzyłem więc drzwi i wniosłem ją do środka. Hol był wyłożony marmurem, wzór na podłodze układał się w różę wiatrów. Dużo luster, wszędzie świeże kwiaty — uspokajająca aura zamożności. Wkrótce po naszym ślubie zmarła ciotka Karen, Millie, która świata nie widziała poza swoją siostrzenicą, i to po niej właśnie odziedziczyliśmy apartament przy E 86, całkowicie umeblowany, w stylu, który bym określił jako: Walt Disney w Wersalu: pozłacane krzesła, rokokowe serwantki, zasłony z brokatu, wystarczająco obfite, by wykroić nowe stroje dla pięciuset watykańskich gwardzistów. Jednym słowem, obfitość i brak gustu w równych proporcjach. Niemniej nigdy się nie uskarżałem. Nie zagłębia się darowanemu apartamentowi w zęby, powtarzałem, nawet jeśli wygląda jak kiczowata kopia buduaru Marii Antoniny. A już zwłaszcza nie wnosi się pretensji, jeśli mieszkaniu towarzyszą dwa miliony dolarów.

Posadziłem Lucy na szerokiej kanapie w żółte paski. Karen siedziała w rogu pokoju przy łap topie stojącym na małym biurku z orzecha i zaferowana robiła rachunki.

— Cześć — powiedziała — witajcie w domu, ja zaraz... tylko wprowadzę te dane.

Podszedłem i położyłem ręce na jej ramionach. Żyliśmy ze sobą pięć lat i wciąż była tak samo piękna i krucha, jak w dniu, kiedy ją spotkałem. Bywają kobiety, które kocha się, ponieważ są kumplowskie, seksy i można na nie liczyć. Karen kochałem, ponieważ musiałem ją kochać. Była mi przeznaczona. Jeśli Bóg wyznaczył mi jakąś rolę na tej ziemi, to przyszło mi opiekować się Karen. I wypełniałem wyznaczone zadanie.

— Posłuchaj... Lucy miała problemy w przedszkolu.

— Problemy? Jakie? Lucy, dobrze się czujesz?

Lucy odwróciła głowę w bok, żeby nie patrzeć na mamę. Ścisnąłem delikatnie ramię Karen, chcąc ją powstrzymać.

— To chyba poważne. Groźniejsze niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

— Harry, przestań być taki tajemniczy i powiedz mi wreszcie, co się stało!

Podszedłem do córeczki i usiadłem obok niej.

— Chodź tu, malutka. Powiemy mamusi, co się wydarzyło?

Potrząsnęła głową i wtuliła twarz w poduszkę.

— No dobrze — oświadczyłem. — Z tego, co usłyszałem w przedszkolu... — zwróciłem się do Karen — ale zanim eksplodujesz, weź pod uwagę, że powtarzam tylko, co mi powiedziano i sam nie bardzo w to wierzę... więc według nauczycielki Lucy cisnęła Janice Muldrew pięć czy sześć stóp przez plac zabaw, tak że tamta nieźle się posiniaczyła i zwichnęła kostkę. Wtłoczyła też Laurence'a Cullena w ścianę, tak że skaleczył głęboko kolano i o mało nie złamał nosa. Potem rozgromiła jak Bruce Lee siedmioro innych dzieci, powalając je na podwórko, drapiąc, bijąc i kopiąc.

— Ależ to paranoja! — Krew odłłynęła Karen z twarzy. — Spójrz na nią! Przecież jest tylko jedno mniejsze od niej dziecko w grupie! Cisnęła Janice Muldrew? W życiu nie słyszałam podobnego idiotyzmu! — Pomaszerowała z godnością do pseudoosiemnastowiecznego stolika i podniosła słuchawkę telefonu.

— Co ty robisz? — zapytałem.

— Dzwonię do szkoły. Nikt, ale to nikt nie będzie oskarżał mojej córki o używanie przemocy.

To przecież jeszcze dziecko, na litość boską!

— Nigdzie nie dzwoń, przynajmniej na razie. — Podszedłem do niej i nacisnąłem widełki. —

Powinnaś się dowiedzieć czegoś jeszcze.

— Harry, co ty wygadujesz, mowa o naszej córce!

— Właśnie. Oboje pamiętamy, kiedy ją poczęliśmy, prawda? I oboje wiemy, że może być dość specyficzną osobą.

— Myślałam, że to już zapomniane. — Powoli uniosła rękę i dotknęła mojego rękawa, jakby upewniając się, że stoję przy niej naprawdę. — Boże, Harry, nawet już o tym nie śnię.

— A jednak. Kiedy Lucy rozmawiała ze mną na schodach, wypowiedziała słowo mistai.

Dwukrotnie.

— Mistai? Gdzieś już to słyszałam...

Wyjaśnienie nie przyszło mi łatwo. Przecierpiała wiele i ostatnią rzeczą, o jakiej chciałyby słuchać, były rytuały dawnych Indian. Poznałem ją w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy szaman Algonkinów, Misquamacus, próbował się nią posłużyć, żeby wyrzucić świętą zemstę na białych

ludziach, którzy zdziesiątkowali jego plemię. Wykorzystał swój olbrzymi potencjał magiczny, aby zagnieździć się w jej ciele, i dopiero przy pomocy współczesnego maga, Śpiewającej Skały, udało mi się ją uratować. Pięć lat temu Misquamacus próbował zawładnąć nią po raz drugi i wtedy właśnie ja i Karen — nie zdając sobie sprawy z jego przemożnej obecności — kochaliśmy się po raz pierwszy i poczęliśmy Lucy.

Tym razem sam ją musiałem ocalić; Misquamacus zabił Śpiewającą Skałę. Obciął mu głowę, by zyskać pewność, że jego duch nigdy nie zazna spokoju.

Te wszystkie wydarzenia związały nas z Karen na zawsze. Oboje zostaliśmy wystawieni na straszliwe niebezpieczeństwo, mimo to udało nam się zachować życie. Ale nawet dla ocalałych rozbitków czas biegnie naprzód. Karen zaczęła spędzać coraz więcej czasu poza domem: spotkania w interesach, narady, podróże za granicę; i choć kochałem ją bardzo, a nasze życia były ze sobą nierozzerwalnie połączone, trochę się od siebie oddaliliśmy przez ostatnie półtora roku. Ale teraz, dla bezpieczeństwa Lucy, a może i własnego, znowu musieliśmy się do siebie ściśle zbliżyć.

— Indianie Paunisi określali mianem mistai duchy — powiedziałem, ujmując jej dłoń. —

Powiedziały Lucy, że Janice Muldrew i Laurence Cullen to źli ludzie, którzy zabijali dzieci. To jej słowa.

— Skąd się do diabła Lucy mogła dowiedzieć o duchach Paunisów?

— Nie wiem. Uczą ich w Lennox o mitach rdzennych ludów Ameryki. Może coś jej utkwiło w głowie. Na litość boską, ma dopiero cztery lata i sama wiesz, co dzieci potrafią sobie w tym wieku wyobrazić.

— Czy naprawdę przerzuciła Janice Muldrew przez plac zabaw? — Karen chwyciła mnie za drugą rękę i zacisnęła na niej mocno dłoń.

— Nie wiem. Pani Eisenheim twierdzi, że byli świadkowie, ale... czasem trudno polegać na świadkach, zwłaszcza jeśli są dziećmi.

— A ty wierzysz, że Lucy to zrobiła? — zapytała z przejęciem.

— Oczywiście że nie. — Potrząsnąłem głową. — Janice jest dwa razy od niej większa.

— Właściwie zawsze się tego bałam. — Karen puściła moją dłoń i odwróciła głowę; jej twarz odbiła się w szybie. — Od momentu, gdy stwierdziłam, że jestem w ciąży.

Nic nie powiedziałem, objąłem ją tylko ramionami.

— To nie jest zwykły zbieg okoliczności, że wspomniała o mistai w dniu, kiedy zaatakowała inne dzieci.

— Daj spokój, Karen, nie sugerujesz chyba...

— Nie, nie sugeruję. Lucy jest miłym, kochającym, łagodnym dzieckiem i coś takiego jak dzisiaj mogła zrobić wyłącznie, jeśli ktoś nią zawładnął. Ktoś silniejszy od niej... Silny na tyle, by cisnąć Janice Muldrew sześć stóp w powietrze i zbić pozostałe dzieci. Ktoś niewidzialny dla innych, bo nie stał przy niej, nie pomagał jej, po prostu był w niej, tak jak kiedyś we mnie.

— Karen...

— Wiedziałam, że to się zdarzy! Wiedziałam! Że nigdy nie zostawi nas w spokoju. Chce wrócić, a może to zrobić tylko przez Lucy. W taki sam sposób, jak kiedyś próbował wrócić przeze mnie.

— Naprawdę w to wierzysz, Karen? Daj spokój, minęły całe lata.

— Wiem, jak to jest być nim. — Oczy jej błyszczały od łez, ale i zdecydowaniem. — To jak szalejący wewnątrz człowieka pożar. Czułam się zdolna do wszystkiego: mogłam zabijać ludzi, miażdżyć ich głowy i kości, rozkoszować się tym. Nikt nie był zdolny mnie powstrzymać. Nie zapomnę o tym, Harry, i nie chcę, żeby się powtórzyło. Nie z Lucy. Proszę.

Żadne z nas nie ośmieliło się wypowiedzieć imienia Misquamacus. Przez pięć lat chcieliśmy wierzyć, że jego duch znalazł miejsce w niebie albo w świecie podziemnym lub też wędruje po gościńcu Mlecznej Drogi, Wiszącym Moście, błyszczącym duszami umarłych, jak chcą Indianie.

Woleliśmy nie myśleć, że mógł wywrzeć wpływ na jedyną istotę, którą ukochaliśmy ponad życie: naszą córkę, Lucy.

— Słuchaj... może jesteśmy przewrażliwieni — sugerowałem. — Może to zwyczajny napad złego humoru. Dzieci miewają takie napady. Kiedy wzrasta poziom adrenaliny... wiesz, do czego są zdolni ludzie pod wpływem adrenaliny. Pewna kobieta w Indianie podniosła pontiaca, który miażdżył

jej syna. Każdy by udowodnił, że to niemożliwe, a jednak tego dokonała. Może coś podobnego przytrafiło się Lucy?

— Dzwonię do rodziców Janice — powiedziała Karen. A potem Laurence'a.

— Pobiła jeszcze siedmioro innych dzieci — przypomniałem jej. — Na twoim miejscu nie deklarowałbym tak ochoczo, że czujesz się odpowiedzialna. Lepiej, żeby nie wpadło im do głowy pomyśleć o odszkodowaniach i prawnikach. Po raz pierwszy w życiu mam trochę pieniędzy.

Wolałbym ich nie stracić z powodu awantury wśród dzieciaków. Nawiasem mówiąc — dodałem skrępowany — pani Eisenheim nie pozwoli jej wrócić do przedszkola, zanim nie otrzyma opinii psychiatry.

— Co takiego? — zapytała Karen. — Sugeruje, że moja córka jest nie zrównoważona psychicznie? Nie mów mi wobec tego o prawnikach i rekompensatach. Co za głupia baba! Wycisnę ją do ostatniego centa!

— Karen... to szaleństwo. Nie wiemy dokładnie, co się wydarzyło. Nie ma sensu wpadać w panikę — próbowałem ją uspokoić.

— Robi się z naszej córki psychopatkę, a ja mam nie wpadać w panikę?

Przytuliłem ją do siebie. Była ciepła, pachniała jak zawsze chanel i kochałem ją niewiarygodnie.

Mimo to ogarnęło mnie przeczucie, że dopóki pozostaniemy razem, będzie się nad nami unosił cień Misquamacusa; nie da nam wytchnienia, jak nie daje wytchnienia swojej ofierze Indianin tropiący ją na prerii, mila za milą, dopóki nie stanie nad grobem wroga.

Ranek wstał rześki i słoneczny. Lucy bawiła się w swoim pokoju domkiem dla lalek. Barbie usiłowała się wydostać przez okno na piętrze i utkwiała w nim z biustem przyklejonym do parapetu.

Siedziałem po turecku, obserwując Lucy, jak się bawi.

— Ci mistai — zacząłem.

— Jacy mistai?. — Odwróciła się i popatrzyła na mnie czarnymi jak węgiel oczami.

— Ci, którzy powiedzieli, że Janice i Laurence są źli. To znaczy, chciałbym wiedzieć, skąd wiesz, że nazywają się mistai.

— Bo tak.

— Widziałaś ich? Jak wyglądają?

Myślała przez chwilę, a potem zakryła twarz dłonią tak, że było jej widać tylko oczy. Gdybym o tym nie czytał, nie zwróciłbym uwagi na to, co robi, ale pamiętałem słowa starych przekazów o Misquamacusie. „Zapytany, jakież jest owego Demona wygląd, prastary Czarownik Misquamacus zakrył twarz rękoma, tak że jeno Oczy jego widać było, po czym dał niezwykłą a Szczegółową Relację. Pawił, że czasami jest on mały a masywny jako Wielka Ropucha, czasami zaś wielki i bezkształtny niby chmura; bez kształtu lecz z obliczem, z którego wyrastają Węże”.

— Zakrywali twarze rękami? — zapytałem.

— Nie mają twarzy — potrząsnęła głową. — To są mistai.

— Przyszli na przedszkolne podwórze i rozmawiali z tobą?

— Tak. Byli szarego koloru i ledwo ich widziałam, ale powiedzieli, że Janice Muldrew jest zła i Laurence Cullen jest zły, i jeszcze inne dzieci. Więc ja tylko powtórzyłam, że są źli, no bo byli.

— I co się potem stało?

— Potem Janice chciała mnie uderzyć i kazałam jej przelecieć w powietrzu — odwróciła wzrok.

— Kazałaś? Nie podniosłaś jej?

— Jest za gruba, żebym ją podniosła.

— I co dalej? Kazałaś Laurence'owi przycisnąć twarz do ściany?

— Uhm. Wcale go nie dotknęłam.

— Kazałaś, a on to zrobił? Tak po prostu?

— Uhm.

— A co z innymi dziećmi? Ta sama metoda?

— Tak. Chcieli mnie zbić, ale powiedziałam: przewracać się i się przewracali.

Zdjąłem okulary i potarłem powieki. Sprawa była poważniejsza niż myślałem. Skoro Lucy mogła nakazać Janice, by wzbijała się w powietrze i zraniła sama siebie; skoro zmusiła Laurence'a, aby pobiegł prosto na ścianę — znaczyło to, że była zdolna korzystać z potężnego potencjału magii Indian, z tej jej formy, która kierowała nienawiścią i agresją wroga przeciwko niemu samemu.

Wyczuwałem obecność Misquamacusa, jego przemożny wpływ, jak wielkiej mrocznej praistoty czającej się w ludzkiej podświadomości. W siedemnastym wieku, kiedy żył, uważano go za najbardziej przerażającego szamana swoich czasów; był jedynym czarownikiem, który ośmielił się nawiązać bezpośredni kontakt ze starożytnymi bóstwami Ameryki. O jego sile magicznej krążyły legendy. Zmieniał bieg rzek, wywoływał deszcz, wiarygodni świadkowie widzieli go na przeciwległych krańcach kontynentu w odstępie paru godzin — wówczas, gdy taka podróż trwała miesiące.

Był tak blisko, że wyczuwałem jego zapach. Był z nami, gdy poczęliśmy Lucy — czarne, błyszczące jak pancerze chrząszczy włosy, surowa, zacięta, jakby wyciosana z kamienia twarz, wrogie, przepełnione furią oczy człowieka, którego współplemieńców ścierano z powierzchni ziemi, a znajomy, naturalny świat magii był wypierany przez świat pieniądza i broni palnej.

— Jadłaś śniadanie? — zapytałem Lucy.

Skinęła głową. Sprawiała wrażenie najnormalniejszego dziecka, ale wiedziałem, jak całkowicie nieprzewidywalny jest Misquamacus, zdolny objawić swoją obecność w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Zamknąłem za sobą drzwi sypialni Lucy i wróciłem do pokoju dziennego, gdzie siedziała Karen z filiżanką espresso i czytała „Architectural Digest”.

— Zadzwoń do Normana Vogela — powiedziałem. — Może przyjmie Lucy dzisiaj po południu.

— Harry, wiesz, że z nią wszystko w porządku, przynajmniej jeśli chodzi o zdrowie psychiczne.

— Owszem, ale musi dostać świadectwo od psychiatry, inaczej nie pozwolą jej wrócić do przedszkola. Jest dzisiaj spokojna i odprężona, więc bez kłopotu je uzyskamy. Wszystko będzie w porządku.

— A co zrobimy, gdy wróci do przedszkola i znowu coś podobnego się wydarzy?

— Nie wydarzy. Muszę się przekonać, czy to rzeczywiście Misquamacus, a jeśli tak, tym razem upewnię się, że zostawi nas w spokoju. Na stałe.

— Stałe — poprawiła mnie Karen, jak zwykle zresztą.

Nalałem sobie kawy do filiżanki, usiadłem na sofie i podniosłem słuchawkę telefonu. Ledwie zdążyłem wykręcić numer doktora Vogela, gdy z sypialni Lucy rozległ się przenikliwy wrzask.

Cisnąłem słuchawkę i skoczyłem na równe nogi, rozlewając espresso na cytrynowożółty dywan.

Pobiegliśmy oboje z Karen korytarzem i otworzyliśmy drzwi pokoju Lucy.

Domek dla lalek stał w płomieniach. Płonął dach, zaczynały się zajmować ściany. Lucy krzyczała dziko, usiłując wyciągnąć uwięzioną w oknie rękę. Nie czekając ani sekundy, wyszarpnąłem plastikową framugę okna, parząc sobie przy tym grzbiet dłoni.

— Trzymaj — powiedziałem oddając Lucy Karen, a sam podszedłem do łóżka, ściągnąłem kołdrę i narzuciłem na domek dla lalek, by stłumić płomienie.

Trwało to wszystko ledwie minutę, ale sypialnię wypełnił dym, a Lucy wpadła w histerię; krzyczała i kaszlała, kopiąc nogami. Karen zaniósła ją do łazienki i puściliśmy zimną wodę na jej paluszki. Nie były zbyt mocno poparzone, mimo to znałem, że wezwiemy lekarza, niech je porządnie opatrzy i zaaplikuje Lucy coś, co złagodzi szok. Trzymaliśmy jej rączki pod wodą i po chwili zaczęła się uspokajać, niemniej była śmiertelnie blada i drżała na całym ciele.

Karen owinęła ją w koc i zaniósła do pokoju dziennego, a ja ostrożnie uniosłem kołdrę, żeby sprawdzić, czy zdusiła ogień. Plastikowy dach zmienił się w lepką, ciągnącą się, pełną dziur masę, drewniane boczne ściany były porządnie nadpalone. W środku spoczywała na pół stopiona Barbie.

Włosy przypominały poczerniały pędzelek, rysy połowy twarzy całkiem się zatarły. Groteskowość wyglądu lalki potęgował uśmiech, zupełnie jakby się cieszyła, że złożono ją w ofierze.

Wyniosłem domek z mieszkania i zjechałem windą. Mick, odźwierny, otworzył przede mną drzwi na tylne podwórze. Zerknął na szczątki Barbie i powiedział:

— To ją raz na zawsze oduczy palenia w łóżku.

Doktor van Steen przyjechał pół godziny później. Zwykle nie jeździł z wizytami domowymi, ale rodzinę Tandy znał, zanim jeszcze urodziła się Karen i był raczej bliskim przyjacielem niż lekarzem. Siwowłosy, miał na sobie nieskazitelne ubranie utrzymane w czarno-szarej kolorystyce, błyszczące lakierki i okulary w połyskującej metalowej oprawce.

— No tak — powiedział, sadowiąc się na sofie obok Lucy — więc spalił się twój domek dla lalek. Jak to się stało?

Odkręciła głowę, nie odpowiadając.

— Nigdzie nie było zapalek — wyjaśniłem. — Sam nie rozumiem, jak to się mogło stać.

— Popatrzmy na te paluszki. — Lekarz ujął dłoń Lucy. — Mamy tu trochę pęcherzy, ale do wesela się zagoi. Takie małe dziewczynki jak ty zdrowieją w oczach.

Lucy odwróciła się do niego.

— Chciałam, żeby Barbie umarła — oświadczyła, wymawiając wyraźnie słowa i kładąc nacisk na „umarła”.

— O, to niezbyt miłe. — Doktor van Steen spojrział na mnie, unosząc wysoko brwi. —

Dlaczego tego chciałaś?

— Bo jest Żółte Włosy.

— Żółte włosy? Nie lubisz takich włosów?

— Żółte Włosy muszą umrzeć. I wszystkie Blade Twarze. — Zakryła buzię poparzonymi rączkami, tak że widać jej było tylko oczy.

— Lucy troszeczkę sobie z nas żartuje — wtrąciłem. Nie chciałem, żeby lekarz zbytnio ją wypytywał.

— Aha, rozumiem — powiedział. — No cóż... rozmaite może być poczucie humoru.

Kiedy skończył bandażować jej dłonie, odprowadziłem go do holu, zamykając skrupulatnie drzwi do pokoju dziennego.

— Miedzy nami, doktorze, ona się ostatnio naprawdę dziwnie zachowuje. Pobiła się wczoraj na placu zabaw z dziećmi i kilkoro nieźle poturbowała. Pozwolą jej wrócić do przedszkola dopiero po przedstawieniu opinii psychiatry. A teraz to.

— Może coś ją niepokoi?

— Ale co? O co mogłaby się niepokoić czteroletnia dziewczynka? Za często powtarzają „Ulicę Sezamkową”? Podnieśli cenę drażetek m & ms?

— Wybacz mi wścibstwo, ale między tobą i Karen wszystko dobrze? Nie było żadnych nieporozumień w domu?

— Karen ostatnio sporo pracuje, raz czy dwa niefortunnie się przemówiliśmy. Nic poważnego.

— Nie dokuczano jej ani nie przymuszano do niczego w przedszkolu?

— Nie... nic na to nie wskazuje.

— Co ma znaczyć to mówienie o żółtych włosach? — zapytał doktor van Steen. — Czy ty wiesz?

— Indianie określali w ten sposób blondynów. Na przykład generała Custer.

— Dlaczego czteroletnia dziewczynka rasy białej twierdzi, że ci o żółtych włosach powinni umrzeć?

Wzruszyłem ramionami. Miałem wytłumaczenie, ale nie zamierzałem się nim dzielić z doktorem van Steenem. Chciałem zyskać pewność, że Lucy nie dotknął żaden konwencjonalny defekt psychiczny, zanim poruszę z kimkolwiek sprawę niepożądanych wpływów z odległej przeszłości.

— Zaprowadzę ją do doktora Vogela — powiedziałem. — Może odkryje, co z nią jest nie tak.

— Daj mi znać, jak się sprawy mają. I... może domyślisz się, w jaki sposób wznieciła ogień nie używając zapalek, powiadom mnie o tym także. — Rzucił mi dziwne, rozumiejące spojrzenie.

Pewnie podejrzewał, że coś ukrywam, ale gdybym mu powiedział, nie uwierzyłby. Bo ja sam nie chciałem wierzyć.

Następnego dnia po popołudniu zabraliśmy Lucy do kliniki doktora Vogela przy Park Avenue.

Nad miastem nisko wisiały szare chmury, padało. Lucy była ubrana w czerwony płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem i małe czerwone kaloszki. Niosła ulubioną lalkę, przybrudzoną, wiotką zabawkę, nazwaną oryginalnie: Lalka.

Gabinet doktora Vogela był wyłożony ciemną dębową boazerią i dość ponury. Sam lekarz wyglądał raczej na łowcę niedźwiedzi niż psychiatrę. Miał szerokie bary, gęstą, długą ciemną brodę, jasnoniebieskie oczy, dłonie wielkie jak łopaty. Nosił niebieską koszulę w kratkę i fabrycznie sprane dżinsy. Śmiał się bez przerwy. Został mi polecony przez doktora Hughesa, specjalistę od chorób mózgu, który udzielił Karen pomocy, gdy Misquamacus po raz pierwszy próbował dokonać reinkarnacji. Misquamacus wezwał na pomoc starożytnego demona Jaszczura-z-Drzew i doktor Hughes w pojedynku z nim stracił rękę. Powrót do zdrowia kosztował go wiele zabiegów chirurgicznych i lata psychiatrycznych konsultacji. Nie odzyskał jednak dawnej werwy życiowej i prawdę mówiąc, nigdy nie widziałem, żeby kogoś tak złamano.

— No cóż, mała damo — powiedział doktor Vogel — wygląda na to, że świetnie się bawiłaś.

Lucy ścisnęła Lalkę i potrząsnęła jej głową.

— Aha. Czyli nie za bardzo, tak?

— Muldrewsowie i Cullensowie zabijają dzieci — oświadczyła moja córka.

— Zabijają dzieci? Jakie dzieci?

— Wszystkie z Sand Creek. Wszystkie z Washita River.

— Sand Creek? Washita River? — Lekarz patrzył na mnie zdumiony.

— Masakry Indian — wyjaśniłem. — Okropniejsze niż ta z Wounded Knee.

— Masakra Indian? O czym ty jej, Harry, opowiadasz? Ona ma cztery lata.

— Nigdy jej o tym nie mówiłem. Uczą ich o rdzennych mieszkańcach Ameryki w przedszkolu, ale... przecież nie o Sand Creek, na litość boską! Chyba nie.

— Wiec skąd się o tym dowiedziała?

— Nie mam pojęcia — odparłem, potrząsając głową. — Po prostu chcę wiedzieć, czy jest w pełni zmysłów.

Doktor Vogel milczał przez moment. Lubiłem go; ufałem mu, ale nie miałem wyjścia.

Musiałem klaniać, ponieważ pragnąłem diagnozy, że Lucy cierpi na dziecięcą depresję czy też psychozę szkolnych zabaw albo neurotyczną awersję do alfabetu.

Chciałem usłyszeć wszystko z wyjątkiem tego, że Lucy coś opętało.

Usiedliśmy z Karen w poczekalni, udając, że czytamy ostatnie numery „The New Yorker” i

„Schizophrenic News”, podczas gdy lekarz przeprowadzał testy na inteligencję i wrażliwość i badał reakcje słuchowo-wzrokowe naszej córki. Na ścianie poczekalni wisiała mosiężna tabliczka, która głosiła: „Jeśli przychodzisz do psychiatry, musisz dać sobie zbadać głowę”.

W końcu zostaliśmy poproszeni do gabinetu. Doktor Vogel odwinął truskawkowy cukierek z papierka i wręczył go Lucy, po czym usiadł, zakładając nogę na nogę. Minę miał poważną.

— Muszę ci powiedzieć, Harry, że nigdy dotąd się z czymś podobnym nie zetknąłem. Lucy okazała się niezwykle inteligentnym dzieckiem, żywo interesującym się otoczeniem, o zdolnościach postrzegawczych i analitycznych daleko wykraczających ponad właściwe dla jej grupy wiekowej. Jest także obdarzona wyjątkową intuicją...

— Ale? — zapytałem.

— Ale trwa uporczywie przy wyobrażeniu, że jej przedszkolni koledzy są odpowiedzialni za zabijanie dzieci i że nie tylko zasłużyli na manto, które im spuściła, ale wręcz na śmierć. Poza tym, ma głowę wypełnioną indiańskimi bożkami i fetyszami. Na przykład — zerknął do notesu. — Macie jakieś pojęcie, kto to jest mistai.

— Owszem. Duch u Indian. Straszy ludzi szarpiąc nocą za koce. Jest również rodzajem posłańca: szepta ludziom do ucha, przekazując im życzenia duchów.

— Lucy twierdzi, że polecili jej, aby zabiła swoich kolegów.

— Tego się właśnie bałem.

— Powiedziała także, że polecili jej zabić każdego o żółtych włosach, więc na początek...

spaliła Barbie.

— Indianie przywiązywali wielką wagę do lalek — wyjaśniłem. — Plemię Crow posługiwało się kukłą zrobioną z paciorków i zwierzęcych skór. Tańczyli z nią, spoglądając jej w twarz, i wierzyli, że może im udzielić wskazówek, gdzie przebywają ich wrogowie. Jeśli wziąć pod uwagę indiańską mistykę, trudno traktować Barbie jako zabawkę... reprezentuje białych, którzy zniszczyli ich kulturę i religię.

— Znasz się na tym dobrze?

— Kiedyś musiałem.

— To znaczy?

— To znaczy, że mnie i Karen przyszło się kilka razy w przeszłości zmierzyć z indiańskim mistycyzmem.

— I myślisz, że to, co się teraz dzieje z Lucy, ma z tym coś wspólnego?

— Ponieważ uznałeś, że jest w pełni władz umysłowych i reaguje inteligentnie, nie przychodzi nam do głowy żadna inna przyczyna jej zachowania — stwierdziła Karen.

— Rozumiem — powiedział doktor Vogel, chociaż wyglądał na mocno zakłopotanego. — Nie sądzicie w każdym razie, że na jej zachowanie mogły wpłynąć wasze rozmowy o mitologii Indian prowadzone w jej obecności albo wtedy, gdy wydawało się wam, że was nie słyszy?

— Nigdy o tym nie rozmawialiśmy — oświadczyła z naciskiem Karen.

— Więc... Myślę, że nie zaszkodzi, jeśli przeprowadzę parę dodatkowych testów.

Poobserwujcie, jak się Lucy zachowuje, i przyprowadźcie ją do mnie znowu za parę dni.

— Skoro myślisz, że to coś da...

— Sam nie wiem... macie lepszy pomysł?

— Niekoniecznie. Niemniej spróbuję odkryć, czy coś na nią nie oddziałuje, być może dzięki temu zyskam szansę, by się tego pozbyć.

— Cóż, bądź ostrożny — ostrzegł mnie lekarz. — Lucy jest niezwykle wrażliwym dzieckiem.

Nie daj jej poznać, że wierzysz w te indiańskie mistycyzmy. Ryzykujemy, że utrwalisz jej wyobrażenia i w ten sposób będzie mi podwójnie trudno ją z tego wyprowadzić.

Nic nie powiedziałem. Byłem przyzwyczajony do okazywanego mi sceptycyzmu. Zanim Misquamacus po raz pierwszy podniósł głowę, sam należałem do wszechobecnego na świecie Stowarzyszenia Zagorzałych Sceptyków. Byłem znany jako Niewiarygodny Erskine i zarabiałem na

życie wróżąc bogatym starszym paniom. Nie sposób nie być sceptykiem, skoro tak się zdobywa pieniądze. Ktoś, kto naprawdę wierzy, że można przepowiedzieć z kart tarota przyszłość, powinien napakować cegieł w kieszenie i utopić się w rzece. No bo kto by chciał żyć wiedząc, kiedy straci swoich bliskich? I jak miałyby z tym żyć? A poza tym, mieć świadomość, kiedy się samemu umrze...

Beze mnie, dzięki. Kiedy Karen doszła do pieniędzy, odwiesiłem na kołek błyszczącą pelerynę i schowałem głęboko karty. Tylko że wtedy już śniłem koszmary o niewiarygodnym i wierzyłem w „indiańskie bożki i fetysze”, bo wiedziałem, że istnieją tak realnie jak ja.

— Zatelefonuję — obiecałem lekarzowi. — Dziękuję za zajęcie się Lucy — wstałem.

— Chciałbym ją zapytać jeszcze o jedną rzecz — powiedział psychiatra. — Jak zdołała podpalić domek dla lalek? Skoro, jak sam mówiłeś, nigdzie nie było ani śladu zapalek.

— Zwyczajnie, podpaliłam — oznajmiła Lucy.

— Wiem, kociątko, że podpaliłaś. — Doktor Vogel pochylił się ku niej i uśmiechnął zachęcająco. — Ale w jaki sposób?

Rzuciła mu przelotne spojrzenie, jakby był kosmicznie głupi.

— Zwyczajnie podpaliłam — powtórzyła. — Po prostu tak.

Spojrzała na biurko i wycelowwała w nie palec. Przez moment nic się nie działo, a potem z papierów leżących na bibularzu uniosła się smużka dymu. Dał się słyszeć cichy syk wybuchających płomieni, które szybko ogarnęły wszystkie dokumenty.

— Święty Boże! — Lekarz skoczył na równe nogi. — Co ty do cholery wyrabiasz?! Harry, w poczekalni jest gaśnica. Szybko!

Płomienie skakały w górę, powierzchnia biurka pomarszczyła się jak ludzka skóra. Lekarz złapał skoroszyt i uderzył w blat, chcąc zdławić ogień, ale w efekcie rozniecił go jeszcze bardziej, a deszcz iskier opadł na dywan i meble.

Kiedy wreszcie udało mi się wyciągnąć gaśnicę z uchwyty przymocowanego do ściany w poczekalni, wróciłem pędem do gabinetu i zacząłem rozpryskiwać jej zawartość na biurko i siedzenie skórzanego krzesła, które także się już tliło.

— Coś ty do cholery zrobiła! — ryknął psychiatra na Lucy, podnosząc na poły zwęglony raport. — Wiesz, jak długo ja... Boże święty, Harry, co ona do diabła zrobiła?

— Doktorze, proszę nie krzyczeć. — Karen obronnym gestem objęła ramiona Lucy. — To zwyczajny wypadek.

— Wypadek?! Jaki znowu wypadek?! Świadomie wyciągnęła ten palec i... sama popatrz, jaki

bałagan! Potrwa całe dni, zanim to uporządkuję. Dni? Tygodnie!

— Daj spokój, Michael, opanuj się — powiedziałem. — Lucy nie mogła w żaden sposób tego zrobić.

— To niby co?! — wrzasnął. — Papieros? Ja nie palę. Zwarcie? Leżał tu tylko kalkulator na baterie. Ręka Boga? A może diabła? Dalej jazda, wynoście się stąd! Nie chcę jej tu więcej widzieć.

Będziecie mieli szczęście, jeśli was nie zaskarżę do sądu za celowe dokonanie zniszczeń.

Zastanawiałem się, co powiedzieć, żeby go udobruchać, kiedy Lucy wycelowała w niego palec.

Znowu przez moment nic się nie działo, a potem lekarz nagłym gestem przycisnął dłonie do twarzy, wydając przerażający okrzyk. W jego brodzie rozbłysły tysiące pomarańczowych punkcików, jakby płomień rozniecił się w lisim ogniu. Potem zajęły się włosy, kołnierzyk koszuli, mankiety. Krzyczał, bijąc się rękami po twarzy, zataczał w męce, ale w sekundy ogień objął szyję i głowę.

Zdarłem z siebie skórzaną marynarkę, zarzuciłem mu na głowę i powaliłem go na ziemię. Wił się z bólu, walczył, krzyczał. Odwróciłem się do Karen.

— Zabierz stąd prędko Lucy! I wezwij karetkę!

Doktor Vogel przestał krzyczeć; pojękiwał, drżąc na całym ciele. Ostrożnie uniosłem marynarkę; wydobył się spod niej zapach, jakby kot przypadkiem osmalił się na ruszcie podczas barbecue. Twarz lekarza była nie do rozpoznania, właściwie nie przypominał ludzkiej istoty. Broda spłonęła całkowicie, pozostał po niej tylko czarny popiół, nabrzmiące wargi i nos krwawiły, kiedy odetchnął, dym wydobył mu się z nozdrzy.

— Boli — wymamrotał trzęsąc się, jakby było mu zimno.

— Trzymaj się — powiedziałem, drżąc niemal równie gwałtownie jak on. — Pogotowie zaraz będzie.

— Boli, Harry — powtórzył. — Cholernie boli. — Próbował otworzyć oczy, ale nie mógł rozewrzeć poparzonych powiek; wyglądał, jakby w miejsce oczu miał obdarte ze skóry śliwki. — Czy to naprawdę ona zrobiła? — zapytał.

— Lucy? Nie wiem. Może to coś lub ktoś, kto nią owładnął.

— Umieram — powiedział doktor Vogel. — Boli strasznie. Umieram.

Nie odezwał się już więcej. Zostałem z nim, dopóki nie weszli pielęgniarze, a potem rzuciłem na niego ostatnie spojrzenie i wyszedłem z gabinetu. Karen i Lucy czekały na mnie w recepcji, rozmawiając z dwoma oficerami policji.

— Jest pan mężem tej pani? — zapytał jeden z nich. — Może nam pan powiedzieć, co się właściwie stało?

— Doktor Vogel zajął się ogniem — odparłem. — Nie wiem, jak to się stało. Zaczął się palić sam z siebie na naszych oczach.

— Ma pan jakieś wytłumaczenie, jak to było możliwe? Potrząsnąłem głową, ale Lucy schwyciwszy mnie za rękę,

podniosła głowę i powiedziała:

— Miał żółte włosy.

Policjanci wymienili uśmiechy. Gdyby rozumieli, jakie znaczenie ma to, co usłyszeli, z pewnością by się nie uśmiechali. Odsunęliby się od Lucy jak najdalej.

— Wiesz, jakie to niebezpieczne? — spytała Karen.

— Nie przychodzi mi do głowy żadna inna możliwość — odparłem, zaciągając zasłony, by nie wpadało dzienne światło. — Kto nam uwierzy, że czteroletnia dziewczynka została opętana przez indiańskiego czarownika? Kto uwierzy, że potrafi wzniecać ogień, wyciągnąwszy palec?

— Może ktoś by nam pomógł?

— Nie. Ja sam muszę sobie z tym poradzić — odpowiedziałem Karen. — Wszystko to się dzieje z mojego powodu. Jeśli wróg cię pokonał, nie wolno ci się odwrócić plecami i zająć czymś innym. Musisz odnaleźć jego wigwam i spróbować z kolei jego pokonać. Takie jest niepisane prawo.

Dopóki nie dokona zemsty, Misquamacus nie odzyska honoru.

— Dlaczego zawładnął Lucy, a nie mną czy tobą?

— Może nie jest wystarczająco silny. Pamiętasz, kiedy go ostatnim razem pobiłem, dosłownie się rozproszył, jak energia elektryczna. A to, co Lucy zrobiła... rozgromienie kolegów z przedszkola, wzniecanie ognia, może i jest przerażające, ale niewiele ma wspólnego z wielką plemienną magią, prawda? W swoim najlepszym okresie ten człowiek mógł rzeczywiście przynosić góry...

— Okropnie jestem przestraszona. — Przycisnęła dłoń do czoła, jakby w przewidywaniu migreny. — A jeśli coś się stanie Lucy? Nie zniosę tego, Harry. Chyba umrę.

— Karen... Przecież musimy. Inaczej, kto wie, ilu ludzi ucierpi.

Ustawiłem okrągły stolik do kart na środku pokoju dziennego i nakryłem brązowo-czerwonym kocem. Zapaliłem stojącą na stoliku małą japońską lampkę nocną z brązu. Potem pogasiłem wszystkie inne światła. Abażur lampki nocnej rzucał na ściany cienie japońskich ideogramów.

— Może byś przyprowadziła Lucy? — zaproponowałem Karen. — Powiedz jej, że zamierzamy

wypróbować nową grę. Coś w rodzaju „ciepło-zimno-gorąco”.

Usiadłem za stolikiem. Przede mną leżało zawiniątko ze starej, nie konserwowanej skóry, obwiązane sznurkami z ciasno splecionych włosów. Nie zjrzałem do niego nawet wtedy, gdy mi je dano; ponad dwadzieścia lat temu. Dostałem je od syna Śpiewającej Skały, by mi przypominało o człowieku, który poświęcił wszystko, by powstrzymać siły z przeszłości od zniszczenia równowagi przyszłości. Śpiewająca Skała współczuł Misquamacusowi i rozumiał go, ale nie dzielił z nim pragnienia zemsty. Śpiewająca Skała głęboko wierzył, że przeszłość należy do przeszłości, a jedyna słuszną rzeczą, jaką można zrobić, to otrzeć łzy, żeby wyraźniej zobaczyć przyszłość.

Rozplotłem węzły i zsunąłem sznurki. Potem rozwinąłem skóry i obejrzałem zawartość. Dwie kości udowe, ozdobione na końcach czerwonymi i białymi paciorkami i kłębuszkami ludzkich włosów, ufarbowanych na niebiesko. Wyjęto je z ciała Białego Byka, szamana, który zrobił magiczny wojenny pióropusz dla legendarnego wodza Orlego Nosa. Legenda głosiła, że jeśli będzie się nimi o siebie uderzać, Biały Wilk przybiegnie ze świata duchów i zabierze tam ze sobą tego, kto trzyma je w rękach.

Karen wróciła, prowadząc Lucy. Minęło dwa dni od incydentu w klinice doktora Vogela i Lucy powoli wychodziła z szoku. Została wykorzystana do przekazania mocy zdolnej wzniecać ogień, ale w gruncie rzeczy była tylko małą dziewczynką, moim bajecznym najukochańszym czarodziejskim skarbem, zaszokowaną tym, co się stało w równym jak my stopniu.

— Dlaczego tutaj tak ciemno? — zapytała Lucy, rozejrzawszy się wkoło, kiedy już obie z Karen zasiadły za stolikiem.

— Jest ciemno, bo chcemy w coś zagrać.

— W co? — Zerknęła na leżące przede mną kości.

— W grę o przyjaciółkach z wyobraźni.

— Kto to taki?

— Zawołamy wyobrażonych ludzi, żeby do nas przyszli, i będziemy patrzeć, co robią.

— To głupie. Nie ma wyobrażonych ludzi.

— A Miss Ellie? Była wyobrażona.

Wymyślona przez Lucy panna Ellie dotrzymywała nam towarzystwa ponad rok, nieźle utrudniając życie. Zawsze musiało stać dla niej nakrycie na stole i nie mogliśmy ruszyć samochodem, dopóki nie zapięła pasów.

— Miss Ellie już odeszła — oświadczyła Lucy. — Odeszła i więcej nie wróci.

— No to sprawdźmy, czy nie uda się znaleźć innej przyjaciółki. Skoro nie ma Miss Ellie, to co powiesz na Miss Quamacus?

Lucy przyłożyła palce do ust i parsknęła z przesadą.

— Przecież to idiotyczne nazwisko!

— Mimo to spróbujmy. Ale to będzie naprawdę bardzo trudne. Musisz bez przerwy powtarzać: Miss Quamacus, chcę cię zobaczyć; Miss Quamacus, chcę usłyszeć twój głos; Miss Quamacus, chcę poczuć dotyk twojej ręki. Myślisz, że dasz radę?

Karen patrzyła na mnie, nie kryjąc obawy. Nic nie powiedziałem, ale mój wzrok jasno mówił, że nie ma wyjścia: musimy przez to przejść.

— No dobrze. Teraz weźmiemy te kości, postukamy nimi i zaczniemy bardzo intensywnie myśleć, a potem nucić: Miss Quamacus, chcę cię zobaczyć; Miss Quamacus, chcę usłyszeć twój głos.

Ująłem kości w obie ręce i zacząłem rytmicznie nimi postukiwać, jakby należały do mężczyzny idącego po prerii. Wyobraź sobie wysoką do kolan trawę, powiedział mi Śpiewająca Skała. Delikatne białe kwiaty. Wyobraź sobie, że preria ciemnieje jakby zapadał zmierzch; to Aktunowihio rzuca swój cień na ziemię; Aktunowihio, duch nocy. Wyobraź sobie, że delikatne białe kwiaty zamieniają się w gwiazdy, połyskujące na niebie, a ty wędrujesz przez świat duchów. Towarzyszą ci tasooms, dusze zmarłych, unoszące się do nieba jak dym z wigwamów, w których mieszkały.

Zamknąłem oczy. Wciąż uderzałem kośćmi, naśladowując rytm powolnych kroków. Wszyscy troje recytowaliśmy słowa, których nauczył mnie Śpiewająca Skała: Misquamacus, chcę cię zobaczyć; Misquamacus, chcę usłyszeć twój głos; Misquamacus, chcę poczuć dotyk twojej ręki.

Po pięciu minutach pomyślałem, że nic z tego nie będzie. Miałem kości Białego Byka, recytowałem właściwe słowa, ale byłem biały i nie dane mi było wchodzić w kontakt z duchami nieba i ziemi, skał, drzew i płynącej wody. Pomóż mi, Śpiewająca Skała, pomyślałem, stoję w miejscu, nie umiem zrobić tego, co kiedyś robiliśmy.

Przemierzałem ukwieconą prerię w rytm klekotu kości Białego Byka, ale teraz czułem wyraźnie drżenie traw, jakby zawiął zimny wiatr. Czułem nasuwającą się burzową chmurę, ciemną jak łupek, wyczuwałem kogoś idącego blisko mnie; słyszałem szelest kroków, owiewał mnie jego oddech. Ta obecność nie przerażała. Była przyjazna; obecność towarzysza.

— Misquamacus, chcę cię zobaczyć — recytowałem monotennie i tym razem dołączył jeszcze jeden głos, brzmiący głęboko; głos w mojej głowie: — Misquamacus, chcę poczuć dotyk twojej ręki.

Odwrociłem głowę i oczyma duszy ujrzałem kroczonego obok Śpiewającą Skałę, przystrojonego piórami i paciorkami, ubranego w odświętny strój wspaniałego czarownika. Ale zaraz zniknął i kiedy znowu spojrzałem przed siebie, nie kroczyłem już po prerii; szedłem po kolana w gwiazdach — wysoko na niebie, po Drodze Mlecznej, pośród duchów.

Usłyszałem ostry trzask wyładowania elektrycznego. Otworzyłem oczy. Karen i Lucy miały zamknięte powieki, wciąż recytowały, śpiewnie i monotennie, jak zahipnotyzowane. Cienie rzucane przez japoński abażur chwiały się i pełgały, jakby duchy tańczyły. Ponownie usłyszałem trzask, tym razem

głośniejszy i poczułem intensywny zapach ozonu, charakterystyczny dla potężnego zwarcia elektrycznego. Powietrze wokół Lucy zaczęło falować, zniekształcając obraz, zupełnie jak nad rozgrzanym od upału chodnikiem.

Nieoczekiwanie Karen odemknęła powieki. Spojrzała na Lucy i zobaczyła to, co ja. Wielki, zgarbiony kształt, uformowany z cieni i rozproszonego światła, ledwie widoczny nie uzbrojonym okiem, drżący i zmienny, ale żadne z nas nie miało wątpliwości, z kim ma do czynienia, tak intensywnie czuliśmy jego obecność.

Nosił ogromny pióropusz, ozdobiony paciorkami i małymi, wiszącymi luźno czaszkami. Nie sposób było rozpoznać jego twarzy; falowała, zmieniając się jak powierzchnia płytkiego rozlewiska.

Widziałem odbite w niej chmury, dymy i mgłę, wiszącą zimą nad rezerwatami.

Trzask wyładowań wzmógł się jeszcze, iskry zaczęły tańczyć wokół głowy Lucy, formując koronę z elektrycznych cierni. Karen uniosła się z siedzenia krzesła, wyciągając ręce, ale krzyknąłem ostrzegawczo:

— Nie! Nie dotykaj jej! Unosi się wokół niej! Poprzez trzaski słyhać teraz było nieprzyjemne urywane

dźwięki, jakie wydaje nastawione głośno nie dostrojone radio. Ktoś mówił — wolno, chłodnym, pozbawionym emocji głosem; głosem, który powinien zamilknąć co najmniej trzysta lat temu.

Duchy... oddały mi sprawiedliwość... mój słaby biały brat... nagroda za to, co zrobiłem...

wypełni cię smutek poświęcenia...

— Misquamacus, co z ciebie za wojownik, że musiałeś opanować duszę czteroletniego dziecka, i to dziewczynki? — Staralem się, by zabrzmiało to jak wyzwanie, ale głos mi drżał. — Myślałem dotąd, że jesteś odważny! Myślałem, że jesteś zdolny czynić cuda!

Ty mi mówisz o odwadze... ty, który posługiwałeś się sztuczkami i oszustwem? Teraz dopiero poznasz, co to sztuczki i oszustwo.

— Zostaw moją córkę w spokoju — powiedziałem. — Nie dbam, co ze mną zrobisz, ale moją córkę zostaw.

Nie pamiętasz, że jest moja? Posiadłem twoją kobietę i wtedy ją poczęła. To dziecko jest spadkobierczynią mojej tradycji, nie twojej. Wracam w ten sposób do twojego świata... uczynię z niej czarodziejkę... nadam imię Nepauzhad, co znaczy Księżycowa Bogini.

— Nie dostaniesz jej! — wykrzyknęła Karen. — To nasza córka, nie twoja! Nie mogłeś mnie mieć, więc nie może być twoja!

Falujący kształt poruszył się w jej kierunku, wydając ostre trzaski wyładowań. Rozpoznałem charakterystyczny, jakby wykuty z kamienia profil. Chyba nawet przez chwilę widziałem fałdy

ubrania ze skór jeleni. Ale szybko widziadło zmieniło się, rozpląnęło i wkrótce mogłem już tylko dostrzec cienkie czerwone błyski, jakby robaki pełzały po ciele, które właśnie zaczęły pożerać.

Jesteś dla mnie tylko naczyniem, to twoje przeznaczenie, pamiętaj o tym — mówił

Misquamacus do Karen. — Trwałem jako słaby przebłysk życia przez ponad trzy tysiące księżyców, żeby wymierzyć sprawiedliwość za moich ludzi, i doczekałem się ciebie. Ty i ten mężczyzna stworzyliście mi możliwość powrotu do świata ludzi. Narodziłem się powtórnie w twojej córce, a teraz jestem wystarczająco silny, by przybrać ludzką postać i wykonać zadanie, które bogowie mi przeznaczyli.

— Bzdury — oświadczyłem. — Jeżeli mojej córce włos spadnie z głowy, wcisnę ci do tyłka twoją szamańską pałkę tak głęboko, że nie będziesz mógł na nim usiąść aż do ostatniego księżyca.

Nigdy nie wiedziałaś, co to szacunek — stwierdził Misquamacus. — Mimo to masz szansę zostać największym z żyjących czarowników. Pozostawię to dziecko w spokoju, jeśli użyczysz mi siebie... jeśli nie będziesz chronił przede mną ciała, krwi, kości, tak bym mógł znowu żyć jako człowiek, nie jako duch.

— Co ty wygadujesz? — odezwałem się opryskliwie, chociaż wszystko stało się dla mnie jasne. Zawładnął duszą Lucy, by wrócić do materialnego świata, ale teraz potrzebował kogoś silnego, z prawdziwymi muskularni. Innymi słowy, potrzebował mnie, nieważne jaki byłem, i choćby mu to nawet nie odpowiadało.

Kiedy Misquamacus się odzywał, oczy Lucy błyszczały przedziwnym fosforyzującym błękitem, a jej skóra robiła się gipsowobiała. Poczulem chęć, by ją stąd zabrać, ale wiedziałem dosyć o Misquamacusicie, żeby zdawać sobie sprawę, jakie to może być niebezpieczne. Mógł się uzewnętrznić tylko wykorzystując część jej duszy i gdybym chciał z nią uciec, pewnie nie wahałby się zabić.

Musimy się udać do uświęconego miejsca, w którym zostałem zrodzony. Przywołam tam ducha Kattua-la-hu. Będziesz tasoom, jak ja teraz, podczas gdy ja odzyskam postać, jaką miałem w tamtych wielkich, magicznych dniach, zanim nastał biały diabeł.

— Zamierzasz go zabić? — zapytała Karen z rozpaczą w głosie.

Zamierzam wysłać jego duszę na wędrówkę po Wiszącej Drodze.

— Nie możesz tego zrobić! — powiedziała z naciskiem.

W takim razie zabieram dziecko. Wychowam ją jako Ne-pauz-had i nauczę magii, aż zyska moc, by mnie uwolnić.

Oczy Lucy rozjarzyły się jak pochodnie, wykrzywiła otwarte usta w okropnym grymasie.

Misquamacus pokazywał nam, że może jej kazać wszystko.

Nie jestem odważny, nigdy nie byłem. Uniknąłem zaciągu do wojska i zawsze wolałem załagodzić

sytuację niż wdać się w bijatykę. Ale też wiedziałem, że tym razem muszę być odważny.

Skoro ceną za Lucy była podróż po Drodze Mlecznej, musiałem ją zapłacić. Było to moim obowiązkiem; obowiązkiem ojca.

Ująłem dłoń Karen i poczułem niezwykły spokój.

— No więc zgoda — powiedziałem. — Gdzie to twoje święte miejsce?

Musisz je odnaleźć na waszych mapach. Nazywało się Natukko i znajdowało na tej wyspie.

— A jeżeli mi się nie uda?

Musi. I masz tam być jutro, gdy wzejdzie księżyc. Inaczej zabiorę ze sobą Nepauz-had i więcej jej nie zobaczysz.

— To niemożliwe! — zawołała Karen. Policzki miała mokre od łez. — Niemożliwe!

Rozległ się głuchy odgłos zasysania, jakby fala oceanu cofała się po kamienistym wybrzeżu, zobaczyłem słaby błysk towarzyszący elektrycznemu wyładowaniu i Misquamacus zniknął. Powietrze w pokoju zrobiło się tak zimne, że nasze oddechy parowały.

Karen i ja spojrzeliśmy na siebie. A potem na Lucy. Wywróciła oczy białkami ku górze i upadła na podłogę jak zepsuta lalka.

Nie spałem dobrze, a o dziesiątej, kiedy otwierano Nowojorską Bibliotekę Publiczną, czekałem na stopniach. Poszedłem od razu do głównej czytelni i zasiadłem murem przy komputerze. Wczesnym popołudniem wciąż stukałem z niezadowoloną miną w klawiaturę, a chylące się ku zachodowi promienie słońca przesuwwały się z jednego miejsca na drugie, oświetlając coraz to inny panel na ścianie.

Niemal już zrezygnowałem, gdy natknąłem się na książkę

Indiańskie nazwy miejscowe profesora Harveya Fischera z Bentley College w Waltham w Massachusetts. Zawierała obszerną listę nazw miejscowości położonych na obszarze Nowego Jorku i Nowej Anglii wraz z objaśnieniem ich znaczenia i podaniem lokalizacji. Oderwałem kawałek burgera z kurczakiem, którego przeschmuglowałem w kieszeni do biblioteki, i przeżuując go ukradkiem, wystukałem zatłuszczonymi palcami na klawiaturze: Natukko. Znaczyło tyle co „polana” lub „otwarty obszar”. Jeszcze parę stuknięć i znalazłem je na mapie wyspy Manhattan, sporządzonej w 1624 roku, kiedy ten teren należał do Holenderskiej Kampanii Zachodnioindyjskiej. Podpis pod mapą głosił: Pieter van Huivenfecit. Nałożyłem obraz mapy współczesnego Manhattanu na stary szkic i pomijając drobniejsze odchylenia na linii brzegowej, pokrywały się zdumiewająco dokładnie. Był tylko jeden problem. Dawne Natukko leżało na trasie metra, dokładnie tam, gdzie kończy się tunel przy 96th Street.

Odchyliłem się na oparcie krzesła i zapatrzyłem przygnębiony w ekran komputera. Kiedy wreszcie bogowie dadzą mi choć chwilę wytchnienia? Zamierzałem złożyć ostateczną ofiarę, by ocalić życie

Lucy, a oni pożałowali mi nawet skrawka trawnika. Miałem wykonać swój wielki gest na trasie pieprzonej kolei podziemnej. Siedziałem, podpierając brodę dłonią, gdy podeszła do mnie ładna studentka. Miała paciorki wplecione w długie włosy i była ubrana w granatową bluzę.

— Zwalnia pan ten terminal? — zapytała. — Mam coś bardzo pilnego do zrobienia.

— Oczywiście. Przepraszam.

— Powinien pan pamiętać jedną ważną rzecz o komputerach — powiedziała, kładąc na stoliku torbę z książkami.

— Jaką?

— Chyba pan nie zapomniał? — uśmiechnęła się.

— Przepraszam, ale nie chwytam. Zapomniałem czego?

— Jednej ważnej rzeczy, którą pan powinien pamiętać o komputerach.

Wstałem i zmiotłem okruchy burgera z siedzenia krzesła.

Zanosilo się na jedną z tych nie kończących paranoicznych konwersacji.

— Komputery są pana przyjaciółmi — oświadczyła dziewczyna, podkreślając słowo „pana”, jakby sugerowała, że jej niekoniecznie.

— No tak... oczywiście — odparłem wzruszając ramionami, ponieważ dalej nie rozumiałem, o co jej chodzi. — Wszystko w dzisiejszych czasach jest stechnicyzowane. Nawet czytanie książek.

Usiadła i już miałem odejść, gdy uniosła lewe ramię, rękaw opadł trochę i zobaczyłem wokół jej nadgarstka bransoletkę z kości i paciorków oplecionych włosami. Magiczna bransoleta Algonkinów.

Zaczęła właśnie pracę, więc jej nie przeszkadzałem. Poza tym zacząłem się domyślać, co mi chciała przekazać. „Komputery są pana przyjaciółmi”. Czyli białego człowieka, ponieważ ona była bezsprzecznie Indianką. Śpiewająca Skała, mój stary dobry przyjaciel, powiedział mi, że wszystko w świecie natury ma swoją własną duszę, manitou — od najnedźniejszego kamienia leżącego przy drodze po najwspanialszą sekwoję w północno-zachodnich lasach. W czasach ich wielkiej świetności, przed inwazją białych, szamani zdolni byli przywołać manitou wszystkiego — co żyło teraz lub kiedyś, a także rzeczy martwych — i wykorzystać dla celów magii. Woda, ogień, ziemia i powietrze

— zawierały w sobie niespokojne siły natury, które można było wykorzystać dla niszczycielskich celów.

Magia białego człowieka była innego rodzaju, ale każdy obiekt stworzony przez białych również miał duszę; tego właśnie nauczył mnie Śpiewająca Skała. Zegar miał manitou, maszyna do pisania miała manitou. I komputery także. Kiedy Misquamacus pojawił się po raz pierwszy, zwyciężyliśmy

wykorzystując komputer — nie jego możliwości, ale właśnie duszę, czyli kwintesencję tego, czym był, i zawarte w nim moce twórcze człowieka, który go stworzył.

W zawoalowany sposób Śpiewająca Skała przypomniał mi, że jestem białym, żyjącym w świecie białych — a w nim funkcjonują pojęcia i artefakty, które mogą mi być pomocne.

Przyjechałem do domu po piątej. Karen była wymęczona i zmartwiona, za to Lucy bawiła się ogromnie zadowolona w swojej sypialni.

— I co? — spytała Karen.

— Znalazłem miejsce, w którym mam się stawić.

— Tak? — Dotknęła mojego rękawa, najwyraźniej nie wiedząc, czy smucić się, czy cieszyć.

— Sprawdziłem na starej mapie. Trudno o coś mniej odpowiedniejszego, wierz mi. Linia metra przy East 96th.

— Niemożliwe.

— Chyba że siedemnastowieczny holenderski kartograf Pieter van Huiven nie odróżniał

wiatraka od astrolabu. Nie powtarzałem ci zawsze, że Misquamacus musiał się urodzić w złej dzielnicy?

— Harry, jak możesz z tego żartować!

— Do licha, Karen, jestem tak samo przestraszony jak ty. Nawet bardziej. Myślę jednak, że mamy szansę. Niewielką, ale...

— To znaczy?

Opowiedziałem jej o dziewczynie w bibliotece i że według mnie przekazała mi wiadomość od Śpiewającej Skały.

— Więc co zamierzasz zrobić? — dopytywała się Karen.

— Użyć mózgowicy. Muszę pamiętać, kim jestem i kim są moi ludzie, tak jak Misquamacus jest zawsze tego świadomy, Karen. Muszę czuć przynależność do mojego plemienia, to wszystko.

Coś, o czym my, biali, już dawno zapomnieliśmy.

Poszedłem do małego zagraconego pokoju, który lubiłem określać mianem pracowni. Miałem tu zgromadzone rozmaite nostalgiczne rupiecie z czasów, gdy byłem Nadzwyczajnym Erskine, Przepowiadaczem Losów, Odkrywcą Przyszłości, Odgadywaczem Przeznaczenia. Karty do tarota i astrologicznych wróżb, kości do madżonga. Kryształowa kula, którą kupiłem od oszałamiająco pięknej hippiski w Cafe Reggio w Village, tak dawno, że wolałem nie pamiętać kiedy. Ciekawe, czy

dalej jest taka piękna...? Na górnej półce biblioteczki ponad tuzin zaczytanych książek o mitach i magii Indian. Wyjąłem Przekazywanie i kradzież dusz Louisa Soli. Książka, do której zaglądałem nie pierwszy raz. Kiedy ją ostatnio odkładałem na górną półkę, miałem nadzieję, że nigdy więcej jej nie otworzę.

Usiadłem i zacząłem czytać. Karen przyniosła mi filiżankę kawy i stanęła przy mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu.

— Ile zostało do wzejścia księżyca? — zapytała.

— Dwie i pół godziny — odpowiedziałem, spojrzawszy na zegarek.

— Czego szukasz?

— Sam nie wiem. Jakiegokolwiek wskazówki.

— Harry... jesteś pewien, że to słuszne? Misquamacus nie może być aż tak silny. Czy nie powinieneś jednak kogoś poprosić o pomoc? Może uda się odprawić nad Lucy egzorcyzmy?

— Wierz mi, Karen, on mówił na serio. Jeśli się nie stawię, zabierze Lucy. Nie zniesiesz tego.

Ani ja. — Położyłem rękę na ramieniu i uściśnąłem jej dłoń. — Dzięki za kawę... Dziękuję ci za troskliwość. Kocham cię. Ale muszę sam znaleźć sposób na pokonanie tego sukinsyna.

Zostawiła mnie w spokoju, niech ją Bóg błogosławi, i zagłębiłem się znowu w Przekazywaniu i kradzieży dusz. Całe strony poświęcone dowodom na rzeczywiste przejawy indiańskiej magii i rozważaniu, czy istotnie duch mógł powrócić do realnego świata, opanowując ciało żyjącego człowieka.

Jeśli śmierć została spowodowana złamaniem plemiennego tabu, duch może być tak osłabiony, że nie jest w stanie odbyć wędrówki do Krainy Wiecznych Łowów. Właśnie to się przydarzyło wojownikowi Czejenów, Orlemu Nosowi na wyspie Beecher w Kolorado w 1868 roku, gdy jedząc, nieświadomy, posłużył się metalowym widelcem.

Aha. Właśnie. Kiedy ostatnim razem udało nam się pozbyć Misquamacusa, dosłownie go uziemiliśmy, używszy dwóch metalowych widelców. Jego duch rozładował się i myślałem, że na zawsze rozproszył po niebie. Jak widać nawet Nadzwyczajny Erskine popełnia omyłki.

Wróciłem do historii biednego Orlego Nosa.

Cztery lata później dał się słyszeć głęboką nocą jego głos, błagający, by przywrócono moc jego duchowi.

Dopiero w 1924 roku czarownik George Orli Pazur zdołał wrócić duszy Orlego Nosa spokój, czego ów wojownik tak gorąco pragnął, wykorzystując przedziwny i niejasny obrzęd Czejenów znany jako „przekazywa-nie duszy”.

Aby go przeprowadzić, czarownik wywołuje manitou księżycy, władcy czasu. Dzięki temu może zmienić czas tak, by jego dusza na chwilę opuściła ciało i zamieszkała w bizonie, łosiu, a nawet nieożywionej substancji, na przykład drzewie czy skale. W opuszczone ciało łatwo może wejść osłabiona dusza i na powrót odzyskać głos, pamięć, poczucie obowiązku, mądrość, dumę. Osadzona w ciele szamana scalona dusza jest teraz w stanie odpokutować złamanie tabu, czyniąc ofiary i śpiewając pokutne pieśni. W końcu może opuścić ciało czarownika i podjąć podróż po wieczny spokój. Dusza szamana zaś porzuca swoje dotychczasowe schronienie i powraca do ciała.

Jeżeli osłabiony duch należał do szamana, jest w stanie sam sobie pomóc i wrócić do materialnego świata, zamieszkując w ciele zwierzęcia lub kogoś znacznie słabszego, jak na przykład niemowlęcia.

Zanotowano wiele interesujących przypadków małych dzieci mówiących nieznanymi językami i demonstrujących zachowania nie przystające dla ich wieku, jak wywieranie przemocy.

W maju 1915 roku Nathan Toomey, pięcioletek z Casper w Wyoming zamordował ciężkim kamieniem sześciolatniego kolegę. Gdy go złapano, wykrzykiwał coś w języku, który miejscowy lekarz rozpoznał jako dialekt Indian Kiowa. Lekarz zapisał i przetłumaczył jego słowa i wówczas okazało się, że chłopiec (lub ten, kto go opętał) obiecywał wrócić znów do świata żywych i wyrzucić zemstę na tych, którzy go zabili.

Prawdopodobnie wstąpił w niego słynny czarownik plemienia Kiowa, Czarny Kruk, który służył swoją magią rebelianckiemu wodzowi Satancie. Czarny Kruk został pochwycony przez żołnierzy i uwięziony w Teksasie.

Władze armii podały, że popełnił samobójstwo wyskakując przez okno w celi.

Raz opętawszy zwierzę lub człowieka, dusza stale wzmaga swą moc, „przekazując się” do ciał coraz starszych i mocniejszych osób, aż odzyskuje w pełni „realny” byt. Możliwe jest to jednak wyłącznie dzięki wpływowi księżycy, jedynej mocy zdolnej nakazać duszy opuszczenie ciała. Jak dotąd udokumentowane są tylko dwa takie przypadki, choć krążą pogłoski o większej ich liczbie. W obydwu ogłoszono, że dusza intruza zmusiła duszę ofiary do wcielenia się w statyczny obiekt: raz w drzewo; drugi w ogromną skałę. Niektórzy Indianie twierdzą, że wszelkie „nawiedzone drzewa” czy ożywione byty, jak na przykład krzesła, które poruszają się same z siebie, lub bramy, których nie sposób zamknąć, potwierdzają realność obrzędu „przekazywania duszy”.

Przeczytałem ten fragment ponownie, a potem zamknąłem książkę. Zatem Misquamacus zamierzał wyeksmitować moją duszę z ciała i sam się w nim zagnieździć. A co ze mną? Miałem skończyć jako słupek w ogrodzeniu czy blok betonu, uwięziony na zawsze bez nadziei na odpuśczenie grzechów za dobre prowadzenie się? Brzmiało to absurdalnie, ale widziałem, co Misquamacus może zdziałać, posługując się magią, więc nie czułem się rozbawiony; doskonale też wiedziałem, że jest zdolny przemienić najzwyczajniejszy poranek w koszmar, z którego nie ma powrotu.

Przy 96th Street kończy się tunel biegnący pod Park Avenue, a ponieważ teren w tym miejscu opada, linia metra biegnie dalej, aż do Bronx, po nasypie. Kiedy byłem jeszcze małym zasmarkańcem, biegającym w dziurawych portkach, wdrapywałem się z kolegami na tory i próbowaliśmy wzdłuż nich wędrować. Snuliśmy fantazje, jak to przemierzamy pod ziemią pięćdziesiąt cztery przecznice i

wychodzimy na ziemię przy stacji Grand Central, tam, gdzie wyjeżdżają na zewnątrz drezyny.

Próbowaliśmy to zrealizować dwukrotnie, ale mniej więcej po trzystu stopach zawracaliśmy w panice.

Za pierwszym razem omal nie rozjechał nas na miazgę zmierzający na północ pociąg, a za drugim zwiewaliśmy dysząc, jakby się paliło, ścigani przez robotnika kolejowego z dziesięciofuntowym młotem w ręce.

Wysiedliśmy z Karen z taksówki i trzymając Lucy za ręce, przecięliśmy w łoskocie i szumie przejeżdżających samochodów Park Avenue.

— Mam nadzieję, że naprawdę wiesz, co robisz, Harry — odezwała się Karen.

Pewnie powinienem był powiedzieć: „zaufaj mi”, ale prawdę mówiąc, sam sobie nie ufałem.

Uśmiechnąłem się, jakby nękała mnie choroba morska.

— Też mam taką nadzieję.

Znalazłem miejsce, w którym wiele lat temu wspinałem się na tory. W płocie wciąż była ta sama ciasna dziura. Zerknąłem na zegarek. Do pojawienia się księżyca zostało sześć, siedem minut.

Ukląknąłem przy Lucy.

— Posłuchaj, skarbie najdroższy. Musimy przejść przez tę dziurę, a potem wspiąć się po tym murku na tory. Wiem, że to ci napędzi trochę strachu, ale musimy.

Spojrzała na mnie tymi swoimi ogromnymi czarnymi oczami i przez chwilę miałem wrażenie, że przyzna: jestem za bardzo przestraszona, nie pójdę, ale uśmiechnęła się szeroko, jakoś bardzo dziwnie, i skinęła głową. Dobrze wiedziałem, że nie oddam jej Misquamacusowi, nawet gdyby miał

zawładnąć moim ciałem. Lucy coś powiedziała, ale akurat przejechał z łoskotem pociąg i dosłyszałem tylko:

— ...blada twarz.

Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy nie widać jakiegoś policjanta. Potem precyzyjnie przeczesałem się przez szczelinę w płocie i zacząłem piąć w górę. Usmolilem się natychmiast; wszędzie pełno było kopciu i brudu. Opuściłem ramię i powiedziałem do Lucy:

— Chodź, skarbie, tata cię wciągnie.

Podniosła głowę. Na twarzy wciąż miała ten uśmiech, od którego skóra cierpła. Schroniony gdzieś w jej wnętrzu Misquamacus musiał rozkoszować się tą chwilą — nadchodziła noc, kiedy opanuje kolejne ciało, zarazem wywierając zemstę na mnie i Karen. Przejechał z łoskotem następny pociąg; przykuliłem się, chowając głowę w ramiona na wypadek, gdyby ktoś z pasażerów patrzył w moim

kierunku. Oświetlone okna mijały mnie jak dni mego życia, jedno po drugim — i znikły.

Wciągnąłem Lucy, potem pomogłem Karen. Jej adidaszki szurały na pokrytej rdzą barierce, drżała, biały sweter w wypukły wzór był usmarowany brudem.

— Dokąd teraz? — zapytała mnie.

— Znam drogę — oświadczyła Lucy. Weszła na tory i zaczęła iść w kierunku tunelu, przeskakując z jednego brudnego podkładu na drugi.

— Lucy! Zejdź z toru! — krzyknąłem.

Odkręciła głowę, roześmiała się i pobiegła. Puściłem się za nią i złapałem ją za rękę.

— Zejdź z toru, Lucy. Może nadjechać pociąg.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedziała nie przestając się uśmiechać, a w jej głosie nagle pojawiły się gardłowe, ochryple tony, jakby mówił Misquamacus. — Tu się urodziłem.

Natukko. Tu po raz pierwszy ujrzałem światło dnia.

Wydało mi się, że słyszę nadjeżdżający pociąg, spojrzałem szybko, ale czeluść tunelu pozostawała czarna.

— Chodźmy. — Lucy ruszyła znowu w stronę tunelu. Weszliśmy do niego, a z zewnątrz wciąż dolatywał szum pojazdów, charakterystyczny dla godzin szczytu, gdzieś z daleka słychać było dźwięk syren. Zwyczajne, codzienne hałasy. Ale ja, rozglądając się wkoło, nadśluchiwałem, czy nie rozlegnie się szcęk i łoskot pociągu, chociaż mówią podobno, że robotnicy kolejowi nigdy nie słyszą właśnie tego, który ich zabija.

— Tutaj — wskazała Lucy palcem na ziemię, przystając ledwie parę stóp od wejścia do tunelu.

— Święte miejsce, gdzie się urodziłem — oświadczyła, a jej głos brzmiał triumfalnie. — Nadszedł już czas.

Prawdopodobnie nadszedł, chociaż nie sposób było dojrzeć księżyca. Staliśmy z Lucy pośrodku torów patrząc jedno na drugie.

— Co teraz? — zapytałem.

Przymknęła na chwilę oczy, a kiedy je otworzyła, żarzyły się intensywnym błękitem. Powoli, jakby ktoś się podnosił z łóżka, wyłaniał się za nią wprost z torów kolejowych cień, rósł w mroczną, przerażającą postać kogoś bardzo wysokiego, wręcz nienaturalnie wysokiego, z głową przystrojoną czaszkami i wężami.

Lucy klasnęła w dłonie.

Pozwólcie, by duch księżycy mi pomógł! Pozwólcie, by czas się poruszył, a noc wstrzymała na moment oddech! Duchu wiatru, spraw, by dusza uleciała z tego oto mężczyzny w ciało tej oto kobiety i pozostała w niej na zawsze, niech odtąd żyją razem w jednym.

— Co? — zapytałem. — Czego tu do cholery próbujesz? Nie masz prawa osadzić mojej duszy w ciele Karen!

Wolisz zostać karaluchem albo kawałkiem drewna? Daję ci, czego zawsze pragnąłeś. Bliskość, o jakiej inni kochankowie tylko marzą.

— Dwie dusze w jednym ciele? Zwariujemy w pięć minut, bez dwóch zdań!

Po raz ostatni czynię akt litości.

— Nie ma w tobie ani krzty litości. Chcesz się zemścić na nas wszystkich naraz. Także na Lucy, pozbawiając ją mamusi i tatusia. Zostawisz ją z wywrzaskującym szaleńcem, którego wezmą pod klucz.

Przymknęła żarzące się niebieskie oczy jakby na znak, że nie zamierza dyskutować dalej.

Duchu księżycy, twój sługa oddaje ci cześć i prosi: zatrzymaj dla mnie noc na pięć wolnych uderzeń serca. Duchu wiatru, wywiej jego duszę z ciała i pozostaw je puste. Pozwól mu znaleźć schronienie w ciele tej kobiety; dwie dusze w jednej ziemskiej powłoce.

U wylotu tunelu zapadała noc coraz głębsza, wiatr się wzmaczał. Strzępy gazet i opakowania gumy do żucia unosiły się z torów wraz z kłującymi drobinami piasku. Poprzez łomot wichury słychać było wrzeszczącą piskliwie w niepowściąganą furii Lucy:

Duchu wiatru, wywiej z tego człowieka duszę! Pozostaw jego ciało puste! Duchu księżycy!

Rozkaż nocy powstrzymać oddech!

Z początku wydawało mi się, że nic się nie wydarzy. Duch Misquamacusa był niezwykle osłabiony, a jego fizyczna obecność przejawiała się w postaci zaledwie czteroletniej dziewczynki. Ale nagle ciemność zgęstniała. Jak w momencie, gdy człowiek ma zemdleć. Tylko że ja nie miałem zemdleć; byłem w pełni świadomy tego, co się dzieje.

Lucy mówiła teraz wolno, niewyraźnie.

Duuuuchuuu wiiiiiaatttruuu...

Przestałem w końcu cokolwiek rozumieć, wreszcie zamilkła. Zapanowała kompletna cisza, nikt z nas się nie ruszał. Właściwie nic się nie poruszało. Nawet kawałki gazet trwały zawieszony nad torami w powietrzu.

A jednak Misquamacus tego dokonał. Na chwilę uwięził czas.

Dwie rzeczy zdarzyły się naraz. Poczulem dziwne szarpnięcie w głowie, zupełnie jakby ktoś usiłował wyrwać mi cały mózg. Nagle przypomniało mi się to, co usiłowano ze mnie wyrugować.

Dzieciństwo, szkolne lata, pierwszy ukochany pies; mama, ojciec, wujek Jim; wygłupy i ryki śmiechu na moje piętnaste urodziny; wycieczki rowerowe, gra w baseball; dziewczynki w nakrochmalonych haleczkach, dziewczyny w kostiumach plażowych w różową kratkę; wyjazdy na Coney Island i Brighton Beach; słońce, wata cukrowa na patyku, burze z piorunami — obrazy jak kolorowe pocztówki wsysane przez olbrzymi odkurzacz. Dusza ze mnie uchodziła, dobry Boże, umierałem.

I druga rzecz: zbliżał się pociąg, jego światła odbijały się w szynach. W jednej sekundzie zastygł w zatrzymanym czasie, ale wiedziałem, że ruszy znowu i runie na Lucy, gdy tylko Misquamacus owładnie moim ciałem. I to dopiero dopełni zemsty tego sukinsyna: uwięzi nas w jednym ciele i zabije naszą córkę.

Wyciągano mi duszę z ciała i cokolwiek bym przedsięwziął, nie miałem gwarancji, że się uda.

Mogłem podbiec do Lucy i zepchnąć ją z toru, ratując tym samym i Misquamacusa. Mogłem się pogodzić ze swym losem, pozwolić na transformację i żyć dalej w chaosie szaleństwa.

Albo — mogłem przypomnieć sobie, co mi przekazał Śpiewająca Skala przez dziewczynę w bibliotece: „Komputery są pana przyjaciółmi”. Moimi przyjaciółmi.

Wywlekano mi duszę z ciała, jak wywleka się wnętrzności z dorsza. Było tak, jakbym umierał, a właściwie gorzej, bo wiedziałem, że żyję. Wznosiłem się, dryfowałem, patrzyłem na swoje ciało stojące na torach, na Lucy obok, z wyciągniętymi ramionami i płonącymi oczyma, na mroczny, górujący nad nią cień Misquamacusa.

Opuściłem ciało. Było to najdziwaczniejsze doznanie, jakiego doświadczyłem w całym moim życiu. Byłem przytomny, całkowicie świadomy i oddzielony od samego siebie; nic nie ważyłem, płynąłem w powietrzu, nie miałem w sobie ani grama materii.

Wiatr ogarnął mnie, pochwycił jak kociaka. Zawirowałem i skręciłem w kierunku Karen; manitou wiatru kierowało mną, jak chciał Misquamacus. Stała bez ruchu, oparta plecami o ścianę, zastygła w czasie, podobnie jak cała Park Avenue. Podmuch miotał mną coraz bliżej i bliżej niej, choć próbowałem się obrócić, odwirować od niej. Jeśli wejść w jej ciało, oszalejemy oboje i w końcu czeka nas śmierć, o jakiej nawet schizofrenik nie ma pojęcia.

„Komputery są pana przyjaciółmi”.

Zakręciło mną jeszcze raz i zobaczyłem nieruchomy pociąg. Północna linia metra, zmierzał do Westchester. Wyposażony w komputery. Miał duszę. Własne manitou; białe manitou, na które składały się wszelkie narysowane projekty, cała wiedza inżynierów, którzy konstruowali pociągi.

Spadkobierca w prostej linii wszystkich maszyn przemierzających z łoskotem równiny Ameryki i niosących Indianom ostateczną klęskę.

Zacząłem się do niego modlić. Pomóż mi, zabierz mnie — modliłem się. — Chcę być raczej częścią ciebie niż czegokolwiek innego. Chcę się wtopić w twój metal, wnikać w twoje kilobity.

Masz duszę. Masz manitou. Pomóż mi.

Wściekły podmuch wiatru popchnął mnie bliżej Karen. Stała wciąż nieruchomo, twarz jej stężała ze strachu. Nie wiedziałem, na jak długo Misquamacus zdołał zatrzymać noc, ale obawiałem się, że zostały nam ledwie sekundy. Jeśli moja dusza nie znajdzie do tej pory schronienia, zostanie najprawdopodobniej rozproszona i zniknie, tak jak kiedyś duch Misquamacusa.

Rzuciło mną jeszcze bliżej Karen. Próbowałem się wykręcić i modliłem się, cały czas modliłem do pociągu: zabierz mnie, ty sukinsynu, zabierz mnie, pociąg jest silniejszy od wiatru, silniejszy od wody, silniejszy niż wszyscy szamani razem wzięci, począwszy od Irokezów, na Uta skończywszy, zabierz mnie, daj mi chwilę wytchnienia.

Karen nieoczekiwanie odwróciła się i spojrzała w moją stronę; nie wiedziałem, czy w ogóle coś widziała, ale jej usta były otwarte, rysy twarzy wyrażały zdumienie. W tym samym momencie pociąg ruszył, znowu rozległ się szum ruchu ulicznego, niebo zaczęło płynąć i wszystko stało się normalne.

Nie stałem już przy Karen; byłem zanurzony w aluminium i plastiku, dosłownie wtłoczony w świadomość tego pociągu. Zamiast tkwić w Karen — dwie dusze rozpychające się w jednym ciele, dopóki śmierć ich nie rozdzieli — stałem się — chłodny, sprawny, zdolny przewidywać; pełno we mnie było wgranych informacji, limitów prędkości, dróg hamowania; byłem pociągiem, a pociąg był mną i kołysałem się na torach przy 97th Street, gdy — Jezu! Dziecko na torze, a obok mężczyzna; Lucy i ja.

Zobaczyłem, jak Karen podbiega do szyn, chwyta Lucy w ramiona i obie padają z boku torów.

Zobaczyłem swoje własne ciało, stojące przede mną; przed pociągiem. Zobaczyłem rozwścieczony czarny cień Misquamacusa z wzniesionymi ramionami, wokół twarzy kłębiły mu się węże. Tym był

naprawdę: sługą starych bogów; nie plemiennym czarownikiem, ale naczyniem zła starej Ameryki, które przybywało nas zniszczyć.

Rozpostarł się nad moim ciałem jak czarna jedwabna narzuta na łóżku. Pomyślałem, że wolę zabić samego siebie niż do tego dopuścić. Miałem umysł pociągu, miałem masę pociągu; zrobiłem krótkie zwarcie w części kontrolującej prędkość i zacząłem przyspieszać. Zmierzałem ze stukotem po szynach ku własnemu stojącemu chwiejnie na torach ciału z prędkością sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Mroczny cień Misquamacusa wsączył się we mnie, jakby wyciąg wessał dym. Zatoczył się i spojrzał na przyspieszający pociąg. Za późno.

Moja dusza przepływała przez komputery pociągu jak płynny ogień, kontrolowała prędkość, system hamowania i nie było na ziemi siły zdolnej powstrzymać parowóz przed uderzeniem mnie w pierś. Przekoziółkowałem przez tory, rozpryskując krew, jakbym puszczał fajerwerki i spocząłem na

torowisku.

Zamknąłem oczy duszy i zacząłem hamować z piskiem i jękiem, jakby stado świń przeciw czemuś protestowało, iskry sypały mi się spod kół. Minąłem leżące obok torów skręcone ciało i poczułem, że coś się zmieniło. Ulżyło mi ciężaru. Z mojego ciała wyrastał cień, niewyobrażalnie mroczny i mściwy. Mogłem go tylko odbierać przez system wideo, mimo to wyraźnie zobaczyłem —

pół człowieka, pół płaza; mężczyznę, który tak często układał się z bogami, że stworzyli go na nowo w odpowiadającej im postaci.

Istota wyrosła z mojego ciała patrzyła na mnie dość długo, a potem nonszalanckim gestem zacisnęła dłonie na szynach i wyszeptała w języku Algonkinów:

— Weejoo-suk. — Wieje wiatr.

Dał się słyszeć szelest kawałków papieru i drobin piasku; mroczny cień wywiało z tunelu i poniosło ponad ulicami Manhattanu jak robaka albo jak ptaka, a może wspomnienie czasu, który nigdy nie zostanie odkupiony. Wysoko na niebie dostrzegłem światło księżyca, a jego duch nie przejawiał chęci wybaczenia. Misquamacus obiecał mu modły i ofiary, a przyniósł tylko własny cień.

Cień zapłonął jak upuszczony przypadkiem w ogień szal z delikatnej materii, rozbłysł na moment i opadł z nieba lekkim szarym popiołem. Rozsiał się po torach, dając wrażenie, że spadł

dziwnie wczesny tego roku śnieg.

Kiedy otworzyłem oczy, Karen i Lucy stały obok, migały niebieskie i czerwone światła. Lekarz klęczał koło mnie i wkławał się do żyły. Moja prawa noga sterczała pod dziwnym kątem. Czułem się jak ktoś nie całkiem realny. Na dobrą sprawę, nie wiedziałem, czy jestem człowiekiem, czy pociągiem. Ale zobaczyłem parowóz; stał nieruchomo, dwadzieścia stóp z przodu, a przy nim sześciu czy siedmiu policjantów i ludzi z obsługi.

— Wydobrzeje pan — powiedział lekarz. — Złamanie nogi i nadgarstka, możliwe uszkodzenie śledziony, rozległe stłuczenia. Jak na kogoś uderzonego przez pociąg, wspaniale.

Lucy pochyliła się i pocałowała mnie z wilgotnym cmoknięciem. Spojrzałem w ogromne ciemne oczy i byłem pewien, że zrozumiała coś z tego, co się wydarzyło, chociaż pewnie nigdy nie dowiem się co.

— Kocham cię, tatusiu. — Zabrzmiało to naprawdę szczerze.

— Ja też cię kocham, kochany czarodziejski skarbie. Karen również się nachyliła, żeby mnie pocałować.

— Co się stało? — wyszeptała. — Co ty zrobiłeś?

— Nie pozwoliłem wiatrowi zabrać mnie tam, dokąd chciał. To wszystko. Pociąg okazał się silniejszy od wiatru.

— To znaczy...?

— Przez te parę sekund byłem częścią pociągu. Myślącą częścią. Misquamacus powinien dwa razy się zastanawiać, zanim się zmierzył z nowoczesną technologią.

Odwróciła na moment głowę. Spodobało mi się to. Miała piękny profil. Ale kiedy spojrzała ponownie, jej oczy wypełniały łzy.

— Czy on nas kiedykolwiek zostawi w spokoju? Policjant trzymał Lucy za rękę. Huśtała nogą, nucąc:

— Weksik-paktesk, weksit-paktesk, nayew neechnw, wek-sik-paktesk.

Ścisnąłem dłoń Karen. Po prostu nie wiedziałem, co powiedzieć.